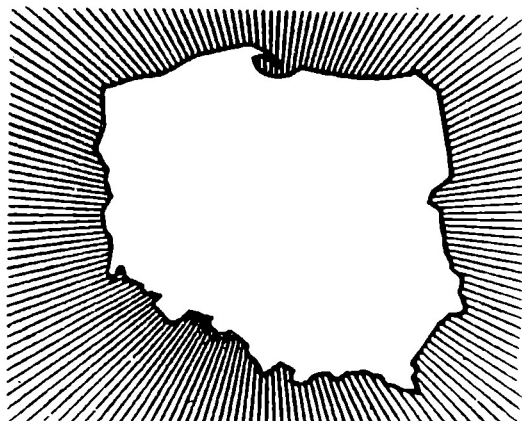

**ROZWÓJ REGIONALNY
ROZWÓJ LOKALNY
SAMORZĄD TERYTORIALNY**



**Jerzy
Chłopecki**

**Przestrzeń polityczna
Polski
Konflikt i zmiana**

Warszawa 1990

UNIwersytet Warszawski

Instytut Gospodarki Przestrzennej

ROZWÓJ REGIONALNY

ROZWÓJ LOKALNY

SAMORZĄD TERYTORIALNY

28

Jerzy Chłopecki

Przestrzeń polityczna

Polski

Konflikt i zmiana

Warszawa 1990

WYDAWNICTWA PROGRAMU CPBP 09.8
„Rozwój regionalny – Rozwój lokalny – Samorząd terytorialny”

Kierownik Programu: Antoni Kukliński
Zastępca kierownika: Bohdan Jałowiecki
Sekretarz naukowy: Mirosław Grochowski
Kierownik Biura Koordynacyjnego: Paweł Swianiewicz

Redaktor: MAGDALENA JAWORSKA,
Redaktor techniczny: JAN JACEK SWIANIEWICZ

ISBN 83–900056–1–1

Wydawca: Stanisław Kryciński
Żabińskiego 9/41, Warszawa

Adres Redakcji: Uniwersytet Warszawski
Wydział Geografii i Studiów Regionalnych
Instytut Gospodarki Przestrzennej
Krakowskie Przedmieście 30, 00–927 Warszawa
Tel. 200–381 w. 643, 748

Jeśli wielu konserwatystów broniło rządu tylko dla zachowania różnych gratyfikacji i stanowisk, to muszę powiedzieć, że wielu opozycjonistów zdawało się go atakować wyłącznie po to, by się ich dochrapać.

Alexis de Tocqueville – *Wspomnienia*

Spis Treści

Wstęp	7
Rozdział 1. Naród a społeczeństwo	9
Rozdział 2. Naród a państwo	29
Rozdział 3. Monostruktura władzy	37
Rozdział 4. Między jednostką a państwem	57
Rozdział 5. Liberalizacja a demokratyzacja	77
Rozdział 6. Pracownicy i obywatele	91
Rozdział 7. Jedność i różnorodność	107
Rozdział 8. Polska gminna	139

Wstęp

W styczniu 1989 roku, zastanawiając się nad kontynuacją badań zapoczątkowanych przez program *Rozwój regionalny – Rozwój lokalny – Samorząd terytorialny* Antoni Kukliński zaproponował, aby centralną ośią myślenia i działania w tej dziedzinie stał się program badań podstawowych i aplikacyjnych pt.: „Polska regionalna – Doświadczenia i przyszłość”¹. W bardziej szczegółowo rozwiniętym schemacie badań Polski na przełomie XX i XXI wieku, znalazła się także sugestia, by analizować procesy zachodzące w „przestrzeni politycznej”.

*Jest bardzo prawdopodobne – pisał autor propozycji – że przyszli historycy określą dekadę lat dziewięćdziesiątych jako okres narodzin IV Rzeczypospolitej. W tym procesie powstanie nowa przestrzeń polityczna w Polsce, nowa organizacja kraju, nowa przestrzeń rządowa i samorządowa, nowa organizacja przestrzeni partii i stowarzyszeń politycznych. Można również oczekiwać, że geografia wyborcza stanie się w Polsce pasjonującym przedmiotem badań*². Nie minęło jeszcze pół roku od momentu zgłoszenia tej propozycji a już przewidywana wtedy „nowa przestrzeń polityczna” zaczęła się tworzyć w procesie zaiste lawinowego biegu wydarzeń.

Książka ta stanowi więc próbę udzielenia odpowiedzi na zgłoszoną wtedy propozycję badawczą, a więc próbę pierwszej – zapewne obciążonej wszelkimi grzechami gorącego spojrzenia – analizy procesu narastania konfliktu i dochodzenia do zmiany systemu politycznego, czy szerzej – przebudowy przestrzeni politycznej Polski.

¹A. Kukliński, *Polska regionalna i lokalna. Doświadczenia i przyszłość*. [w:] *Współczesne problemy gospodarki przestrzennej Polski*, Warszawa 1989, s. 72

²tamże s. 74.

Rozdział 1

Naród a społeczeństwo

W jednym z pism młodzieżowych zobaczyłem rysunek przedstawiający młodziana i podpisany: *Jestem synem Matki-Polki i Ojca-Powstańca*. Roześmiałem się, ale w tym śmiechu było jednak pewne wahanie. Podejrzewam, że część czytelników, chyba przede wszystkim ze starszego pokolenia, uznała ten dowcip za niestosowny.

Ponoć jednym z dowodów europejskości jest zdolność – mierzona właśnie poczuciem humoru – zachowania dystansu do przedmiotu wiary lub adoracji. Taki „dowód” miała przyjąć kiedyś australijska komisja do spraw imigrantów, starając się ograniczyć napływ na kontynent nowych obywateli z nieeuropejskich kręgów kulturowych. Jeśli o nas chodzi, nie mamy raczej poczucia humoru w kwestiach związanych z tym obszarem naszej narodowej przeszłości, który ma dla nas wartość symboliczną. Gdyby więc potraktować serio ów miernik, należałoby postawić pod znakiem zapytania naszą – Polaków – europejskość. Zostawmy jednak na boku miarodajność tego „wskaźnika europejskości”. Warto natomiast zastanowić się, dlaczego stanowimy tak silną wspólnotę historyczno-symboliczną i jakie są tego konsekwencje.

1

W Polsce działa nieprzerwanie od lat ponad czterdziestu Rada Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa. O ile mi wiadomo, instytucja ta – jeśli chodzi o czas i zakres swego działania – nie ma odpowiednika w innych krajach. Nie chodzi jednak tylko o instytucjonalny ewenement. Oto w zniszczonym wojną kraju, kraju w którym brak wszystkiego, jedną z pierwszych potrzeb okazuje się odbudowa i budowa nowych pomników. Czyż nie jest to postawa irracjonalna?

Na polsko-zachodnioniemieckiej sesji urbanistów i socjologów miasta w 1987 roku, polski socjolog Sowa postawił w swym wystąpieniu tezę o zasadniczej różnicy między polskim i zachodnioeuropejskim, weberowskim rozumieniem racjonalności¹. Konserwacja i renowacja Krakowa z zachodniego punktu widzenia jest irracjonalna. Ogromne nakłady przeznaczone na rekonstrukcję pomieszczeń w zabytkowych kamienicach, pomieszczeń z którymi nie wiadomo co robić, wydawać się muszą – z punktu widzenia tych wzorców racjonalności – bez sensu. A jednak – stwierdził mówca – patrząc z polskiej perspektywy jest to działanie racjonalne, ponieważ gdyby nie istniał Kraków, nie istniałby naród. Twierdzenie to, zaskakujące dla zachodnich uczestników sesji, nie jest wcale pozbawione podstaw.

Kraków był i wciąż jeszcze jest duchową stolicą Polski jako centrum polskiej kultury symbolicznej. Tej kultury, bez której – prawdopodobnie – jako naród byśmy się nie ostali. Przez długi czas najnowszej historii, przez cały dziewiętnasty wiek, byliśmy pozbawieni szansy bycia społeczeństwem, pozostając – na przekór polityce naszych zaborców – narodem.

Czynnikiem spajającym Polaków we wspólnotę nie mogła być administracja, prawo, państwo, bo ich nie mieliśmy; nie mógł być przemysł, a nawet oświata, bo związane one były z systemami państwowymi mocarstw zaborczych. Czynnikiem tymi były religia i kultura, ale też pojmowane i przeżywane w sposób szczególny.

Polska nie jest krajem bardziej katolickim niż Włochy czy Hiszpania. A jednak takim się wydaje. Dlaczego? Religią oficjalną, państwową, jednego z mocarstw zaborczych było prawosławie; dominującą zaś w drugim – protestantyzm. Oba mocarstwa prowadziły wobec mieszkańców wchłoniętych przez siebie polskich ziem aktywną politykę wynaradawiania. W tej sytuacji katolicyzm musiał stać się istotnym składnikiem polskości.

Polak-katolik. Symbioza katolicyzmu z polskością była historycznie ukształtowana, wymuszona i zrozumiała. Ale ten katolicyzm był w związku z tym bardzo szczególny. Powiada się – ludowy, obrzędowy, demonstracyjny i płytki. To prawda. Nie wchodząc już w głębsze rozważania na temat specyfiki religii – przeinstytucjonalizowania katolicyzmu i uprzywilejowania większości religii reformowanych – trzeba mieć

¹K. Z. Sowa, *Der Wert eines Kulturraumes. Probleme der Erneuerung und Restaurierung von Krakau*, [w:] Bundesforschungsanstalt für Landeskunde und Raumordnung. Bonn 1988.

świadomość, że katolicyzm nie mógł w tych warunkach, na ziemiach polskich być światopoglądem prywatnym. Nie był on sprawą między Bogiem a człowiekiem, lecz Boga wrzekał w służbę sprawie narodowej, Bóg musiał być po stronie Polaków. Jeśliby nie był, usłyszałby – jak zagroził mu wieszcz – że nie Bogiem jest ale carem. Była to więc wiara przede wszystkim symboliczna.

Ta symbolicznie ukształtowana symbioza katolicyzmu z polskością była symbiozą asymetryczną. Moim zdaniem, jeśli pominąć epizod montowanych przez dyplomację papieską wojen z Turcją, więcej dawała sprawie polskiej niż kościelnej. Polacy nie wnieśli liczącego się wkładu do ogólnoświatowej, uniwersalnej myśli teologicznej, religijno-filozoficznej. Tutaj Bóg bardziej służył Polsce niż Polacy – Bogu.

Podobnie było z kulturą. Nawet pozostając wyłącznie w kręgu kultury artystycznej: nie o nią przede wszystkim chodziło, lecz o to, czemu ona sama służyła i czemu miała służyć. Zwróćmy uwagę na miary wartości przykładane do artystycznych dokonań. Rzecz jasna nie chodzi o te miary, które do twórców i dzieł przykładała profesjonalna krytyka, ale masowa publiczność. Nie Michałowski więc, a tym bardziej nie Witkacy, lecz Matejko. A Moniuszko? A Sienkiewicz? Była to przede wszystkim kultura symboliczna. Nie twierdzę, że była ona pozbawiona uniwersalnych, artystycznych wartości. Twierdzę jednak, że była ona ceniona przede wszystkim z uwagi na jej wartości symboliczne, a nie artystyczne.

I znówu, jak przy katolicyzmie, powiedzieć można, że symbioza kultury z poczuciem narodowym, z polskością, była asymetryczna, bardziej służyła sprawie polskiej niż kulturze.

Religia i kultura kształtują i umacniają przede wszystkim te więzi, które ze zbiorowości czynią naród; gospodarka zaś, polityka i prawo te, które czynią z niej społeczeństwo.

2

Jaka jest różnica między społeczeństwem i narodem? Prowadząc zajęcia ze studentami stwierdziłem, że intuicyjne choćby uchwycenie różnicy między tymi dwoma pojęciami jest dla nich zadaniem trudnym. Jedno jest „grupą społeczną” i drugie. Cóż tu jednak mówić o studentach? Wystarczy analiza naszej publicystyki, a nawet wielu prac naukowych, by zorientować się, jak często pojęcia *naród* i *społeczeństwo* występują w nich zamiennie, różniąc się jedynie zabarwieniem emocjo-

nalnym. Dla wielu autorów *naród to społeczeństwo* z akcentem patetycznym lub odświętnym.

Czy pokrywanie się tych pojęć w Polsce powojennej jest konsekwencją faktu, że po II wojnie światowej państwo polskie stało się całkowicie niemal jednonarodowe? Rzeczywiście, w Polsce czasów międzywojennych pojęcia *naród polski* i *społeczeństwo polskie* były różne zakresowo. Nie zmienia to jednak faktu, że w różnych okresach historycznych, a więc także w międzywojniu, jak i w okresie za-
borów, centralna była dla polskiej myśli społecznej kategoria narodu a nie społeczeństwa. Jak twierdził Znaniński, w języku polskim powstało więcej prac na temat narodu, niż w jakimkolwiek innym języku na świecie.

Czy dopiero po II wojnie światowej, gdy państwo polskie stało się niemal całkowicie jednonarodowe, zaczęto utożsamiać naród ze społeczeństwem? Nic podobnego. Społeczeństwo z narodem utożsamiał już Staszic określając je jako *moralną istność*. Kołłątaj zaś uważał państwo za upostaciowanie narodu. Wtedy, gdy na Zachodzie wielu uważało za Comtem, iż naród jest mniej ważną od zrzeszenia czy kooperatywy grupą społeczną, lub – za Spencerem – że jest źródłem uprzedzeń i przesądów u nas proponowano by „kosmopolityczną” socjologię zastąpić „patriotyczną” nacjologią. To prawda, że pomysł wyszedł od Wasilewskiego, publicysty i działacza Narodowej Demokracji, ale tendencja do zajmowania się raczej problematyką narodu niż społeczeństwa, jak i utożsamianie obu tych kategorii, nie była u nas tendencją sekciarską i wąskopartyjną.

Powojenna zmiana granic i związane z nią migracje sprawiły, że w Polsce żyje dziś tylko niewiele ponad 2% mniejszości narodowych. Ale uproszczony byłby pogląd, że dopiero te przemiany doprowadziły do utożsamienia narodu ze społeczeństwem czy tym bardziej do sytuacji, która sprawia, że jesteśmy w większym stopniu wspólnotą narodową (symboliczno-historyczną) niż społeczeństwem obywatelskim.

Aby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak się dzieje, trzeba uprzednio zdać sobie sprawę z najważniejszych różnic między narodem i społeczeństwem.

Naród jest wspólnotą jednorodną, nie ma w niej członków innych, węższych, wspólnot lokalnych, klasowych, zawodowych – w narodzie wszyscy jesteśmy Polakami. Łączy nas jedna – narodowa – więź. Społeczeństwo jest całością pluralistyczną i zróżnicowaną. Nie ma społeczeństwa jednorodnego, które nie składałoby się z różnych, mniej-

szych wspólnot; różnych, także etnicznych, grup narodowościowych, między którymi jest zawsze miejsce na to, co łączy i na to, co dzieli.

Wyrazem więzi narodowej są symbole, wyrazem społecznego zróżnicowania mogą być i bywają znaki ideologiczne². Te pierwsze nie mogą być kwestionowane i odrzucane pod sankcją wyłączenia poza obręb narodowej wspólnoty. Trudno sobie wyobrazić Polaka, który miałby negatywny stosunek do hymnu i godła narodowego.

Znak ideologiczny natomiast, jak twierdzi radziecki teoretyk literatury i filozof Bachtin, zawsze ma *Janusowe oblicze*³. To, co dla jednej grupy społecznej jest dobre, otaczane czcią i szacunkiem, przez innych może być – i bywa – odrzucane. To w społeczeństwie – a nie w narodzie – jesteśmy robotnikami i chłopami, katolikami i ateistami, komunistami i liberałami. Społeczeństwa – a nie narodu – dotyczą podziały zawodowe, klasowe, ideologiczne i polityczne. Nie ma ideologii, która byłaby akceptowana i podzielana przez wszystkich w całym społeczeństwie. Nie byłaby wówczas ideologią. Nawet ideologia narodowa – jako ideologia właśnie – jest kwestionowana, z czego nie wynika wcale, by użyć konkretnego, historycznego przykładu, że endecja skupiała „lepszyc” Polaków niż socjaliści, ludowcy czy pilsudczycy. Mimo, że spory o to, kto jest „lepszym Polakiem” miawały u nas i miaują miejsce, są to jednak zawsze spory o charakterze ideologicznym.

Naród jest wspólnotą jednorodną wówczas, gdy społeczeństwo jest zawsze zróżnicowane; we wspólnocie narodowej mamy do czynienia z symbolami łączącymi wszystkich jej członków, gdy w społeczeństwie ze znakami ideologicznymi, które przez jednych są akceptowane, a przez innych kwestionowane. Na symbole jesteśmy uwrażliwieni szczególnie, nasz stosunek do nich bywa – przede wszystkim w starszym pokoleniu – wręcz chorobliwie afektowany. Czy można się jednak temu dziwić?

Ludziom myślącym w kategoriach zachodniej, weberowskiej racjonalności może się wydawać irracjonalne, że w zniszczonej Warszawie, w której ludzie nie mają gdzie mieszkać, odbudowuje się w pierwszej kolejności Kolumnę Zygmunta, pomniki Kopernika i Kilińskiego, buduje od podstaw „zabytkową” Starówkę, a latach siedemdziesiątych Zamek Królewski, chociaż w teje, odbudowywanej i rozbudowywanej Warszawie, nadal brakuje mieszkań. Czy wreszcie, że w latach kryzysu stawia się pomniki, jakby to był okres największej gospodarczej pomyślności.

²O różnicach między symbolem a znakiem ideologicznym pisałem w pracy: *Czas - świadomość - historia*, Warszawa 1989.

³M.Bachtin, *Dialog - język - literatura*, Warszawa 1983, s. 75.

Oczywiście inaczej ocenić można i trzeba analogiczne działania bezpośrednio po wojnie, inaczej w okresach późniejszych. W Warszawie nie ocalał po wyzwoleniu ani jeden pomnik. Chcąc zniszczyć naród, przede wszystkim niszczy się symbole poświadczające jego tożsamość. W czasie okupacji Niemcy niszczyli w Polsce pomniki nie po to, by, jak w czasach pierwszej wojny światowej, przetapiać ich brąz na armaty, ale aby zlikwidować symbole narodowej tożsamości. Nie robili tego w innych krajach, nie robili tego we Francji, w Belgii – robili w Polsce. Dlaczego? Naród jako wspólnota historycznego losu nie może się ostać jeśli pozbawiony zostaje pamięci. Wspólnota narodowa zawsze jest grupą o wspólnej przeszłości, bez której nie mogłaby jako naród powstać oraz istnieć wówczas, gdy społeczeństwo nie może żyć bez wspólnej tarażniejszości.

Różne są definicje narodu. Jedne kładą akcent na wspólnotę języka, ale przecież są narody wielojęzyczne – jak choćby Szwajcarzy – o bardzo silnym poczuciu narodowym. Inne definicje podnoszą kwestię zamieszkiwania na wspólnym terytorium, genetycznie bez wątplenia ważną, ale są przecież narody od wieków żyjące w diasporze. Nie ma jednak narodu, który nie miałby wspólnej przeszłości – czy, mówiąc bardziej precyzyjnie – pamięci wspólnej przeszłości.

Wcześniej podkreślałem znaczenie religii i kultury dla zachowania tożsamości narodowej Polaków, zwracając przede wszystkim uwagę na fakt, że o religię i kulturę trwała walka z wynaradawiającą polityką zaborców. Ale istotne jest także, iż religia i kultura zakorzenione są silnie w przeszłości, w pewnym sensie zwrócone są w przeszłość. Nie ma kultury ani religii, za którymi nie stałaby tradycja nawiązująca do historii. Gospodarka, polityka, prawo mogą z przeszłości wyraść, wspierać się o tradycję, ale królestwem, którym władają jest terażniejszość zwrócona ku przyszłości.

Oakeshott, amerykański socjolog i politolog twierdzi, że studiując historię człowiek zainteresowany jest tylko tymi fragmentami przeszłości, które może odnieść do swojej obecnej aktywności⁴. W przeszłości poszukuje możliwości wyjaśnienia obecnego świata, jego oceny, szansy na uczynienie bardziej ludzkim, oswojonym i mniej mitycznym.

Z naszego, polskiego punktu widzenia, jest to mało przekonujące. Wiemy bowiem dobrze, że zainteresowanie przeszłością brać się może z różnych, często przeciwstawnych motywów. Może być pocieszeniem i ucieczką; może w przeszłości znajdować potwierdzenie dla złud, które

⁴M. Oakeshott, *Experience and Its Modes*, Cambridge 1966.

świat obecny czynią jeszcze bardziej niezrozumiałym i mitycznym. Są to więc motywy dokładnie przeciwne tym, na które wskazuje Oakeshott. Amerykański socjolog swoje uogólnienie konstruuje w oparciu o badania świadomości wspólnoty, która – jak właśnie amerykańska – jest w większym stopniu społeczeństwem niż narodem. Można zaryzykować twierdzenie, że o ile tam w przeszłość sięga się z perspektywy obecnej aktywności, czyli tak właśnie, jak sądzi Oakeshott, u nas przeciwnie – przeszłość rzutuje na teraźniejszość i naszą w niej aktywność⁵. W Polsce – jak twierdzi publicysta – *wspólnota historyczno-symboliczna jest potężna, ale w sferze konkretnego pusta. Wspólnota europejska jest w stanie zależkowym, w sferze konkretnego wciąż prymitywnie uboga, ograniczona i pokawałkowana*⁶. Brzmiały te słowa jak komentarz do gorzkiej konstatacji Norwida, że patriota jest w Polsce potężny, ale człowiek marny.

Zrozumiałe jest dlaczego ta pierwsza, narodowa wspólnota jest potężna, druga zaś, społeczna – w stanie zależkowym. Dla romantyków naród był *wspólnotą duchową*, dla pozytywistów *organizmem*, wynikiem historycznej ewolucji. Ale i w jednym i w drugim przypadku naród mógł istnieć bez państwa, bez własnych instytucji, a nawet – jak dowodzi nasza historia – jako części różnych społeczeństw. Nie można jednak być społeczeństwem bez państwa, bez własnych instytucji. To z nimi razem i wokół nich konstytuuje się obywatelskie społeczeństwo (czy jest zresztą możliwe nieobywatelskie społeczeństwo?). W następnych rozdziałach tej książki będę jeszcze poszukiwał odpowiedzi na pytanie czemu powojenne czterdziestolecie nie doprowadziło do ukształtowania się w Polsce nowoczesnego społeczeństwa, do wzbogacenia się i umocnienia więzi społecznych, a przeciwnie, wiele z nich potargało i zdeformowało. Przy okazji tych rozważań trzeba jeszcze pokusić się o odpowiedź na pytanie dlaczego mimo czterdziestu pięciu lat niepodległości owa wspólnota historyczno-symboliczna wciąż pozostaje tak potężna, a równocześnie dlaczego – bo i w tym ma rację cytowany autor – w sferze konkretnego pozostaje, czy nawet staje się, coraz bardziej pusta.

W tym miejscu jawi się problem – czy byliśmy po wojnie niepodlegli? Niektórzy, bez najmniejszych wahań, udzielają na to pytanie

⁵Inne spojrzenie na relacje między przeszłością – teraźniejszością a przyszłością proponuje Kukliński pisząc, że *teraźniejszość jest kompromisem między dziedzictwem przeszłości a koncepcją rozwoju, którą dane społeczeństwo chce realizować w przyszłości*. A. Kukliński, *Dylematy polskiej przestrzeni na przełomie XX i XXI wieku*, [w:] *Współczesne problemy gospodarki przestrzennej Polski*, Warszawa 1989, s. 21.

⁶M. Król, *Inny Kraj*, „Res Publica” 1/87, s. 23.

odpowiedzi negatywnej. Nie ma wątpliwości, że powojenne państwo polskie nie było suwerenne. Czy jednak można mówić, że nie było ono polskie, że – jak chcą niektórzy – Polacy żyli pod radziecką okupacją? Jest to trudny, wart oddzielnych rozważań problem. Wprowadzając – może nawet nieco sztucznie – rozgraniczenie między suwerennością państwową i niepodległością, możemy problem ten przeciąć (bo jednak nie rozwiązać) odpowiedzią, że niepełna suwerenność dawała także odczucie ograniczonej niepodległości. W czym się owo odczucie ograniczonej niepodległości wyrażało?

3

W starym dowcipie – kto jest mocniejszy, Bóg czy car, odpowiedź brzmiała: car. Bo może zmienić przeszłość, czego nawet Bóg nie potrafi. Dowcip ten zaadaptowano później na użytek historyków, którzy zmieniają historię. W tym aktualizującym wydaniu traci on jednak swój smak i sens. Także i z tej racji, że właśnie historycy najlepiej wiedzą, że choć historia jest jedna, to jednak jej obrazów bywa wiele. I tylko te obrazy możemy poznać. Wybór określonego spojrzenia na przeszłość bywa często aktem dokonywanym z perspektywy współczesnych potrzeb i postaw, obojętne – uświadamianych czy nie. Najbardziej nawet rygorystyczna uczciwość historycznej relacji nie wyklucza różnic – już nie tylko interpretacji – ale perspektywy, z której bada się i ocenia fakty w przeszłości. O te interpretacje i oceny można toczyć spory. I to jest normalne. Dlatego każde pokolenie od nowa pisze historię własnego kraju. Inaczej jest jednak wówczas, gdy owe obrazy próbuje się unieważniać, niektóre fakty zaś – carskim sposobem – zmieniać lub wykreślać. Tak bywało przez całe powojenne czterdziestolecie.

Obszar narodowego uniwersum symbolicznego stał się po wojnie terenem sporu i walki.

Po II wojnie światowej Polska geograficznie przesunęła się na zachód; politycznie i ideologicznie – na wschód. Przesunięcie to musiało (czy rzeczywiście „musiało”, może być co prawda kwestią dyskusyjną) pociągnąć za sobą próby unieważnienia przynajmniej niektórych symboli i postawienia ich w miejsce nowych. Przy tym te nowe miały w powojennej sytuacji politycznej kraju charakter znaków ideologicznych, a nie symboli (choć przez ich nadawców były traktowane jak symbole, które mają być niekwestionowane i obowiązujące wszystkich). I w tym większym stopniu przez większość były odrzucane.

Będę jeszcze pisał o konsekwencjach wynikających dla świadomości Polaków z faktu, że pojęcie państwa opatrzone zostało po wojnie nieodłącznym odeń określeniem – „socjalistyczne”. Przy czym określenie to nie miało być jedynie odnotowaniem stanu realnego, miało mieć sens wartościujący, a więc było określeniem przydającym pojęciu państwa nie ukrywany, a przeciwnie, eksponowany charakter ideologiczny.

Przeideologizowanie systemu społecznego i politycznego powojennej Polski miało swoje obiektywne przyczyny. Każda rewolucja społeczna burzy zastany świat wartości, wprowadzając w to miejsce własny, odrzuca dotychczasowe tradycje, na miejsce starych symboli wprowadza nowe. Rewolucja francuska wprowadziła nawet nowy kalendarz, aby podkreślić, że od jej momentu czas uległ przerwaniu i zaczął się liczyć od nowa. Dopiero później przychodzi pora cofania się rewolucyjnego impetu, nawiązywania łączności między przeszłością, a teraźniejszością i przyszłością, rekonstruowania pozrywanych więzi, a razem z tym wszystkim nadchodzi czas amnestii dla niegdysiejszych symboli.

Z pozoru tak samo było i u nas. Uważne przejrzanie obszernego, rocznicowego sprawozdania z czterdziestoletniej działalności wspomnianej już Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa pozwala prześledzić proces powolnego przywracania zbiorowej pamięci faktów z najnowszej historii⁷. Dopiero w drugiej połowie lat pięćdziesiątych pojawiają się pomniki poświęcone martyrologii i walce ruchu oporu w czasie okupacji. Pod koniec lat sześćdziesiątych pojawiają się pomniki upamiętniające wydarzenia z 1939 roku. Wcześniej mieliśmy do czynienia głównie z pomnikami symbolizującymi polsko-radzieckie braterstwo broni, często były to po prostu obeliski, które stawiano jednak w centralnych punktach najmniejszych nawet miasteczek. Ale dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych padły ostatnie twierdze historycznych tabu – wojna polsko-radziecka 1920 roku, pakt Ribbentrop-Mołotow, Katyń.

Tak samo, jak nie może się ostać naród pozbawiony pamięci własnej przeszłości, tak samo nie może mieć poczucia suwerenności wspólnota, której prawa do własnej historii są ograniczane. Ideologizacja historii dawała w efekcie bodaj najdotkliwsze poczucie ograniczenia suwerenności mimo, że nowa, komunistyczna władza starała się – z różnym

⁷H. Urbanowicz, *Czterdziestolecie Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa*, Warszawa 1987, maszynopis.

nasileniem w poszczególnych okresach – zaprząć sferę symboliki narodowej w służbę nowego ładu społecznego (tradycyjnemu stereotypowi „Polaka-katolika” starano się na przykład – przede wszystkim w połowie lat sześćdziesiątych – przeciwstawić nowy stereotyp, stawiający znak równości między patriotyzmem i socjalizmem). Jest to jedna z istotnych przyczyn sprawiających, że owo szczególnie uwrażliwienie na historię utrzymywało się przez cały okres powojenny i trwa do dzisiaj.

Zapewne nie jest to jedyna przyczyna. Równie istotną był monopol partii na twórczość w sferze myśli ideologicznej i politycznej. Niemożność pojawienia się nowych orientacji ideologicznych i politycznych, ścierających się ze sobą i konfrontujących się z życiem, sprzyja zaludnieniu sceny politycznej przez historyczne fantomy. Występowali więc na tej scenie socjalistyczni „państwowcy” nawiązujący mniej lub bardziej świadomie – jak np. Koźniewski czy część działaczy PRON-u – do międzywojennego BBWR-u; mieliśmy także socjalistycznych endeków, od PAX-u do osławionego Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald”; a wreszcie, w latach osiemdziesiątych, mieliśmy nie tylko socjalistów odzgujących się już od wszelkich związków z „realnym socjalizmem”, ale także monarchistów, a nade wszystko chadeków i liberałów, o wiele bardziej liberalnych niż sam Friedrich August von Hayek.

Były to jednak grupy małe, o niewielkim wpływie społecznym. Fakt nawiązywania przez nie do przebrzmiałych nurtów myśli politycznej był zrozumiały. Nawiązywanie do przeszłości w warunkach, w których nie ma do czego nawiązywać jest być może jedyną drogą powstania autentycznych orientacji ideologicznych. Z punktu widzenia tych rozważań istotniejsze jest zjawisko masowej, potocznej opozycyjności, odwołujące się po prostu do symboli narodowych, niejednokrotnie tych samych, do których starała się nawiązywać nowa, komunistyczna władza w Polsce. Ten sam hymn narodowy i narodowe flagi były na oficjalnych, państwowych uroczystościach, z coraz rzadszym towarzyszeniem *Międzynarodówki*; te same flagi oraz hymn eksponowane były w trakcie opozycyjnych zgromadzeń z coraz częstszym towarzyszeniem pieśni *Boże, coś Polskę*. I jeden, i drugi typ zdarzeń, mimo ich odmiennych, często przeciwstawnych celów politycznych, miewał równie silnie zaakcentowaną oprawę patriotyczną.

Przez długi okres najnowszej historii, będąc narodem, a nie społeczeństwem, wyczuliliśmy się szczególnie na to wszystko, co dotyczy sfery symbolicznej. Byliśmy przede wszystkim wspólnotą historyczno-symboliczną właśnie dlatego, że kwestionowana była nasza narodowa

tożsamość. *Kto ty jesteś? Polak mały* – deklamował syn Matki-Polki i Ojca-Powstańca, wierząc, że Kościuszko patrzy na nich z nieba. W czasach, gdy Polski nie było na politycznych mapach Europy, wspólnota ta nie była pusta. Dzięki niej ostaliśmy się jako naród.

W okresie powojennego czterdziestolecia także byliśmy w większym stopniu narodem niżli społeczeństwem. Na rzecz utrzymywania się tego stanu działało z jednej strony powszechne poczucie ograniczonej suwerenności, z drugiej – te cechy systemu politycznego, które utrudniały rodzenie się i rozwijanie innych niż wspólnotowe więzi społecznych, przede wszystkim zrzeszeniowych. Jakie są między nimi różnice?⁸ Wspólnota jest takim związkiem społecznym, w którym człowiek rodzi się i żyje. Najbardziej klasycznymi, naturalnymi wspólnotami są: rodzina (rodzina pochodzenia) i właśnie naród. Zrzeszenia zaś – partie, związki, stowarzyszenia, samorządy – ludzie zakładają dla jakiegoś konkretnego, wybranego celu lub celów, czego nie można powiedzieć o wspólnocie. Wspólnota w życiu społecznym jest zawsze czynnikiem trwania, stabilizującym dotychczasowy ład społeczny; jest naturalną ostoją tych wartości, które łącząc się z tradycją, umacniają poczucie tożsamości. Jedną z podstawowych funkcji wspólnot jest ochrona ich społecznej substancji. Dlatego wspólnoty wydają nam się tak często, już nie tylko tradycyjne ale konserwatywne, i dlatego w tak wielu przypadkach łatwiej ulegają rozpadowi, niż podlegają zmianie. Zrzeszenie przeciwnie, samo bywa motorem zmiany, bo przecież ludzie często zakładają je i wstępują doń po to właśnie, aby coś zmienić, osiągnąć cele, zaspokoić nowe potrzeby.

Pod koniec lat siedemdziesiątych w obieg rozważań nad stanem polskiego społeczeństwa weszło, wprowadzone przez Stefana Nowaka, pojęcie „próżni socjologicznej”⁹. Stwierdzono mianowicie, że zdecydowana większość Polaków identyfikuje się z dwoma kręgami przynależności – rodziną i narodem. Między poziomem rodziny i poziomem narodu występuje socjologiczna próżnia, brak w niej pośrednich kręgów przynależnościowych, grup społecznych, z którymi człowiek byłby skłonny się identyfikować. W następnym rozdziale będę jeszcze zwracał uwagę na fakt, że właśnie te dwie grupy społeczne – rodzina i naród – najtrudniej poddają się ideologizacji, mimo że był czas, gdy nagminnie używano pojęć takich, jak *socjalistyczny naród* czy *socjali-*

⁸W polskiej literaturze socjologicznej najpełniejsze omówienie problematyki wspólnot i zrzeszeń daje praca K. Z. Sowy, *Wstęp do socjologicznej teorii zrzeszeń*, Warszawa 1988.

⁹S. Nowak, *System wartości społeczeństwa polskiego*, „Studia Socjologiczne”, 1979, nr 4.

styczna rodzina. Tu jednak chciałbym zwrócić uwagę na inny problem. Otóż, moim zdaniem, nie tyle istnienie owej socjologicznej próżni jest faktem znaczącym, co właśnie rola w polskim życiu tych dwu wspólnot które, jako jedyne, są człowiekowi dane z natury samego życia – biologicznego i społecznego. Można je osłabiać, ograniczać ich rolę, ale niezmiernie trudno je zniszczyć. Warunki polityczne, społeczne, ekonomiczne i cywilizacyjne mogą wpływać na ich kształt, na wielość spełnianych przez nie funkcji, ale zachowują one umiejętność trwania niemal w każdych warunkach i nawet w ekstremalnych sytuacjach nie tracą zdolności odradzania się z popiołów. Nie da się powiedzieć tego o innych – np. o wspólnocie terytorialnej, tworzącej układ tradycyjnej, sąsiedzkiej wsi – które najczęściej giną wraz ze zmianą warunków zewnętrznych, z likwidacją ekosystemu, w którym powstały i bez którego nie mogą żyć.

Każda względnie zamknięta, względnie izolowana grupa społeczna reaguje na zewnętrzne zagrożenie umacnianiem integrujących ją więzi. Rzeczywiste czy wyimaginowane poczucie zagrożenia umacnia więc wspólnotę. Zagrożenie tożsamości narodowej przez zaborców, czy poczucie ograniczenia suwerenności narodowej w okresie powojennego czterdziestolecia, wzmacniało uwrażliwienie na sferę symboliczno-historyczną. Narodowa symbolika tworzyła jakby niszę, ostoję, dającą poczucie bezpieczeństwa, umacniającą przekonanie, że mimo wszystko, na przekór okolicznościom pozostajemy narodem, tak samo, jak kultywowanie więzi rodzinnych dawało poczucie ochrony przed polityką zmierzającą do instytucjonalizacji i upaństwowienia wszystkich więzi społecznych, które dadzą się upaństwowić.

4

Rysowany tu obraz byłby niepełny, gdyby powojenne utrzymywanie się owego stanu – bycia w większym stopniu narodem niż społeczeństwem – sprowadzać jedynie do walki o historię i na historię, która nie pozwalała umarłym umrzeć naprawdę i ostatecznie.

Wspominałem już wcześniej o silnym związku między katolicyzmem a polskością. Ten związek jest pod wieloma względami polskim fenomenem, bo przecież w takiej skali nie występuje on nawet tam, gdzie stykamy się z narodowymi – a nie uniwersalnymi – religiami. Przyczyny, które go zrodziły są zrozumiałe i oczywiste. O nich także była już mowa. Ale w dwudziestoleciu międzywojennym mogło się wydawać, że

nadchodzi, mówiąc słowami poety, *czas wielkiej schizmy*. Zaczynaliśmy się stawać społeczeństwem. Mimo całych regionów kraju głęboko zacofanych cywilizacyjnie, mimo wsi jeszcze na poły feudalnej i przemysłowego niedorozwoju, rodziła się nowoczesna, przemysłowa a nie manufakturowa klasa robotnicza i – przede wszystkim – nowoczesna inteligencja. W dużej części lewicowa i laicka. To do niej mogą się odnosić słowa Miłosza z *Traktatu poetyckiego*:

*„Bóg i Ojczyzna” już nęcić przestało
I nienawidził poeta włana
Mocniej niż niegdyś bohema filistra.
Drwił ze sztandarów, gardził amarantem...*

W Polsce nie można drwić ze sztandarów chodząc do kościoła, a równocześnie zerwanie z Kościołem niemal automatycznie osłabia urok amarantu. Powojenna polityka ateizacji – na poziomie potocznej, masowej świadomości – odbierana więc była jako walka z narodową tradycją, walka z „wiarą ojców”. Sam Kościół utwierdzał to odczucie wprost i bezpośrednio, wtedy, gdy w swych najważniejszych wystąpieniach (takich, jak kazania prymasów czy orędzia Episkopatu) zwracał się nie tylko do wiernych, lecz i do narodu. Ten związek religijności z poczuciem narodowym i wspólnoty narodowej z instytucją Kościoła z jednej strony chronił Kościół, a z drugiej strony, nawet w najgorszych czasach stalinowskich, łagodził totalitaryzm władzy. Siła Kościoła współ z siłą warstwy chłopskiej stanowiły tamę która, niezależnie od intencji przywódców partii i państwa, ograniczała możliwości zaprowadzenia ładu totalitarnego, w którym całe społeczeństwo, we wszystkich przejawach życia, poddane byłoby władzy państwowej. Równocześnie jednak ten związek religijności z poczuciem narodowym umacniał przede wszystkim więzi wspólnotowe. Obrona „wiary ojców”, dowartościowana poczuciem ograniczonej suwerenności narodowej, hartowała wspólnotę symboliczno-historyczną, rozwijając najbardziej typowe dla każdej wspólnoty funkcje – biernego oporu, ochrony wartości, które łącząc się z tradycją umacniają poczucie tożsamości.

Ale – warto zauważyć – odnosi się to do poziomu świadomości masowej, można rzec – plebejskiej, ludowej. Z inteligencją sprawa ma się inaczej. Tutaj czas „wielkiej schizmy”, używając określenia Miłosza, trwa właściwie aż do połowy lat siedemdziesiątych. Kościół, dając schronienie postawie oporu przeciwko systemowi politycznemu, nie jest

jeszcze przystania dla politycznej opozycji wobec tego systemu. Intelktualna, polityczna opozycja ani nie chodzi jeszcze do kościoła, ani też nie zdradza wrażliwości na urok amarantu. Zresztą ta opozycja, którą oficjalna propaganda określa jako *wrogów komunizmu i siły antysocjalistyczne*, sama została przez ten system powołana do życia. Jest ona nie tylko duchowym dzieckiem tego systemu, ale – co nie jest bez znaczenia – także organizacyjnym. Starsze pokolenie późniejszej, tzw. demokratycznej opozycji, to przede wszystkim byli członkowie partii, wyrzuceni z niej za rewizjonizm; młodszy – często rozpoczynali działalność w organizacjach młodzieżowych.

Nie piszę tu o historii rodzenia się zjawiska opozycji politycznej w Polsce; nie będzie to szkic analizujący wzajemne relacje między opozycją i Kościołem. Gdybym się tym tematem bliżej zajmował, nie mógłbym pominąć książki Adama Michnika *Kościół, lewica, dialog*, która ukazała się w 1978 roku, a więc na rok przed wybraniem kardynała Karola Wojtyły na papieża. Książka ta jest świadectwem istotnych przewartościowań stosunku opozycyjnej lewicy intelektualnej w Polsce do katolicyzmu oraz samej instytucji Kościoła. Ale dopiero wybór Polaka na papieża kończy definitywne czas „wielkiej schizmy”. Koniec lat siedemdziesiątych jest początkiem związku Kościoła z intelektualną, a więc i polityczną opozycją. W latach osiemdziesiątych praktycznie cała opozycja znajduje już w Kościele schronienie.

Ten alians Kościoła z opozycją polityczną daje tej ostatniej siłę, której nie osiągnęły ruchy dysydenckie w żadnym innym kraju socjalistycznym. Występując pod sztandarami z hasłem „Bóg i Ojczyzna”, nie jest to zresztą opozycja typowo polityczna ale narodowa, która totalitarne, chociaż stopniowo liberalizującemu systemowi przeciwstawia totalitaryzm własny – bo każdy ruch narodowy ma w pewnym sensie charakter totalitarny. A więc: przeciwnika traktuje jak wroga; tych, którzy się z nim nie solidaryzują uważa za zdrajców i kolaborantów; w ocenie zjawisk politycznych uznaje kolor czarny lub biały, nie dopuszczając możliwości występowania zróżnicowanej gamy odcieni; uprawia moralistyczną koncepcję polityki, w której każdy konflikt interesów wyjaśnia w kategoriach konfliktu dobra i zła.

Stalinowski, totalitarny system polityczny obiektywnie umacnia wspólnotę symboliczno-historyczną nie tylko wtedy, gdy stwarza poczucie zagrożenia suwerenności narodowej, gdy zwalcza religię i część tradycji. Pisałem już wcześniej, że wspólnota narodowa jest jednorodna wówczas, gdy społeczeństwo zawsze jest zróżnicowane. Polityka zwalczająca naturalny dla każdego społeczeństwa pluralizm, prowadzi

w konsekwencji do sytuacji, w której wielość rzeczywistych i potencjalnych różnic społecznych sprowadzona zostaje do jednej, głównej różnicy – „my” i „oni”. „My” – prawdziwi członkowie wspólnoty i „oni” – obcy, znajdujący się poza jej obrębem. „My” – Polacy i „oni”. Gdy w sierpniu 1980 roku na zakończenie uroczystego aktu podpisania sierpniowych porozumień padło za strony Wałęsy sformułowanie – *dogadaliśmy się jak Polak z Polakiem*, było to przede wszystkim symboliczne przyznanie drugiej stronie prawa członkostwa we wspólnocie. W innym kontekście, stwierdzenie to i jego późniejsza, acz krótkotrwała popularność, nie miałyby sensu. Tylko Polak z Polakiem, brat z bratem, mogą dojść ze sobą do porozumienia i mogą do siebie nie strzelać. Zastanawiać może jedynie, że owa druga strona nie doczytała się w tym stwierdzeniu obrazy – przyjęła je za dobrą monetę.

Legalizacja opozycji w 1989 roku, jej wejście do parlamentu, sytuacji pod tym względem nie zmieniło właśnie dlatego, że „Solidarność” nie weszła na oficjalną scenę polityki jako normalna partia polityczna ideologicznie różniąca się od innych partii, ale jako ruch społeczny, co w tych warunkach oznacza w rzeczywistości ruch narodowy. Akt uznania opozycji oznaczał więc teoretycznie uznanie pluralizmu politycznego społeczeństwa, praktycznie jednak oznaczał uznanie jego polaryzacji. Potwierdziły to wybory, w których społeczeństwo – jeszcze nie pluralistyczne, a więc jeszcze nie społeczeństwo – głosowało na symbole, wybierając każdego, kto miał w klapie znaczek „Solidarności” i Matki Boskiej Częstochowskiej. Tryumf wyborczy był więc tryumfem wspólnoty skupionej wokół hasła „Bóg i Ojczyzna”. Być może posttotalitarna faza społecznej rekonstrukcji musi prowadzić przez pośredni etap uznania polaryzacji, by wreszcie dojść do ukształtowania się rzeczywistego pluralizmu.

5

Przez długi okres naszej historii pozostając narodem nie byliśmy społeczeństwem. Akcentuje się przy tej okazji fakt, że jednak narodem pozostaliśmy. I to jest prawda. Ale przecież zdarzało się także porzucanie narodowej wspólnoty, szczególnie w sferach pogranicznych, gdzie styk różnych kultur, wielość grup etnicznych – jak na kresach wschodnich – w pewnych przypadkach umacniało poczucie narodowe, w innych przeciwnie, osłabiało je. Jedna z gałęzi mego rodu, wywodzącego się z Kamieńca Podolskiego, uległa rusyfikacji. Dowiedziałem się o tym

przypadkiem natrafiając w prasie radzieckiej na nazwisko generała-lejtnanta Chłopieckowo. Jeden z synów mego pradziada został oficerem armii carskiej motywując ponoć swą decyzję tym, że przyszła, niepodległa Polska będzie potrzebowała wykształconych wojskowych. Generał-lejtnant był jego potomkiem. Jak widać, w tej gałęzi mego rodu zawodowe tradycje wojskowe były pielęgnowane z lepszym skutkiem niż narodowe.

Były to jednak przypadki względnie rzadkie. Zjawiskiem natomiast powszednim stała się emigracja. Niemal w każdym pokoleniu pojawiały się fale emigracji ekonomicznej lub politycznej. Od tej pierwszej, wielkiej, aż do ostatniej fali wychodźców z początku lat osiemdziesiątych, poza sporadycznymi raczej przypadkami, nie mieliśmy do czynienia ze zjawiskiem emigrowania ze wspólnoty narodowej. Charakterystyczne jest pod tym względem zjawisko fali emigracyjnej z końca lat sześćdziesiątych, związanej z jedną z najczarniejszych kart naszej rodzimej, powojennej polityki wyrzucania poza obręb wspólnoty narodowej ludzi pochodzenia żydowskiego. A przecież większość emigrantów z tego okresu nadal utrzymuje swój związek z polskością.

*Tutaj, w nowym kraju – wspomina dwadzieścia lat po wyjeździe z Polski Żydówka – czuję, że od momentu wyjazdu z Polski bardziej noszę w sobie te polskie korzenie. Wszystko, co wywiozłam z Polski mam w sobie i dużo więcej mi to daje niż wtedy, kiedy tam byłam i kiedy wszystko było źródłem zagrożenia*¹⁰.

*W ciągu ostatnich dwudziestu lat, kiedy pętałem się po różnych zakątkach świata, wracając do kraju po to, aby tu być bezrobotnym, niejednokrotnie zastanawiałem się, po jakiego diabła trzymam jeszcze w kieszeni bilet powrotny do Warszawy. I jak do tej pory nie zdobyłem się na decyzję, aby bilet ten wyrzucić. Czysty przypadek masochizmu – pisze Henryk Szlajfer, jeden z grupy marcowych „Komandosów”*¹¹.

Te dwa cytaty wystarczą dla zilustrowania twierdzenia, że nawet ta grupa wychodźców nie była emigracją ze wspólnoty. Symptomy pojawiania się nieznanego dotąd zjawiska emigracji nie tylko z Polski, ale i z polskości, przynosi dopiero druga połowa lat osiemdziesiątych.

Zawsze marzyłem, żeby wyjechać z Polski. Zawsze, odkąd zacząłem myśleć. Tam nic mi się nie chciało robić, bo tam nic nie ma sensu (...). Co dziesięć – dwadzieścia lat najlepsi ludzie w tym kraju chcieli coś zmienić i przegrywali. To się ciągnie przez wieki. Dla mnie pol-

¹⁰ *Krajobraz po szoku. Tematy Karty*, Warszawa 1989, s. 113.

¹¹ *Krajobraz po szoku. Tematy Karty*, Warszawa 1989, s. 75.

skość to jest choroba. Od tego się można udusić. W każdym razie ja się dusiłem. Nie chciałem być więcej uwięzany do tego małego, biednego kraju, gdzie jedni mają wszystko w nosie i żyją w luksusie, a inni są opętani przez jakieś idee, obowiązki, sumienia i wegetują. To przypadek, że urodziłem się Polakiem. Nie chcę być niewolnikiem przypadku.

Ja nie chcę słyszeć o Polsce. Chcę być normalnym, wolnym człowiekiem. Mam dwadzieścia jeden lat i nie będę do końca klepać biedy.

Swoim dzieciom stworzę inne życie. Przede wszystkim wyzwolę je z polskości. Nawet imiona będą miały jakieś międzynarodowe¹².

Te trzy zanotowane przez reporterkę wypowiedzi młodych ludzi, emigrantów z końca lat osiemdziesiątych, ilustrują nowe zjawisko wychodźstwa ze wspólnoty. Dlaczego pojawia się ono – w skali niemal masowej – właśnie teraz? Rzecz jasna, przyczyn jest wiele. A więc sytuacja gospodarczego kryzysu i brak życiowych perspektyw rodzą silne frustracje, które mogą wyrażać się manifestacyjnym odrzuceniem członkostwa we wspólnocie. Ale, czy polski chłop, uciekający za ocean przed galicyjską nędzą nie mógł się czuć sfrustrowany? Dawniejsze emigracje zarobkowe nie były jednak uchodźstwem ze wspólnoty; przeciwnie, emigranci polscy tworzyli w nowych krajach narodowe getta, byle utrzymać poczucie więzi z Polską, osłabić tęsknotę za Starym Krajem. Oczywiście można wskazywać na różnice między tamtymi emigracjami a obecną. Chyba najistotniejszą jest ta, że owe dawniejsze były emigracjami za pracę, której nie było w kraju, gdy dzisiejsza jest emigracją za normalnym, ludzkim życiem, w kraju nieosiągalnym z najcięższej nawet, uczciwej pracy. Ale mimo wszystko, pozostaje otwarte pytanie – dlaczego jest to ucieczka z Polski, niemal jak z więzienia? Czy ta wspólnota symboliczno-historyczna, tak silna, tak potężna w pokoleniach starszych, traci dla młodych swą moc integrującą? A jeśli tak – to dlaczego?

Właśnie w latach osiemdziesiątych wchodzi w dorosłe życie pokolenie Polaków pozbawionych ojczyzny prywatnej. Czterdzieści lat biurokratycznego centralizmu przyniosło w efekcie nie tylko erozję wielu naturalnych więzi społecznych, zanik lokalnej aktywności, przejawiającej się w formach autentycznie społecznych, ale także zniszczenie pejzażu Polski – naturalnego i kulturowego.

Mnie ta ziemia od innych droższa,

¹² A. Magdziak-Miszewska, *Czy Polska jest dla frajerów?*, „Więź”, nr 4, kwiecień 1989.

*ani chcę ani umiem stąd odejść,
tutaj Wisłą, wiatrami Mazowsza
przeszumiało mi dzieciństwo i młodość.
W moim oknie pole i topole,
i ja wiem, że to właśnie Polska.*

Te słowa Broniewskiego najlepiej oddają związek występujący między – używając pojęć Ossowskiego – ojczyzną prywatną a ojczyzną ideologiczną, a więc między krainą dzieciństwa a najszerszą wspólnotą narodu. Ale czy wielu młodych ludzi, urodzonych w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, może powiedzieć za poetą, że tutaj przesumiało im dzieciństwo i młodość, że wiedzą, że to właśnie Polska? Można być patriotą Podkarpacia i Wielkopolski, ale czy można być patriotą województwa konińskiego?

Pisałem wcześniej o różnicach między zrzeszeniami, a wspólnotami pomijając jedną, o której teraz wypada wspomnieć. Otóż można przeżyć całe życie nie należąc do żadnego zrzeszenia (a więc żadnego klubu, stowarzyszenia, związku zawodowego, partii politycznej czy nawet, choć w polskich warunkach może okazać się to trudne, do spółdzielni mieszkaniowej), ale nie można żyć poza jakąkolwiek wspólnotą. Jak zauważył Arystoteles, byłoby się wówczas zwierzęciem lub bogiem. Co więcej, w normalnych warunkach, nie można żyć należąc tylko do jednej wspólnoty, bo tworzą one układ koncentryczny, od najmniejszej, podstawowej wspólnoty rodzinnej, przez sąsiedzką wspólnotę lokalną, regionalną, do narodowej.

Z obserwacji Stefana Nowaka na temat wspomnianej wcześniej próżni socjologicznej między poziomem rodziny a poziomem narodu, wynikałoby że efektem braku struktur pośredniczących między tymi dwiema wspólnotami jest koncentracja na nich całej emocjonalnej energii człowieka. Stają się dlań one tym cenniejsze, że są jedynymi. Nie wydaje się to jednak prawdą. Sądzę, że faktyczną konsekwencją istnienia owej próżni jest deformacja obu wspólnot. Rodzina przestaje być otwarta na świat innych, szerszych grup społecznych, tych, w których sama tkwi; przestaje być ośrodkiem kształtowania prospołecznych postaw swoich członków, stając się wspólnotą. Osobną, zamkniętą, wrogą wobec nieprzyjaznego jej świata. Dopiero w tych warunkach rodzina zaczyna przypominać obraz odmalowany w czarnych barwach przez Stanisława Brzozowskiego jako laboratorium uczuciowe, wytwarzające

najbardziej egistyczne instynkty, ponieważ w stosunku do pozostałego świata odgrywa rolę pieczary, do której drapieżca wnosi swą zdobycz¹³.

W warunkach wytwarzanych przez centralistyczno-administracyjny ład totalnego podporządkowania, wspólnota narodowa staje się pusta i fasadowa, sprowadzona jest do symboliki i historycznych kostiumów.

Jeżeli – pisał Ossowski – na ojczyznę prywatną spływa świętość ojczyzny ideologicznej, a wraz z nią nakaz: kochaj swoje otoczenie, bo to twoja ojczyzna – to fakt, że ojczyzna prywatna reprezentuje ojczyznę ideologiczną ma i odwrotną stronę: ciepły, osobisty stosunek uczuciowy, który nas łączy z ojczyzną prywatną, przenosi się na ojczyznę ideologiczną. Nakaz kochania ojczyzny przestaje być suchym obowiązkiem moralnym pod sugestią przywiązania do ojczyzny prywatnej¹⁴. Trudno kochać otoczenie administracyjnie ujednoliconych bloków, biurowo-biurokracycznie wydzielanych obszarów zabudowywanych i zagospodarowywanych według centralnie ustalonego planu, w którym przewidziano jedynie miejsce na odgórnie sterowaną wykonawczość.

Jeśli rozumowanie to przeniesiemy z płaszczyzny emocjonalnej na praktyczną, ów związek między ojczyzną ideologiczną a prywatną nabierze jeszcze większej ostrości. Z faktu koncentrycznego układu wspólnot wynika, że ja nie żyję po prostu w Polsce, ale w swoim kręgu rodzinnym, będącym częścią szerszej wspólnoty lokalnej, regionu i, wreszcie, kraju. Mój „porządek tworzenia” zakłada zaś, że o tyle pracuję dla Polski – owej najszerzej wspólnoty – o ile wzbogacam te, które się na nią składają. Dla Polski wogóle i bez żadnego związku z jakimkolwiek szerszym kręgiem wspólnotowym, mogę tylko umrzeć. Zginąć w obronie ziemi znaczy zawsze zginąć w obronie ojczyzny ideologicznej. Obrońcy Lwowa w 1920 roku, czy Warszawy w 1939, nie poświęcali życia dla Lwowa czy Warszawy, ale w walce o utrzymanie tych miast przez Polskę. Natomiast pracować na ziemi, można tylko na i dla ziemi konkretnej, co oczywiście w tym przypadku nie musi zawsze oznaczać ojczyzny prywatnej.

Dlatego więc dopiero w drugiej połowie lat osiemdziesiątych notujemy w Polsce – w skali masowej – zjawisko uchodźstwa nie tylko z Polski ale i z polskości? Właśnie dlatego, że w dojrzałe życie wchodzi w tym okresie pokolenie, które nawet z rodzinnego przekazu nie zna już swojej ojczyzny prywatnej. Jak pisze Pucek *utrata zakorze-*

¹³S. Brzozowski, *Plomienie*, Warszawa 1983.

¹⁴S. Ossowski, *Analiza socjologiczna pojęcia ojczyzny*, [w:] *Dzieła*, t. III, Warszawa 1967, s. 220.

nienia w szeroko pojętej lokalności osłabia ostatecznie i wyrastającą z niej wizję ojczyzny. Co więcej, może osłabiać w efekcie także poczucie związku z ojczyzną szerszą, ideologiczną przez wyciszanie emocjonalnych składników jej postrzegania. Niewątpliwie lokalność właśnie jest głównym medium w przyswajaniu sobie idei ojczyzny dużej, narodowej¹⁵. Ojczyzna ideologiczna pozbawiona jest więc dla nich tych treści społecznych, które pozytywnie kształtują jej tożsamość. Pozostaje wtedy, i tym bardziej umacnia się, poczucie tożsamości negatywnej, skoncentrowanej nie tyle na tym, co nas spośród innych wyróżnia, ile na tym, co innych od nas dzieli. Rozróżnienie tylko pozornie kazuistyczne. Zauważmy, że mimo oficjalne deklarowanego internacjonalizmu, właśnie w społeczeństwach krajów jeszcze niedawno socjalistycznych narosło szczególnie wiele nacjonalistycznie zabarwionych, wzajemnych niechęci, a nawet antagonizmów, które zanikają w Europie Zachodniej. Oczywiście część z nich ma całkiem racjonalne, ekonomiczne podłoże, lecz rynkowe racje nie wyjaśniają w pełni zjawiska. Ale właśnie druga połowa lat osiemdziesiątych jest okresem, gdy zanika poczucie zagrożenia wspólnoty narodowej, pojawiają się warunki dla odzyskania pełni narodowej suwerenności. *Polskie dziedzictwo przeszłości* – pisze Jan Szczepański – *jest wyraźne, wybitne i sprzyjające uczestniczeniu w wyzwaniach militarnych*¹⁶. Rycerski okres polskiego patriotyzmu jednak przy końcu dziewiątej dekady, nie ma się już czym żywić. Co wpisać ma do swej ankiety personalnej wnuk Matki-Polki i Ojca-Powstańca? Że jest synem Matki-Nauczycielki i Ojca-Urzędnika? Pojawiają się więc ludzie, przede wszystkim młodzi, którzy nie czują się już członkami silnej – bo zagrożonej – wspólnoty symboliczno-historycznej, a jeszcze nie czują się członkami wspólnoty obywatelskiej – społeczeństwa.

¹⁵ Z. Pucek, *Lokalność jako ojczyzna*, [w:] *Spółeczności lokalne. Teraźniejszość i przyszłość*. Warszawa 1989, s. 261.

¹⁶ J. Szczepański, *Polska wobec wyzwań przyszłości*, Warszawa 1989, s. 12.

Rozdział 2

Naród a Państwo

Czy rzeczywiście nie mamy instynktu państwowego, czy historia nie wpoila nam szacunku do własnego państwa i jego instytucji? Negatywna odpowiedź na te pytania jest nowym stereotypem, ale zaskakująco powszechnym. Nie tylko sami o sobie tak sądzimy, tak myślą o nas inni. Szczególnie w latach osiemdziesiątych, po wprowadzeniu stanu wojennego, temat lekceważenia przez Polaków własnej państwowości stał się modnym publicystycznym żerowiskiem, na którym hasają mali i wielcy polskiej żurnalistyki.

Prof. Stanisław Grzybowski w znakomitym referacie na temat potrzeby fałszywej tradycji u zwolenników zmiany społecznej, wygłoszonym na Zjeździe Historyków w 1985 roku, pogląd ten zaliczył do stereotypów historycznie niczym nie umotywowanych. Czy rzeczywiście jest to prawda? Sądzę, że warto przyjrzeć się argumentacji z dwóch stron – uzasadniającej i obalającej ten stereotyp.

1

Czy faktem, że przez niemal półtora wieku pozbawieni byliśmy własnej państwowości, uzasadniać można twierdzenie o braku szacunku i narodowej skłonności do lekceważenia państwa? Nie można wszak lekceważyć tego, czego brak odczuwało się boleśnie i o co z uporem walczyło się płacąc cenę krwi w każdym niemal pokoleniu. Chyba w niewielu językach słowniki biograficzne drukują noty informujące, że ktoś był synem powstańca, tak samo, jak inny synem sędziego, fabrykanta czy pisarza. A może więc zawiniła tu młodość i wątpliwość tradycji państwowej? Bo choć konieczność walki o państwo jako wartość utraconą skłania, by doceniać je jako wartość odzyskaną, to jednak

niedostatek tradycji państwowego samorządzenia się mógł przecież uniemożliwić wykształcenie w społeczeństwie praktycznych nawyków szanowania państwa i jego instytucji. I to wydaje się być argumentem wątpliwym. Tradycje państwowe Polaków są starsze niż u wielu innych narodów Europy. Niemcy w porównaniu z nami są narodem o historycznie młodej państwowości. Od początku swojej historii, przez epokę Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, aż do lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, a więc do czasów Żelaznego Kanclerza Otto von Bismarcka, Niemcy były zlepkiem wielu państw zwalczających się wzajemnie. Ciągłości ich tradycji nie można porównywać z naszą. A cóż dopiero mówić o Bułgarach, którzy przez pięć wieków żyli w niewoli?

Ale na ten sam problem spojrzeć można od innej strony. Bo czy walkę o niepodległość narodową utożsamiać można z walką o własne państwo? W pewnym sensie tak. Jedynie w istnieniu własnego państwa wyrażać się może suwerenność narodu. Niepodległość przyobleka się w kształt państwa narodowego czy wielonarodowego, ale zawsze uznawanego za własne. Innego kształtu przybrać nie może. Z drugiej strony walka o kształt państwa, budowanie jego instytucji, praktyka korzystania z nich, zaczyna się dopiero wtedy, gdy wywalczona zostaje niepodległość.

Jeśli zaś idzie o tradycje – tu można mieć wątpliwości. Co nam bowiem z tradycji ponad tysiącletniej, jeżeli luka w państwowości wypadła nam akurat wtedy, gdy w Europie i na Świecie z ducha Wielkiej Rewolucji Francuskiej rodził się nowy kształt państwa – nowoczesnego, burżuazyjnego, demokratycznego? Kontynuacja tradycji feudalnych współcześnie może być tylko obciążeniem, a nie wartością. Jest więc faktem, że państwowość polska ma wielowiekowe tradycje, ale i jest także prawdą, że nie są to tradycje państwa nowoczesnego. Jak słusznie pisze Szczepański *nie ustalony schemat relacji państwo – naród, który we wszystkich ustabilizowanych krajach został rozwiązany w XVIII i XIX wieku, w Polsce pozostaje ciągle otwarty*¹. Przynosi to w efekcie istotne osłabienie państwa, bo jak twierdzi Szczepański – *obywatele utożsamiają je tylko z rządem a nie z sobą, przeprowadzając ostre oddzielenie państwa od narodu. Jest to zjawisko nie występujące w państwach europejskich, mających równie długie dzieje jak Polska. Państwo to rząd, obywatele to naród*². Jakie są przyczyny oddzielenia państwa od narodu?

¹J. Szczepański, op.cit. s. 15.

²Tamże, s. 108.

Wątek szczególnego przywiązania i uwrażliwienia Polaków na wartości i symbolikę narodową, tak samo jak wątpliwość czy nawet brak ogniw pośredniczących między biegunami najwyżej cenionych wartości – rodziną i narodem – omawiałem w rozdziale poprzednim. Wskazywałem także na przyczynę takiego ukształtowania się hierarchii wartości, która pomijana była w analizach socjologicznych, a moim zdaniem ma istotne, może nawet decydujące znaczenie. Przyczyną tą jest fakt, że naród i rodzina stanowią wartości z natury swej niepodatne na ideologizację. W ramach różnych ideologii spierać się można o koncepcję narodu, o wykładnię jego losów i perspektywę przyszłości; tak samo jak spierać się można o kształt rodziny, jej rolę i funkcje społeczne. Niezależnie od tych sporów realna, konkretna rodzina będzie istnieć i spełniać swe podstawowe funkcje w każdym ustroju i niezależnie od panującej ideologii. O tym przekonuje praktyka, życiowe doświadczenie.

Doświadczenie historyczne zaś przekonuje, że wtedy, gdy zagrożony jest byt narodu, cichną ideologiczne oraz polityczne spory, na drugi plan odsuwane są różnice. Polskie doświadczenia lat wojny i okupacji dosadnie ilustrują tę prawidłowość. Dowodzą one, że przedkładanie racji ideologicznych i politycznych ponad narodową wspólnotę jednoczącego wszystkich celu w sytuacji zagrożenia bytu tej wspólnoty zawsze ociera się o granicę narodowej zdrady. Ale i w warunkach normalnych stosunek do wartości narodowych nie wiąże się w sposób konieczny z jakąkolwiek orientacją ideologiczną czy polityczną. Patriotyzm Polaków był w przeszłości szlachecki i plebejski, ale miał także orientację, jak przed II Rzeczpospolitą – pruską, proaustriacką i prorosyjską. Różne odcienie miewa i dzisiaj.

W przeciwieństwie jednak do wartości i symboli narodowych, stosunek do państwa, jego instytucji, poszczególnych elementów systemu politycznego, a nawet prawa przez cały okres powojennego czterdziestolecia nie był aideologiczny. Państwo wymagało od swych obywateli nie tylko szacunku dla prawa, poszanowania autorytetu jego urzędów, ale nade wszystko pełnej akceptacji ideologicznych założeń i politycznych zasad, które jednak nigdy nie były przez większość społeczeństwa przyjęte.

Można zatem dowodzić, że państwo nigdy, także w przeszłości, nie było wartością ideologicznie zupełnie neutralną. To prawda. Ale nawet jeśli pominiemy fakt, że nie można utożsamiać klasowych treści z ide-

ologicznymi funkcjami państwa, to jednak uwzględniać trzeba różnice między funkcjami ukrytymi i jawnymi. Czy w zachodnich demokracjach parlamentarnych koncepcja państwa, jako ideologicznie neutralnego arbitra i organizacji ponadklasowej, jest tylko fasadą skrywającą jego funkcje ideologiczne? Twierdzenie takie, powszechne, by nie rzec obowiązujące w marksistowskiej politologii do lat osiemdziesiątych, jest ogromnym uproszczeniem.

Państwo jako system instytucji, jako struktura organizacyjna społeczeństwa nie wymaga legitymizacji. W systemie demokracji parlamentarnej ideologia traktowana jest jako domena sporu, a nie źródło legitymizacji państwa. Istnienie państwa nie wymaga uzasadnień. Tym, którzy – jak np. niektóre ugrupowania terrorystyczne – dążą do jego zniszczenia, nie przyznaje się praw parlamentarnych. Wrogowie państwa traktowani są więc jako wrogowie cywilizacji, porządku społecznego. Porządek społeczny przybiera formę państwa. O jego funkcjach ideologicznych decyduje władza, która – w przeciwieństwie do państwa – jest zmiennym, a nie stałym elementem porządku społecznego. Legitymizacji wymaga więc rząd, władza, ale nie państwo.

W dotychczasowym systemie socjalistycznym funkcje ideologiczne państwa nie były jednak funkcjami ukrytymi. Stosunek do państwa nie miał być – a nawet nie mógł być – jedynie pragmatycznie obywatelski, implikował bowiem przyjęcie określonej płaszczyzny ideologicznej i politycznej, a w praktyce, w pewnych okresach, także światopoglądowej. W tej sytuacji każdy przeciwnik ideologiczny stawał się automatycznie przeciwnikiem państwa, chociaż stosunek władzy do ideologicznych i politycznych przeciwników w ciągu czterdziestolecia ewoluował od terroru do tolerancji. Można zaryzykować uogólniające twierdzenie, że każde państwo ideologiczne narażone jest na skłonność używania narzędzi terroru wobec przeciwnika ideologicznego. Jest to zrozumiałe, jeśli uwzględnimy, że każdego przeciwnika ideologicznego traktuje jako wroga państwa, a więc wroga porządku społecznego. Tolerancja jest granicą, której ideologiczne państwo przekroczyć nie może. Jej przekroczenie, a więc uznanie politycznej równoprawności przeciwnika politycznego, musi oznaczać rezygnację z funkcji ideologicznych.

3

W latach siedemdziesiątych istnienie ideologicznych i politycznych przeciwników socjalistycznego państwa (pominę uściślanie różnic

między tymi pojęciami) kwitowano w zasadzie milczącą, cichą tolerancją. Cicha tolerancja pozwalała stwarzać wrażenie, że jest to wąski margines społeczeństwa. Okres od sierpnia 1980 roku praktycznie uniemożliwiał w tym względzie stosowanie taktyki „ciszy nad trumną”. Oznaczało to w konsekwencji uznanie faktu istnienia przeciwników jako realnego zjawiska; co więcej, zjawiska, którego nie można wszak uznawać już za marginalne, jeśli równocześnie określa się je jako zagrożające podstawom ustroju.

Miejsce niegdysiejszej milczącej tolerancji stopniowo zajmuje po 1982 roku (charakterystyczne!) coraz bardziej wyraźna, nawet ostentacyjna tolerancja jawna. Co ona zmienia? Jak już stwierdziłem, w państwie o jawnych funkcjach ideologicznych, w których sfera ideologii jest źródłem legitymizacji władzy i państwa, a nie domeną sporu; ramy istnienia narzucane ideologicznym i politycznym przeciwnikom z natury są ograniczone – w najlepszym przypadku mogą nie być prześladowani. Dla zdecydowanych przeciwników państwa, czy – mówiąc bardziej precyzyjnie – spcjalistyczności państwa, tolerancja ta zmienia więc niewiele. Zresztą w swoich pragmatyczno-propagandowych funkcjach adresowana jest nie do nich, a do tych, którzy na tolerancyjność systemu są bardziej wrażliwi – do ludzi, którzy nie będąc wyznawcami ideologicznej orientacji państwa, nie deklarują się jako zdecydowani przeciwnicy. Tolerancja jest w końcu zawsze tylko tolerancją, a nie uznaniem równoprawności. Jest ona cnotą silniejszego, a nie relacją zachodzącą między równoprawnymi podmiotami. Dlatego zawsze słabsi wołają o tolerancję. Równoprawny partner może się domagać szacunku ale nie tolerancji. Równouprawnienie różnych orientacji ideologicznych wymagałoby jednak rezygnacji państwa z jawnych, ideologicznych funkcji.

Przeciwnicy, rzecz jasna, nie mogą się identyfikować z państwem i trudno od nich tego wymagać, choć równocześnie mogą być przecież patriotami, mogą identyfikować się z wartościami narodowymi, mogą „czuć się Polakami”. Jednak w warunkach państwa ideologicznego spór nie może mieć tylko charakteru ideologicznego, a więc dotyczyć jedynie pojmowania patriotyzmu, rozumienia dobra kraju. Schodzi on na poziom odmawiania „prawa do polskości”, obustronnego obrzucania się inwektywami o „nie-Polakach”. Nie jest to kwestia wyłącznie kultury politycznej. Spór nie toczy się bowiem o władzę w państwie ale o istotę państwa. O nowym podstawowym odczuciu, że stosunek do państwa w społeczeństwie pozostawia wiele do życzenia, nie decydują wcale przeciwnicy ideologiczni. To właśnie badania świadomości przeciętnych oby-

wateli, a nie przeciwników, ujawniają dystans między stosunkiem do wartości narodowych i do państwowych.

Mówiąc obrazowo – sztandarowi należy się szacunek, urzędowi nie należy się nawet poważanie. Dlaczego? Rzecz jasna, bardzo wiele zależy od tego symbolicznego urzędu. Państwo zawsze jest jakoś personifikowane. Kiedyś personifikowała je osoba władcy, dzisiaj – aparat państwowy, często po prostu urząd. Bardzo wiele zależy od tego, jak on pracuje, jakie stosunki panują w nim samym i jakie stwarza on wokół siebie, w szerszym społecznie promieniu. To samo powiedzieć można o prawie. Poszanowanie prawa jest wszak podstawowym wyznacznikiem stosunku do państwa. Zbędne byłoby w tym wypadku szczegółowe wyjaśnienie, jak wiele zależy od tego, jaki jest i jak działa system prawa w państwie. Czy mamy w nim do czynienia z władzą prawa nad władzą, czy władzą władzy nad prawem, a więc inaczej: czy wszyscy są wobec prawa rzeczywiście równi, czy jest ono względnie stałym regulatorem, którym nie można uznaniowo manipulować.

Nie zamierzam dorzucać mniej lub bardziej świeżych obserwacji do tego, o czym wielokrotnie już dyskutowano i pisano. Powracając do głównego wątku – sędzę, że zróżnicowanie postaw zwykłych, przeciętnych obywateli w stosunku do ideologicznych funkcji państwa jest bardzo duże. Od wrogości, przez niechętną obojętność, do akceptacji.

Można chyba przyjąć, że zdecydowaną większość społeczeństwa cechowała niechętna obojętność, ale rzecz nie w rachunku. Niezależnie bowiem od niego pozostaje faktem, że w socjalistycznym systemie politycznym w zakres postawy wobec państwa wchodził nie tylko stosunek pragmatyczno-obywatelski, docenianie roli organizatorskiej, poszanowanie kompetencji, podporządkowywanie się normom prawnym, administracyjnym. Dochodził do tego także w mniejszym lub w większym stopniu stosunek do ideologii i tych elementów systemu politycznego, które z nią się wiążą, jak np. do przewodniej roli partii. A więc na stosunek do państwa rzutowało więcej elementów aniżeli w systemie, w którym można mieć pozytywny stosunek do państwa będąc równocześnie zdeklarowanym przeciwnikiem partii, która aktualnie ma władzę.

Na tym się jednak sprawa nie kończy. Będę jeszcze pisać na temat specyfiki pojmowania władzy przez przeciętnego obywatela. To, że na władzę w ogóle patrzy on często przez pryzmat władzy lokalnej (np. gminnej), jest obserwacją banalną. Nie jest także odkrywczym stwierdzeniem, że potoczna świadomość skłonna bywa do utożsamiania

tej właśnie, konkretnej władzy z ogólnym pojęciem państwa. W potocznej świadomości nie ma więc owego rozdziału między zmieniającą się „władzą” – która jako określona, konkretna grupa ludzi jest „elementem czasowym” – a państwem, które jest i trwa, było i będzie.

Kolejna przyczyna trudności w kształtowaniu się właściwych postaw wobec państwa związana jest z wyjątkowym, szczególnym zakresem jego kompetencji oraz z wielością jego funkcji. Płace zbyt niskie, ceny za wysokie, jakość produkcji fatalna – państwo odpowiada. Państwo „daje” emerytury i państwo łoży na kształcenie studentów, inwestuje i rozdziela świadczenia społeczne, odpowiada za programy szkolne i za program telewizji. Jeśli dodamy do tego nie zawsze jasno określoną, precyzyjnie rozgraniczoną czy choćby powszechnie uświadamianą strukturę kompetencji poszczególnych ogniw, instytucji, urzędów, otrzymamy przerysowany tylko nieznacznie obraz zakresu odpowiedzialności, którym potoczna świadomość społeczna obarcza państwo. Zadowolenie ludzi z faktu, że „dzieje się dobrze” jest zawsze mniejsze aniżeli ich krytycyzm wynikający z przejawów skrzeczącej rzeczywistości. Jest prawidłowością psychologiczną, że sytuację korzystną traktuje się jako normalną i oczywistą, natomiast z zakłóceniami owej normalności trudno się pogodzić.

W tej sytuacji państwo nie może być traktowane jako szacowna struktura, cenna sama przez się. Nie jest ono formą, w którą przyobleka się niepodległy byt narodu. Dla przeciwnika ideologicznego jest ono narzędziem realizowania się władczej roli partii, dla przeciętnego obywatela zaś władzą odpowiedzialną za wszystkie negatywne zjawiska występujące w życiu społecznym.

W 1990 roku, w fazie dokonywanej zmiany ustroju, wielu skłonnych jest sądzić, że istota takiego stosunku do państwa sprowadza się do problemu o jaką ideologię chodzi. Wystarczy więc zmiana ideologicznego kostiumu na bardziej twarzowy, akceptowany przez większość społeczeństwa. Nie jest to jednak prawda. Państwo ideologiczne nie może być akceptowane i szanowane przez wszystkich jego obywateli, ani też nie może mieć cech trwałości, ponieważ nie ma ich żadna ideologia. Musi więc dzielić losy ideologii, która je określa, czyli przez jakąś część społeczeństwa zawsze będzie odrzucane i zwalczane a w perspektywie bliższej i dalszej zawsze czeka je upadek.

Rozdział 3

Monostruktura władzy

Władza. Społeczeństwo. Oba te pojęcia są rozdzielane i przeciwstawiane. Czy tylko u nas? Nie. Amerykanin także mówi – „ci z Waszyngtonu”. Francuz powie o „tych z Pałacu Elizejskiego”, czy po prostu o „tych na górze”. Wszędzie są jacyś „oni” i jacyś „my”, ponieważ wszędzie, niezależnie nawet od sposobu wyłaniania i legitymizowania rządzących, wyodrębniają się oni z rządzonej reszty społeczeństwa.

Ale jest także pewna różnica i ona stanowi o naszej nadwiślańskiej specyfice. „Solidarność” – jak pisze Szczepański – *w okresie swojej wielkiej aktywności w latach 1980–1981 idealizowała społeczeństwo jako uosobienie dobra przeciwstawianego państwu jako uosobieniu zła. Ta idealizacja mas obywatelskich była powtórzeniem marksistowskiej idealizacji klasy robotniczej jako siły tworzącej ustrój socjalistyczny*¹. Po sierpniu 1980 roku karierę zrobił w Polsce postulat dialogu władzy ze społeczeństwem. W wielu innych krajach byłby on mało czytelny, czy wręcz niezrozumiały. Pojęcie dialogu zakłada istnienie dwóch równorzędnych partnerów. Właśnie to stanowi o naszej specyfice. Zawiera się ona nie tylko w sile akcentowania dwupodziału, ale w przekonaniu, że mamy do czynienia jakby z dwoma niezależnymi, monolitycznymi podmiotami. Mówiąc o władzy nie ma się najczęściej na uwadze konkretnych ludzi, ani nawet określonych instytucji. Władza to władza. Istnienie w świadomości potocznej tego rozdziału, a często nawet przeciwstawienia, jest produktem procesów społecznych i politycznych, które w przeszłości ukształtowały system polityczny. Tym zaszłościom warto się przyjrzeć baczniej.

W całym, ponad czterdziestoletnim funkcjonowaniu socjalistycznego systemu politycznego władza nigdy nie była arbitrem (choć funk-

¹J. Szczepański, *Społeczeństwo polskie w perspektywie globalnych zmian politycznych* [w:] *Współczesne problemy...* op. cit. s. 8.

cje społecznego i politycznego arbitrażu niekiedy spełniała). Zawsze była stroną. Na Zachodzie, jeśli Smith uważał, że zbyt mało zarabia, przeklinał Jonesa, u którego pracował i który płacił mu za mało. Nasz Kowalski wymyślał, w tej sytuacji władzy, tym co „na górze”. Potoczna świadomość nie dokonywała subtelnych rozróżnień między sferą a zakresem kompetencji różnych organów administracji państwowej i gospodarczej, czy organizacji politycznych. Przeciętny obywatel rejestrował istnienie drabiny władzy, w której decydującą rolę odgrywały szczeble hierarchii a drugorzędną funkcje, sfery oraz zakresy kompetencji i odpowiedzialności usytuowane w poziomie. Wszelkie sprzeczności interesów i celów występujące między różnymi grupami społecznymi – w świadomości nie tylko rządzonych, ale i rządzących – jawiły się więc jako sprzeczności między władzą a społeczeństwem.

Dlaczego tak się działo? Próba pierwszego, wstępnego wyjaśnienia naprowadza nas na trop „omnipotencji” władzy, bez której nie dzieje się nic, co „ma prawo się dziać”. Do roku 1980 nie było takiej dziedziny życia społecznego, która programowo wolna byłaby od ingerencji władzy (choćby ingerencji potencjalnej). To prawda, że były w społeczeństwie, które swą siłę i znaczenie czerpały z samych siebie, a nie z nadania władzy. Trzeba tu wymienić w pierwszym rzędzie Kościół katolicki i organizacje z nim związane, jak choćby Kluby Inteligencji Katolickiej. Niektóre zrzeszenia, np. związki twórcze, starały się także prowadzić względnie niezależną, samodzielną politykę, co niejednokrotnie prowadziło do konfliktu z władzami – najbardziej „niepokorny” był chyba Związek Literatów Polskich. Jednak w przypadku organizacji masowych było inaczej. Ich powstawanie i działalność ilustrowało założenie, w myśl którego nie władza ma być emanacją społeczeństwa, ale inicjatywy i organizacje społeczne powinny być „emanacją władzy”. Czy nie jest to przyczyną, dla której pierwszy, rzeczywiście przełomowy kryzys polityczny roku 1980, w owe „emanacje” (związki zawodowe, FJN) uderzył najsilniej, w pierwszej kolejności, choć nie do końca przecież sprawiedliwie?

Używam tu pojęcia „władza” wkraczając na teren mglisty. Możemy oczywiście posłużyć się definicjami, którymi operuje nauka – przede wszystkim socjologia i prawo, ale dla przeciętnego obywatela – pór zogniskowany wokół subtelności definicyjnych uściśleń wydać się może pusty i jałowy. Konkretna, realna władza zawsze bardziej interesowała ludzi, niż wszelkie spory na temat jej ogólnego pojęcia.

Można tu użyć określenia „monostruktura władzy” i – jak sądzę – świadomość społeczna do końca lat siedemdziesiątych rejestrowała

właśnie istnienie owej monostruktury, która obejmowała kierownictwo partyjne, kierownictwa administracji państwowej i gospodarczej wszystkich szczebli, członków instytucji przedstawicielskich, a w pewnym zakresie także sądownictwa, czy szerzej – całą sferę pewnej regulacji życia, milicję i służbę bezpieczeństwa. Władza to „oni”.

W rozdziale tym koncentruję się na percepcji władzy przez przeciętnego obywatela, rezygnując z ambicji opisanie zjawiska władzy w jej rzeczywistym funkcjonowaniu. Pewnych jednak zagadnień z zakresu teorii i praktyki władzy socjalistycznej pominąć nie można. Warto, jak sądzę, zwrócić uwagę na rozbieżności występujące w tym przedmiocie między płaszczyzną teoretyczną, formalną i praktyczną.

Teoretycznie, w socjalistycznym systemie politycznym obowiązywała zasada jedności władzy podporządkowanej kierowniczej roli partii komunistycznej. Niezależnie od różnych formalnych subtelności *pozostaje jednak niezmienną zasadą marksizmu – jak pisze Wiatr – iż niezależnie od rodzaju systemu partyjnego siłą kierowniczą (...) jest zawsze partia komunistyczna. To, co się zmienia, to formy realizowania przez partię komunistyczną jej kierowniczej roli, a nie sama istota zagadnienia*². Dlatego, kiedy w powitalnym przemówieniu otwierającym w 1989 roku obrady „okrągłego stołu”, Czesław Kiszcza odwołał się do Monteskiuszowego podziału władz jako zasady, którą w toku reformy systemu politycznego należy wprowadzić w życie; było to stwierdzenie rewolucyjne. Podział i równowaga władz są nie do pogodzenia z zasadą kierowniczej roli partii. Czy mówca zdawał sobie sprawę z jego praktycznych konsekwencji? Trudno odpowiedzieć. Ale charakterystyczne jest, że nikt na sformułowanie to nie zwrócił uwagi.

O ile w teorii założeniem była jedność władzy, formalnie, przez cały powojenny okres, ów podział i równowaga władz są zachowywane w ich strukturze – władza ustawodawcza (Sejm), wykonawcza (rada ministrów) oraz sądownictwo; a nawet w statutach, które deklarują, że Sejm jest władzą najwyższą a sądownictwo jest niezawisłe. Chociaż klasyczny podział i równowaga władz formalnie są zachowane, w rzeczywistości ów podział jest raczej iluzoryczny, co w tym przypadku – i raczej na prawach wyjątku – zbliża teorię do praktyki. Dotyczy to nawet władzy sądowniczej, której niezawisłość bywała naruszana tylko w okresie stalinowskim. W praktyce zatarciu ulega przede wszystkim

²J. Wiatr, *Socjologia stosunków politycznych*, Warszawa 1978 s. 439–440; por. także A. Łopatka, *Kierownicza rola partii komunistycznej w stosunku do państwa socjalistycznego*, Poznań 1960.

podział między władzą ustawodawczą a wykonawczą. Formalnie Sejm programował i kontrolował pracę rządu. W praktyce było odwrotnie – kierunki aktywności Sejmu zależne były od inicjatywy rządu, z czego jednak wcale jeszcze nie wynika hegemonia władzy wykonawczej.

Jeszcze w okresie rządu premiera Messnera, na niespełna dwa lata przed „rewolucją parlamentarną” i dojściem do władzy rządu premiera Mazowieckiego, jedno z zarządzeń Prezesa Rady Ministrów, określając obowiązki członków Prezydium Rządu, stwierdzało, że *wykonują oni uchwały naczelných władz PZPR oraz rozpatrują wnioski naczelných władz ZSL i SD*³. Zarządzenie to nie było jednak zwykłą, polityczną niezręcznością. Bo choć formalnie kierownicza rola PZPR w państwie miała być realizowana przez parlamentarną większość członków tej partii w Sejmie, w rzeczywistości jednak rola parlamentu sprowadzała się wyłącznie do formalnego potwierdzania (nawet nie zatwierdzania) uchwał i decyzji podejmowanych przez centrum polityczne, którym było przede wszystkim Biuro Polityczne PZPR i Prezydium Rządu.

Wspomniana więc wcześniej potoczna opinia, według której w rzeczywistości jest tylko jedna „władza” i ona ma monopol na rządzenie, jeśli nawet jest uproszczona, nie jest całkowicie bezzasadna. Świadomość przeciętnego Polaka rejestruje obraz władzy jako drabiny, w której istotne są szczeble, a nieważne – zakresy kompetencji. Najważniejszy szczebel owej drabiny w wyobrażeniach przeciętnego obywatela skupia w swych rękach moc władzy niemal absolutnej.

Miałem kiedyś okazję przysłuchiwać się rozmowie w pokoju przyjęć KC PZPR. Daremnie próbowano wyjaśnić jednemu z interesantów, że uprawomocniony, a – jego zdaniem niesłuszny – wyrok sądu, wymaga rewizji nadzwyczajnej, dyżurujący zaś towarzysz z KC może służyć tylko informacją do kogo się zwrócić po kompetentną poradę. – *Jak to, towarzysz sam tego załatwić nie może?* Interesant opuścił gmach w przekonaniu, że został zbyty przez człowieka, który załatwić jego sprawę nie chciał.

Scena ta rozegrała się w końcu lat siedemdziesiątych. Jeśli nawet przyjąć istnienie najwyższego szczebla owej drabiny, można mieć wątpliwości, czy był to wówczas szczebel partyjny (mimo, że tak sądziła większość ludzi).

Podział kompetencji między partią a władzą administracyjną stawał się już wtedy coraz bardziej płynny i nieprzejrzysty. Proces zlewania się obu aparatów, łączenia funkcji, jak np. sekretarza i przewo-

³Rozporządzenie Prezesa Rady Ministrów z 30 października 1987 r.

dniczącego wojewódzkiej rady narodowej, bardzo często nie oznaczał „upartyjniania” władzy, ale biurokratyzowanie partii. Awansem w latach siedemdziesiątych nie było przejście z pracy w aparacie władzy administracyjnej do aparatu partyjnego. W hierarchii władzy, prestiżu, przywileju materialnego, wektor awansu częściej już – przynajmniej w Warszawie – prowadził w drugą stronę – z aparatu partyjnego do administracyjnego.

Chyba, że chodziło o awans metodą „obejścia z boku”. Wówczas w konkretnych przypadkach mogło się okazać, że „skrót” pozwalający przeskoczyć kilka szczebli w hierarchii prowadzić może przez czasowe oddelegowanie do pracy w aparacie partyjnym. W niektórych województwach bywało oczywiście inaczej. Ale czy komitet, który bezpośrednio administruje nie staje się centrum władzy administracyjnej?

To były jednak „subtelności”, na które właśnie przeciętny obywatel uwagi nie zwracał. Dopiero bardziej wnikliwa analiza pozwalała rozróżnić okresy, w których w owej monostrukturze władzy większą rolę odgrywała partia, wzmacniając tym samym ideologiczne funkcje władzy, i okresy, w których górę brała administracja, co powodowało, że na plan pierwszy wysuwały się pragmatyczne funkcje rządu.

1

Dla zanalizowania procesów, które zachodziły w przeszłości wewnątrz samego układu władzy, dla charakterystyki tego układu, nawet dla określenia jego celów programowych i metod ich realizacji, mogą być ważne kwestie takie jak dominacja aparatu partyjnego czy administracyjnego. Dla samego istnienia jednak owego dwupodziału w świadomości przeciętnego obywatela były one drugorzędne. Władza to „oni”, kimkolwiek by oni nie byli, jakikolwiek byłby ich rodowód. Społeczeństwo zaś to „my”. W potocznym, obiegowym przekonaniu władza to ci, którzy decydują o wszystkim – społeczeństwo składa się z tych, którzy nie decydują o niczym.

Przeświadczenia tego zresztą nie była w stanie rozbić nawet obserwacja realnego życia. Typowy, przeciętny obywatel – może być nim właśnie ów interesant szukający pomocy w KC – zdawał sobie przecież sprawę, że konkretny przedstawiciel władzy może mieć ograniczone kompetencje. Dyrektor jego przedsiębiorstwa, to przecież jeden z tych, którzy „mają władzę”. Wojewoda? To przecież górne regiony władzy.

Zdaje on sobie jednak sprawę z tego, że możliwości każdego z nich są ograniczone. Totalna wszechwładza odnosić się może tylko do całego układu. Wszak taką władzę nie może poszczycić się nikt z rządzących, w żadnym systemie politycznym, nawet w monarchii absolutnej.

Ponieważ niejednokrotnie sposób sprawowania władzy w przeszłości porównywany był z władzą feudalną warto zastrzec, iż porównanie to jest trafne tylko wówczas, jeśli wyobrazimy sobie feudalizm bez najwyższego suwerena. Jest to taki przypadek piramidy, której wierchołek nie włada podstawą. Rządzi dwór a nie władca. Bożyk w książce analizującej przyczyny klęski polityki gospodarczej Gierka⁴ pokazuje, jak centrum – owo najwyższe kierownictwo – stawalo się więzieniem przemożnych grup nacisku wchodzących w obszar szerzej pojętej władzy, owego dworu. Przy czym był to dwór niezwykle „zdemokratyzowany”. Określenia „zdemokratyzowany” używam tu w znaczeniu najbardziej dosłownym, istnienia względnie szerokiego dostępu do władzy. Stąd wszelkie pojęcia typu: ekipa, grupa, elita, arystokracja, do tego zjawiska nie pasują.

Przed wszystkim zatarta była granica między kadrą zarządzającą w gospodarce, przemyśle, a ludźmi z administracji państwowej i politykami. Zresztą w sytuacji, gdy państwo włada i zarządza środkami produkcji, posada dyrektora jest takim samym rodzajem służby państwowej, jak posada wojewody, ministra czy premiera. Ponieważ jednak kompetencje partii i rządu zlewały się tak, że w wielu dziedzinach rozgraniczyć ich nie sposób, więc sekretarz partii dołączał do tego grona. Zresztą w latach siedemdziesiątych pierwszych sekretarzy komitetów partii w ministerstwach i centralnych urzędach uhonorowano tytułami wiceministrów. Tam gdzie wszystko jest polityką, wszyscy są politykami. Dyrektor fabryki przekonał się o tym bardzo szybko, gdy okazywało się, że dobre wyniki ekonomiczne przedsiębiorstwa łatwiej jest wypolitykować aniżeli wygospodarować.

2

Istnienie hybrydowej „monostruktury władzy” nie przesądza jednak o występowaniu wyraźnej, ostrej granicy oddzielającej władzę od społeczeństwa, choć sprzyja postrzeganiu przez ludzi władzy jako wyraźnie wyodrębnionego podsystemu.

⁴P. Bożyk, *Marzenia i rzeczywistość czyli anatomia polskiego kryzysu*, Warszawa 1982.

Czytelnik, który spodziewa się ostrych przesądzeń i jednoznacznych werdyktów może się czuć zawiedziony odpowiedzią, że ów podział równocześnie jest i nie jest wyraźny. W teorii sprawa jest względnie prosta. Granica między układem władzy a społeczeństwem przebiega między tymi, którzy kierują a tymi, którzy są kierowani. W praktyce jednak jest ona płynna. Szczególnie w naszym przypadku, gdy mówiąc „władza” musimy mieć na myśli wielki podsystem społeczny, który wcale nie jest monolitem i pod wieloma względami jest równie zróżnicowany jak reszta społeczeństwa. Nie oznacza to jednak, że owej granicy nie ma. I nie tylko formalnoprawnej.

Badania socjologiczne potwierdzają, że „obraz świata” ludzi z szeroko pojętego układu władzy może być inny, aniżeli tych, którzy nie pełnią kierowniczych ról w społeczeństwie⁵. Przy tym nie chodzi wcale o fakt, że ludzie z układu władzy żyją w innym świecie – to ostatnie odnosić się może jedynie do samego wierzchołka władzy. Oni mogą żyć w tym samym świecie, w którym żyje robotnik ale inaczej ten świat postrzegają.

W świecie, w którym zróżnicowanie stosunku poszczególnych grup społecznych do własności utrzymuje się jedynie w stanie szczątkowym, podziałem głównym i dominującym staje się stosunek do władzy. Przy czym władza ta, nawet jeśli w rzeczywistości jest iluzoryczna, wpływa silnie na świadomość, tym silniej zresztą, że wspiera się ona o uzasadnienia ideologiczne z nich czerpiąc swą legitymizację.

Obraz świata u kierowników był w latach siedemdziesiątych bardzo często obrazem „sklejonej rzeczywistości”⁶. Nierzeczywistość i rzeczywistość, świat ideologii i świat realny są wzajemnie poprzerastane. Pozór brany jest za fakt, fakt brany za pozór.

Rola ideologii jest tu niezwykle istotna, ale chodzi tylko o jeden jej składnik, jedną funkcję. Chodzi o ideologię w jej strukturze powinności, celów, które przyjmowane są za ważne i które mają być realizowane. W skrajnej postaci – zjawisko ma wszak swoją gradację – w obrazie świata widzianego przez kierowników, co zostało zadekretowane w ideologii, postrzegane było jako realnie istniejące w życiu. Nawet wówczas, gdy życie to było właśnie jak najdalsze od owych dekretacji.

– Państwo socjalistyczne jest państwem robotników i chłopów; robotnicy i chłopci w nim rządzą. Występowanie przeciwko władzy jest więc występowaniem przeciwko robotnikom, a jeśli czynią to robotnicy,

⁵patrz np.: *Polacy 80*, Warszawa 1981, red. M. Marody.

⁶Termin wprowadzony przez M. Marody, tamże, wstęp.

widocznie ktoś ich napuścił, otumaniał, bo przecież gdyby pozostali przy swoim, zdrowym, robotniczym instynkcie – nie występowaliby przeciwko sobie.

W tym obrazie rzeczywiście strajk był czymś zupełnie niewyobrażalnym, nie do przyjęcia. Czy widział kto kiedy, aby właściciele strajkowali?

W ten właśnie sposób argumentowano aż do 1980 roku dlaczego strajków w socjalizmie nie ma i być nie może.

3

Robotnik ową ideologiczną strukturę powinności, celów, odbierał inaczej. Niektórzy skłonni są zakładać, że wyłącznie jako pustą grę słów, które dawno już pogubiły znaczenia, albo jako manipulację, czy rodzaj „nowomowy” wyspecjalizowanej w przesłanianiu rzeczywistości realnej. Nie jest to prawda.

Krytycyzm robotników wobec rzeczywistości realnej jest tym większy, ostrzejszy, bardziej dosadny i gwałtowny, im silniej wpisała się w ich świadomość ideologiczna struktura ustrojowych powinności. Jadwiga Staniszkis w jednym ze swoich wystąpień zauważyła, iż w okresie Sierpnia poczucie upośledzenia robotników podwyższone zostało o dosłowność sloganu.

Dla inteligenta – niekierownika, szczególnie dla intelektualisty, ideologiczna zbitka pojęciowa to slogan. Odrzuca go. Jeśli musi użyć, stara się, aby słuchacze dostrzegli jego przymrużenie oka, jego ironiczny dystans wobec słów, których użyć właśnie musi, bo tak każe zwyczaj. Rozgraniczenia te są oczywiście pewnym umownym przerysowaniem – ilustracją skłonności, tendencji a nie stanów. Trywialny pogląd głosi, że człowiek najlepiej dostrzega to co zgodne z jego interesami. Myślę, że najwłaściwsza i najbardziej odpowiadająca rzeczywistości byłaby hipoteza, że człowiek lepiej dostrzega to co potwierdza jego wyobrażenia.

Władza, która odpowiada za wszystko, bo wszystkim kieruje, zawsze bywa podatna na postrzeganie świata takim, jakim chciałaby go widzieć, więc potwierdzającym skuteczność jej zamiarów i odpowiadającym deklarowanym intencjom i celom. Jej wyobrażenie o sobie właśnie dlatego może być na przekór faktom nieodmiennie i nieuleczalnie dobre. Nie jest skłonna przyjmować do świadomości, iż rzeczywistość skrzeczy, bo zakłócałoby to harmonię jej wyobrażeń o sobie.

Rozczarowany inteligent ze swoją skłonnością do krytycznego scep-

tycyzmu po prostu odrzuca całą sferę chronicznie w toku historii nie realizowanych, czy choćby realizowanych ułomnie, ideałów. W filozofii, tej szczególnie „inteligenckiej”, bo spekulatywnej nauce, po okresach naglej erupcji maksymalistycznych systemów zawsze przychodziła faza teorii minimalistycznych i krytycznych. Po okresie wielkich wizji przychodzi czas sceptycznych krytyk. Z samej wizji zaś, niegdyś jeszcze otaczanej płomienną wiarą (w istnienie tego czasu dzisiejszy młody inteligent po prostu wątpi) zostały, jego zdaniem, tylko szczątki martwych stereotypów.

4

Powróćmy do wspomnianego dwupodziału. Dowodziłem, że owa linia demarkacyjna była oczywista i wyraźna. Można jedna zebrać równie obfitą i równie przekonującą liczbę dowodów, że jej... nie było. W układ władzy wchodzili przecież nie tylko kierownicy, co było produktem zatarcia się podziału między kierowaniem, zarządzaniem, a rządzeniem. Jakąś częśćkę współudziału we władzy miał nie tylko poseł, ale i radny. W systemie społecznym przedsiębiorstwa współudział w kierowaniu miał przewodniczący rady zakładowej, działacz związków zawodowych, nie mówiąc już o sekretarzu organizacji partyjnej. Kierownictwa organizacji młodzieżowych i społecznych także miały swój udział we władzy. Organizacje młodzieżowe w latach siedemdziesiątych na swoich szczytach kierowniczych odtwarzały zresztą – i to w szczególnie ostrej, wręcz karykaturalnej formie – wiele negatywnych cech władzy z „epoki Gierka” – arogancję, dygnitarstwo i prywatę.

Sfera szeroko pojętej władzy wchłaniała w siebie wszystkie te struktury, które w innym modelu kierowania w obszar jej nie mogły wchodzić. Mówiąc o szeroko pojmowanym układzie władzy myślimy więc o całej rozłożystej koronie ogromnego drzewa. Liczne rozgałęzienia tej korony obejmowały wszystkie dziedziny życia; większość instytucji i organizacji pośrednio lub bezpośrednio, wyrastało z pnia, którym było centrum i formalnie, choć nie zawsze faktycznie, było mu podporządkowanych.

Ale o jeszcze jednym trzeba tu wspomnieć. W systemie, w którym nie przewiduje się miejsca dla formalnie istniejącej opozycji, władza stara się zagospodarować i wchłonąć w siebie wszystkich potencjalnie aktywnych politycznie obywateli. Jest to zresztą zrozumiałe, przy czym tendencja ta dodatkowo wzmocniona była przez samą doktrynę lu-

dowładztwa, która zakładała aktywność najszerzych mas. Zauważmy, że po każdym kryzysie politycznym podejmowano u nas decyzję o „poszerzeniu bazy rządzenia”.

Błędem jest wprowadzanie całego bogactwa różnorodnych rodzajów społecznego zaangażowania i społecznej aktywności do aktywności wyłącznie politycznej. Można przyjąć, że w każdym społeczeństwie liczba ludzi politycznie aktywnych jest ograniczona. W demokracjach parlamentarnych mechanizm gry: władza – opozycja pozostawia możliwość wyboru. W naszych warunkach człowiek o politycznych ambicjach mógł je oficjalnie realizować tylko w układzie władzy.

W warunkach administracyjnie zbiurokratyzowanej aktywności społecznej, w której nawet działanie w samorządzie ogródków działkowych było działaniem w strukturach władzy, obywatelskie szanse wyboru sprowadzały się do alternatywy – aktywność albo odmowa (jeśli nie liczyć aktywności politycznie peryferyjnej lub nielegalnej). Wszyscy, którzy chcieli działać musieli więc wejść w układ władzy. I wbrew pozorom nie było to wcale aż tak bardzo trudne. Drzwi i korytarzy prowadzących do tego układu było wiele, wiele z nich było otwartych. Można było zacząć działać w samorządzie osiedlowym, nawet działalność w komitecie sklepowym mogła być korytarzem, który prowadził do układu władzy. Te drzwi były naprawdę otwarte. Zaryzykowałbym twierdzenie, że pod koniec lat siedemdziesiątych problem nie polegał wcale na przymykaniu owych drzwi, ale na tym, że nie było już chętnych aby do nich stukać. Podejrzewam, że wymyślony w tamtej dekadzie twór – Społeczne Komitety Kontroli (czego jak czego, ale różnych zinstytucjonalizowanych form kontroli nigdy w Polsce nie brakowało) – powołano do życia po to, aby jeszcze trochę ludzi mógł w siebie wessać ówczesny układ władzy.

Ten układ władzy był więc „zdemokratyzowany”. W konsekwencji wchłaniał on w siebie także własną opozycję, co w skrajnych przypadkach rodziło zjawiska zgoła schizofreniczne, nawet ministrów, którzy – prywatnie – krytykowali własną politykę. I nie ma w tym żadnej ironii. Czy oznacza to, że był on demokratyczny? Tego nie powiedziałem.

Oczywiście ten obraz jest ogromnie uproszczony. Ale nawet prezesi spółdzielni byli typowani i akceptowani, chociaż spółdzielczość w teorii jest i zawsze była statutowo samorządna. Oczywiście prezes autentycznie samorządnej spółdzielni w samorządnej spółdzielczości nie wchodziłby w monostrukturę władzy. Natomiast stawał się już jej udziałowcem prezes spółdzielni „upaństwowionej”, którego stanowisko było w nomenklaturze.

To jasne, że ów ekstensywnie, ponad wszelką miarę, rozrośnięty układ władzy nie mógł być zwartym monolitem. Między poszczególnymi szczeblami, aparatami i rodzajami władzy zachodziły istotne różnice, zdarzały się także sprzeczności. W praktyce bywało, że więzi poziome między różnymi ogniwami władzy okazywały się bardzo silne – wszak na tym terenie zawiązywano sojusze zaczepne i obronne, co stugębna plotka sprawnie roznosiła: Kowalski sprzymierzył się z Kwiatkowskim przeciwko Wiśniewskiemu, żeby wysadzić z siodła Majewskiego, bo protegowany Kowalczyka ma zająć jego miejsce.

Ale mimo tego, w sensie modelowym, była to **monostruktura hierarchiczna**.

5

W idealnych, utopijnych wyobrażeniach o doskonałej demokracji władza pozbawiona jest wszelkiej podmiotowości. Jest fragmentem społeczeństwa demokratycznie zeń wyłonionym, bez prawa do posiadania specyficznych, własnych interesów, sprzecznych czy choćby różnych od interesów wyborczej większości.

Jeśli trudno byłoby dowodzić, że władza przy dotychczasowych ordynacjach wyborczych, była demokratycznie ze społeczeństwa wyłaniana, to wystarczy obserwacja, by dostrzec, że władza się ze społeczeństwem zlewała. Podstawą oczywiście, a nie wierzchołkiem.

W świadomości społecznej linia była prosta, wyraźna i drastycznie oddzielała jednych od drugih. W praktyce społecznej jednak była to linia płynna, bez mała nieuchwytna. Z faktyczną otwartością układu władzy korespondują nawet pewne charakterystyczne i specyficzne zjawiska natury obyczajowej czy wręcz kulturowej. Potoczna obserwacja dostarcza nie tylko przykładów „małych władców” celebrujących w swym otoczeniu wszelkie możliwe atrybuty „dużej władzy”. Nawet kierowca autobusu potrafi manifestować władzę nad pasażerami i bywa, że nieśmiało z ich strony próby przypomnienia mu jego roli usługowej odbiera jako uwłaczający zamach na prestiż i godność.

W rezultacie dochodziło do tego, że każdy był gdzieś „władzą”, a gdzie indziej „obywatелеm-petentem”. Z jednej strony więc układ władzy wchłaniał w siebie poważną część społeczeństwa, z drugiej zaś coraz liczniejsze grupy obywateli wchłaniały, czy raczej przejmowały niektóre znamiona postaw i zachowań cechujących władzę.

Z jednej strony ostre przeciwstawienie – „my” i „oni”, z drugiej zaś

rozproszenie władzy w społeczeństwie, brak wyraźnej granicy między rządzącymi a rządzonymi. Najprawdopodobniej (w końcu wnikliwych badań na ten temat w żadnym z krajów socjalistycznych nie prowadzono) jest to specyfiką wyłącznie polską. Chyba w żadnym innym kraju socjalistycznym taki układ się nie wytworzył. Ostry rozdział występuje w świadomości i ma charakter ideologiczny; wzajemne przenikanie się układu władzy ze społeczeństwem ma charakter społeczny. Władza jest w sensie ideologicznym – jako władza w ogóle, jako abstrakcyjni „Oni” – wroga i jest synonimem zła. Władza w znaczeniu praktycznym, konkretnym, jest raczej bliska i oswojona. Ideologiczne oddzielenie – społeczne spokrewnienie. Tę sytuację potwierdzają badania socjologiczne, z których wynika, że przeciętny obywatel na temat „władzy w ogóle” skłonny jest wypowiadać się jednoznacznie negatywnie, ale już wtedy, gdy przychodzi do oceniania konkretnych ludzi czy instytucji władzy, z którymi sam się styka, formułuje opinie o wiele bardziej zrównoważone a bywa, że nawet życzliwe⁷. Abstrakcyjny funkcjonariusz władzy jest postrzegany jako ktoś z obcej, wrogiej grupy; konkretny przedstawiciel władzy, np. lokalnej, może być potraktowany jako członek tej samej, co i my wspólnoty („on dobrze chce, ale co on biedak może”)⁸.

Zjawisko ideologicznego oddzielenia i społecznego skoligacenia wydaje się jedną z przyczyn szczególnej podatności polskiego systemu politycznego na wstrząsy społeczne. Ideologiczne, świadomościowe oddzielenie władzy od społeczeństwa skłania by tę pierwszą obarczać pełną odpowiedzialnością za wszystkie negatywne zjawiska, których nie szczędzi życie. Nie oznacza to jednak prostego wyostrenia oceny władzy, ale rodzi zjawisko krytycyzmu rewolucyjnego nie reformistycznego, a więc takiego, który zorientowany jest na radykalne zmiany całościowe, a nie na szczegółowe, cząstkowe usprawnianie. Skłonności do takiej negacji towarzyszy więc tendencja do usprawiedliwiania zjawisk negatywnych, które zachodzą w najbliższym kręgu rzeczywistości, szczególnie rzecz

⁷patrz np.: *Władza lokalna w warunkach kryzysu*, Raport z badań, Warszawa 1987.

⁸Świadomość, że władza lokalna „niewiele może” jest dość powszechna i odpowiada rzeczywistości, potwierdzają to m. in. badania nad funkcjonowaniem lokalnych układów władzy prowadzone w ramach programu „Rozwój regionalny – rozwój lokalny – samorząd terytorialny”. W. Błasiak, S. Nurek, M.S. Szczepański, J. Wódz, *Szczyrk – funkcjonowanie układu lokalnego w warunkach kolonizacji turystycznej*, 1987–1988; A. Boczkowski, J. Hryniewicz, J. Siewierski, *Puławy, Poddębice, Łódź. Opinie i postawy mieszkańców trzech miast w perspektywie porównawczej*, 1988; A. Głowacki, *Funkcjonowanie lokalnego systemu władzy*, 1988; W. Gomuła, *Władza lokalna wobec centrum*, 1988 (niepublikowane raporty z badań).

jasna tych, w których sami mamy swój udział. Rzeczywistość – jak władza – jest zła „w ogóle”, ale już to, co dzieje się na własnym podwórku np. pracowniczym, bywa traktowane z wyrozumiałością. Spiętrzenie przyczynowo-skutkowych zależności dostrzegane jest w bliskim promieniu ale nawet przekonujące wyjaśnienia tych przyczyn zjawisk negatywnych, które leżą dalej od nas, nie jest przyjmowane do wiadomości. Postawę totalnej negacji przyjmuje się łatwo i lekko; potrzebę cząstkowego, reformistycznego usprawniania odrzuca się i lekceważy. Nie trudno jest zauważyć, że tendencja ta koresponduje z tradycyjnym polskim etosem „patriotyzmu rycerskiego”, który we własnym kraju bardziej uzdalnia do walki, niż do pracy. Ale równocześnie trzeba zwrócić uwagę, że powojenna polityka, w równej mierze jak propaganda i wychowanie, tę asymetrię skutecznie pogłębiała propagując model bojownika, który walczy o socjalizm, walczy o plany, walczy o pokój i walczy o lepsze jutro. Względnie łatwo było przez cały powojenny okres wznosić w szczerym polu przemysłowe giganty, ale niemożliwe okazywało się codzienne konserwowanie i bieżące remontowanie istniejącej już substancji majątku narodowego.

Nie tylko jednak zjawisko ideologicznego oddzielenia władzy od społeczeństwa wznagało podatność polskiej odmiany socjalistycznego systemu politycznego na wstrząsy. W tym samym także, destabilizującym kierunku, oddziaływało społeczne skoligacenie władzy z rządzonymi. Negatywne, rewolucyjno-krytyczne nastawienia społeczne, w efekcie tego skoligacenia, bardzo łatwo przenoszą się w górne rejony układu władzy, działając na nie dezintegrująco. W tym znaczeniu władza wcale nie jest oderwana od mas, jak twierdzi się w momentach kryzysu. Równocześnie napięcia i tarcia personalne wewnątrz układu władzy, na które jest on chronicznie narażony, łatwo przedostają się z gabinetów, oddziałując na szersze kręgi społeczne. Ten mechanizm wzajemnego oddziaływania daje o sobie znać szczególnie w dużych przedsiębiorstwach przemysłowych. Przedsiębiorstwo jest bowiem „substytutem systemu politycznego” (kwestią tą zajmuję się bardziej szczegółowo w rozdziale VI), tu przyjeżdżają funkcjonariusze centralnego aparatu partyjnego i rządowego, nie tylko dyrekcje mają względnie bliskie kontakty z centrum, ma je także aktyw partyjny i związkowy.

Stwierdzając, że owo zjawisko „oddzielenia-skoligacenia” działało na system polityczny destabilizująco, nie dokonuję żadnej oceny. Stwierdzenie ma charakter opisowy a nie wartościujący. Ale próba zbadania jaki miało ono wpływ na zasięg i przebieg reform politycznych i gospodarczych w Polsce, musi już elementy oceny zawierać. Ocena ta, w moim przekonaniu, nie może być jednoznaczna. Od sierpnia 1980 roku mieliśmy do czynienia z radykalizmem haseł przy równoczesnej połowiczności zamierzeń i w jeszcze wyższym stopniu nieskuteczności działań. Oczywiście, układ władzy jeszcze wtedy nastawiony był na blokowanie zamiarów, które mogły przynieść praktyczne efekty. Polityczna siła konserwatywnego aparatu w latach 1980–1981 nie była jeszcze złamana. Ale nawet gdyby w tych latach reformatorzy w partii mieli przewagę, praktyczne skutki reform przeprowadzanych pod okiem Moskwy, w której zasiadał jeszcze Breżniew, a Susłow i Kulikow nie potrzebowali zaproszenia, aby przyjeżdżać do Warszawy, musiały być ograniczone. Niemniej przewaga słów nad działaniami – dlaczego ci Polacy tak wiele krzyczą a tak mało robią, dziwili się przychylni nam, zagraniczni obserwatorzy polskiej sceny politycznej – miała także swoje wewnętrzne przyczyny.

Sklonność do totalnej negacji w przeciwieństwie do krytycznego reformizmu, wyraża się z reguły w werbalnej agresji i rewolucyjnym burzeniu. Ta pierwsza – agresja werbalna – występuje w nadmiarze, nie pojawia się jednak rewolucyjna siła niszcząca. W gruncie rzeczy niczego się w tym czasie (Sierpień 1980 – grudzień 1981) nie burzy. Jadwiga Staniszkis nazwała czas posierpniowego przełomu „samoograniczającą się rewolucją”. Jeśli przyjąć ten termin, który w 1981 roku zrobił karierę, to tylko w tym znaczeniu, że była to rewolucja samoograniczająca się do zachowań symbolicznych i werbalnych. Skłonny jestem przypuszczać, że właśnie owo społeczne skoligacenie władzy i społeczeństwa hamowało tendencje do działań niszczących. W efekcie totalna negacja, nawet agresja, wyładowywały się w słowach. Praktycznie, konkretne działania cechowała co prawda nieskuteczność, ale równocześnie ich umiarkowanie mogło być także interpretowane jako wyraz niezwyklej społecznej dyscypliny, cierpliwości i tolerancji. Na Zachodzie zdumienie wywołuje ten przedziwny nadwiślański taniec, w którym Polacy co chwila zbliżają się do skraju przepaści, by zawsze w porę się wycofać. Wydarzenia te określa się mianem „polskiej rewolucji”, ale gdyby to

była rewolucja z charakterystyczną dla każdej rewolucji fatalistyczną logiką działań masowych, taka samokontrola byłaby niemożliwa. W 1981 roku miałem okazję obserwować jak publiczność hiszpańska przyjmowała kilka polskich filmów dokumentalnych przedstawiających wydarzenia z przebiegu tej ówczesnej „polskiej rewolucji”. Publiczność była skonsternowana – cóż to za rewolucja, nikt nie strzela, żadnych zamieszek, głównie siedzą i gadają. Ten obraz był jednak prawdziwy, w tym czasie nie ucierpiała w Warszawie ani jedna szyba.

Radykalizm słów i umiarkowanie działań cechuje zresztą obie strony od początku jawnego konfliktu „władzy” i „społeczeństwa”, który zaczął się Sierpniem. Przechodzi on rozmaite fazy, przez szesnaście miesięcy pierwszego okresu istnienia „Solidarności”, stan wojenny, lata dojrzwania późniejszych rozstrzygnięć, a więc lata 1983–1988, i wreszcie czas radykalnego przyspieszania zmian, czas „okrągłego stołu” i powstania pierwszego w socjalistycznym obozie niekomunistycznego rządu Mazowieckiego. Ten werbalny radykalizm ma zresztą także swoją autocenzurę. Hasła, opinie może cechować radykalizm, ale tylko do tej granicy, w której mogą one zostać odebrane jako wezwanie do działań praktycznych. Po wprowadzeniu stanu wojennego władza skazuje na karę śmierci tych, których kara ta osiągnąć już nie może; oficjalna propaganda przedstawia „Solidarność” w barwach skrajnej czerni. Usłużni propagandiści, tacy jak ówczesny poseł Męclewski, w 1982 roku wykrzykują z sejmowej trybuny brednie o solidarnościowych listach proskrypcyjnych osób wytypowanych do fizycznej likwidacji, wśród których są nawet dzieci. Ale równocześnie Wojciech Jaruzelski od swego pierwszego wystąpienia w dniu 13 grudnia nawołuje do zgody, porozumienia i deklaruje w imieniu władzy, że nie jest ważne, kto skąd przychodzi. Opozycja maluje na murach kotwice, symbole Polski Walczącej, „komunę” odsądza od wszelkich praw przynależnych członkom wspólnoty narodowej, ale sama pilnuje, aby przypadkiem nie zdarzały się akty terroryzmu. Oczywiście są ofiary działań przypadkowych i ofiary nienawiści. Jest bestialski mord polityczny, tym bardziej wstrząsający, że jego wykonawcami są wysocy funkcjonariusze ministerstwa spraw wewnętrznych; jest śmierć górników z kopalni „Wujek”, ale i zabójstwo milicjanta, sierżanta Karosa. Niemniej są to przypadki sytuujące się na marginesie obustronnie uznawanych reguł konfliktu. Zwracam tu uwagę na „Solidarność” i władzę, natomiast nie przypisuję tej ostatniej bezpośredniej odpowiedzialności za zbrodnie popełniane przez milicję i służbę bezpieczeństwa, które ujawniane i badane są w 1990 roku. Problemowi temu warto poświęcić nieco uwagi.

Charakterystyczny jest casus Grzegorza Przemyka, ucznia, którego – w powszechnym przekonaniu – zamordowali milicjanci. Takich przypadków jest dużo więcej. Jest to efekt działania swoistych gangów w środowisku milicji i SB, w których jest wielu ludzi działających politycznie na własną rękę czy nawet w zamiarach prowokacyjnych, przeciwko oficjalnej polityce władz. Prawdopodobnie są tacy także w ścisłym kierownictwie (J. Milewski usunięty z Biura Politycznego KC PZPR po procesie zabójców ks. Jerzego Popiełuszki). Władza – aparat – faktów tych stara się nie ujawniać, tuszuje je, co oczywiście zwiększa poczucie bezkarności owych gangów – ale działań tych nie inspiruje. One rzeczywiście nie mieszczą się w przyjętej politycznej strategii i taktyce, przeciwnie – w te strategię uderzają. Nie zamierzam oczywiście do ludzkiego życia przykładać miar statystyki, więc nie będą dowodzić, że ofiar jest niewiele – każda taka śmierć jest tą, o którą jest „za dużo” – ale ważne jest, że są to przypadki, na które żadna ze stron nie wyraża moralnej zgody, nie zamierza ich usprawiedliwiać czy choćby wliczać w koszty konfliktu.

Radykalizm słów przy umiarkowaniu, a nawet braku konsekwencji działań praktycznych nie wydaje się skojarzeniem najszcześliwszym. Niektórzy intelektualiści skłonni są oceniać je zdecydowanie negatywnie⁹. A jednak skojarzenie to przynosi zaskakujące efekty. Doprowadza w końcu do rezultatów niezwykłych, otwierających „nowy rozdział w historii Polski powojennej”, jak zostało określone 12 września 1989 roku z trybuny sejmowej ukonstytuowanie się rządu Tadeusza Mazowieckiego. O ile sam rezultat, którym jest przejście władzy z rąk partii komunistycznej przez inną siłę polityczną, zdaje się być zgodne z logiką procesu historycznego, w którym zapadł już wyrok na poststalinowski system polityczny, o tyle szybkość wydarzeń oraz ich przebieg są zaskakujące. Jeszcze w czasie obrad okrągłego stołu to, co stanie się za kilka miesięcy wydaje się niemożliwe, chociaż jedna z rzeczy niemożliwych została już przesądzona. Przesądzona już jest legalizacja „Solidarności”, tej siły jeszcze niedawno antysocjalistycznej (co jest tylko częściową prawdą), destrukcyjnej, oraz niemal antypolskiej (co jest zarzutem absurdalnym, choć wynika on z logiki walki o symbole). Ale jeszcze wtedy w najlepszym przypadku wydaje się możliwe utworzenie rządu koncesyjnego (o różnicy między rządem koalicyjnym a koncesyjnym piszę w rozdziale VII). Nawet po wyborach niektórzy partyjni propagandziści eksponują tezę, że zdobytej władzy dobrowolnie się nie oddaje,

⁹patrz np.: A. Grzegorzczak, *Filozofia czasu próby*, Warszawa 1984.

tym bardziej, że partia ma „historyczny tytuł” do jej sprawowania¹⁰. Partia jednak władzę oddaje sama wprawiając tym w zdumienie politycznie doświadczonych niedawnych opozycjonistów. Odpowiedź na pytanie dlaczego tak się stało wymagałaby gruntowniejszych badań; są to jednak wydarzenia zbyt świeże, o trudnych do przewidzenia – przynajmniej w momencie pisania tej książki – dalszych konsekwencjach. Pewne sugestie można jednak zaryzykować, korzystając z zaproponowanego klucza interpretacyjnego.

7

Pisząc o zjawisku społecznego skoligacenia władzy trzeba zrobić jedno, istotne zastrzeżenie. Nie odnosi się ono do przeciwników socjalistycznego, ideologicznego państwa, o których pisałem wcześniej. W latach siedemdziesiątych, tak zwana wówczas opozycja demokratyczna jest środowiskiem liczebnie niewielkim, ale zakres społecznego oddziaływania ugrupowań politycznych, przede wszystkim Komitetu Obrony Robotników, jest już poważny. Opozycji zarzucać się będzie przez całą dziesiątą dekadę, praktycznie aż do chwili ogłoszenia ekspozycji sejmowej przez premiera Mazowieckiego, że nie ma programu. I rzeczywiście wygląda na to, że programu nie ma – do tego przyznają się sami działacze „Solidarności”. Ale już następnego dnia po zatwierdzeniu przez Sejm rządu Mazowieckiego, I Sekretarz KC PZPR, Mieczysław Rakowski, w telewizyjnym wystąpieniu przyznaje, że partia tworzyła swoją koncepcję reform politycznych i gospodarczych wykorzystując myśl programową opozycji. A więc opozycja miała program czy go nie miała? Wyjaśnienie tego paradoksu jest proste, jeśli uwzględnimy ewentualność, że utopia może stać się programem. Nie mogło być uznawane, i nawet przez samych działaczy „Solidarności” nie było za program uznawane to, co wydawało się tylko marzeniem bez szans na urzeczywistnienie w możliwej do przewidzenia perspektywie czasu. Stało się natomiast programem to, co niedawno jeszcze utopijne, nagle i nieoczekiwanie znalazło się w zasięgu ręki.

Utopia – program radykalnej zmiany systemu politycznego – zrodziła się z totalnej negacji. Nie mogła powstać z zamierzeń umiarkowanie reformistycznych. Można się nawet zastanawiać, czy w ogóle program reformistycznych małych kroków, program „realistyczny”, nie

¹⁰patrz publicystyka „Trybuny Ludu” pióra jej redaktora naczelnego, J. Majki.

byłby właśnie utopią, zamierzeniem niewykonalnym, które podzieliłoby los wielokrotnie podejmowanych przez władze prób reformowania gospodarki. Historia stwarza takie sytuacje, gdy realistyczne umiarkowanie pozbawione jest szansy na sukces, który może się stać udziałem radykalnych marzycieli.

Można jednak przypuszczać, że polska, pokojowa, „parlamentarna rewolucja” mimo wszystko nie miałaby szans powodzenia, gdyby nie fakt społecznego skoligacenia władzy. Postawmy pytanie dlaczego Gomułka w 1970 roku kazał do robotników strzelać, a Gierek w 1980 roku decyzji takiej nie podjął, chociaż byli tacy, którzy go do niej namawiali? Próbowano już na to pytanie odpowiedzieć. Jedni wskazywali na odmienną taktykę działania robotników, którzy w 1970 roku wyszli na ulicę, a w 1980 roku natomiast, nauczeni tamtym doświadczeniem, zabarykowali się w zakładach pracy. Inna odpowiedź akcentuje fakt wyciągnięcia przez ekipę Gierka wniosków z doświadczenia poprzedników. Żadnej z tych odpowiedzi nie można odrzucić, choć nie przeceniałbym ich wartości wyjaśniającej. Myślę, że równie ważne, a może ważniejsze jest, że w 1980 roku mamy już do czynienia z innym państwem oraz inną władzą. Gomułka jest jeszcze przywódcą państwa w pełni ideologicznego. W latach siedemdziesiątych ideologiczne funkcje tego państwa są już w praktyce w dużym stopniu skorygowane. Milcząca tolerancja wobec ideologicznych przeciwników państwa, o której wcześniej pisałem, nie miała i nie mogła nawet mieć miejsca w latach sześćdziesiątych. W następnej dekadzie przeprowadzono reformę administracyjnego podziału kraju, która poważnie osłabiła olbrzymią wcześniej siłę polityczną komitetów partii. Opisane w tym rozdziale zdarzenie w pokoju przyjąć Komitetu Centralnego, ilustrujące bezradność wysokiego funkcjonariusza, jest typowe dla tej dekady. W poprzedniej – funkcjonariusz nawet w takiej sprawie nie byłby bezradny, nie mówiąc już o tym, że nie było wówczas „pokoju przyjąć interesantów” w gmachu na rogu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich. Ale w tym dziesięcioleciu następuje nie tylko zrównanie znaczenia aparatu partyjnego z administracyjnym, lecz także największe w powojennej historii Polski „poszerzenie bazy rządzenia”.

W gierkowskim okresie wprowadzono również w życie praktykę konsultowania ważniejszych decyzji politycznych z załogami wybranych (jest ich sto) zakładów przemysłowych. Nie chodzi o to, jak owe konsultacje w rzeczywistości wyglądały i na ile były fikcyjne. Nie było jednak fikcyjne poszerzenie płaszczyzny bezpośredniego kontaktu ludzi z najwyższych piętér władzy z ludźmi z jej parteru. To właśnie

wtedy tworzy się monostruktura władzy, która podstawą swą zlewa się ze społeczeństwem. Faktycznie, społeczne „skoligacenie” władzy, w dniach lipcowo-sierpniowego konfliktu obniża prawdopodobieństwo wyboru rozstrzygnięcia typowego dla członków dwóch odrębnych, wrogich sobie wspólnot, skłania zaś do rozmowy „*jak Polak z Polakiem*”. Dziewięć lat później to skoligacenie umożliwia rezygnację z wariantu obrony okopów władzy, na rzecz parlamentarnego oddania steru rządów przez partię komunistyczną, co zdarzyło się po raz pierwszy w historii. Skoligacenie to bowiem pozwala tak dalece obniżyć próg poczucia zagrożenia, że dla ludzi z dotychczasowego układu władzy możliwy do przyjęcia staje się wariant nie tylko rozmowy, ale i życia z niedawną opozycją „*jak Polak z Polakiem*”. „*To tylko wy wyobrażacie sobie komunistę, jako bolszewika z nożem w zębach*”, powie amerykańskiemu dziennikarzowi Wałęsa w dzień po zatwierdzeniu przez Sejm rządu Mazowieckiego.

Rozdział 4

Między jednostką a państwem

Demokracja jest wartością otaczaną w naszym społeczeństwie niemal nabożną czcią i biada temu, kto by jej sens próbował poddać w wątpliwość. Być przeciw demokracji oznacza skończyć się w opinii publicznej. To jeden biegun. Jest i drugi. Stykając się z bezkarnością głupoty, bezmyślności, nieróbstwem i brakiem odpowiedzialności, przeciętny obywatel, ten sam, który skłonny bywa innym razem odprawiać modły przed ołtarzem najświętszej demokracji, woła o żelazną miotłę. Polak w swym myśleniu o sprawach ładu politycznego płynie zygzakiem – od Scylli zamordyzmu do Charybdy demokracji, gotów za każdym razem rozbić się o skały to jednej, to drugiej.

Jan Szczepański, w cytowanej już wcześniej pracy, trafnie spostrzega, że przeszłość nie dostarczyła nam pożywnych doświadczeń funkcjonowania demokratycznego ładu państwowego. Demokracja szlachecka częściej uznawana była za synonim anarchii, niż za wzór godny naśladowania. Międzywojenna demokracja z lat 1918–1926 przyniosła doświadczenia mało budujące. *Ustrój polityczny demokracji ludowej czy socjalistycznej, wstrząsany ciągłymi kryzysami, także nie wytworzył trwałego wzoru*, konstatuje autor raczej eufemistycznie¹.

W dalszej części tego rozdziału skoncentruję swą uwagę na znaczeniu, jakie dla pojmowania i praktykowania demokracji mają monocentryczne i policentryczne koncepcje ładu politycznego. Przedtem jednak wypada przyrzeć się dotychczasowym doświadczeniom i oczekiwaniom, które w potocznej, masowej świadomości wiążą się z pojęciem demokracji.

¹J. Szczepański, *Polska wobec wyzwania*... op. cit. s. 17.

Pojmowanie demokracji jako współudziału każdego w sprawach, dotyczących wszystkich, zakorzenione jest u nas silnie w dwóch nurtach tradycji – narodowej i komunistycznej. Jest to demokracja totalna, można rzec – platońska.

Platon nie był demokratą, przeciwnie – zdradzał upodobania elitarno-arystokratyczne, ale jego koncepcja idealnego miasta – państwa uwzględnia podstawowy warunek praktykowania totalnej demokracji – ograniczanie liczby mieszkańców. Pięć tysięcy obywateli idealnego państwa Platona mogło od biedy spotkać się jednorazowo na agorze aby radzić o sprawach ogółu. Późniejsze imperium rzymskie, sięgając od Azji po Brytanię, musiało już sobie zafundować cesarów, których boskie pomniki były symbolem jedności wielojęzycznego imperium. Od czasów greckich historia naszej cywilizacji nie zna przypadku realizacji takiego systemu demokracji, w którym praktycznie spełniałaby się władza ludu, w którym wszyscy mieliby udział w podejmowaniu decyzji dotyczących ogółu i każdy poczuwałby się do odpowiedzialności za skutki ich wykonania.

Jednak wizja takiego świata, w którym nie ma podziału na rządzących i rządzonych, kierujących i kierowanych, gdzie wszyscy praktykują świeckie wydanie religijnego nakazu „módl się i pracuj”, każdy jest współdecydujący i współodpowiedzialny, patronuje naszemu myśleniu o demokracji. Do tej wizji przymierzamy społeczną rzeczywistość konstatując z rozdrażnieniem, że społeczeństwo jest bierne i apatyczne, ludzie narzekają, ale sami nie wykorzystują możliwości wpływania na bieg spraw publicznych.

Demokrację, samorządność, uczestnictwo traktuje się z reguły jako wartość samą w sobie i dla siebie. Tak się ją traktuje w publicystyce, pracach naukowych, a także i w potocznym, obiegowym, ale równocześnie niemal zawsze odświeżonym myśleniu. W praktyce nie palimy się wcale do udziału we „władzy ludu” zostawiając ją chętnie wybrańcom. Ale czy z tego można czynić ludziom zarzut?

Demokracja nie jest wcale autentyczną wartością. Gdyby w spółdzielni mieszkaniowej gospodarka była właściwa, czynsze rosły umiarkowanie, kaloryfery grzały jak trzeba i była ciepła woda, nikt by nie odczuwał potrzeby interesowania się gospodarką spółdzielni, chodzenia na zebrania, a stanowisko prezesa spółdzielni mogłoby być z powodzeniem dziedziczone. Wartością autoteliczną i na inne niewymie-

niałą jest wolność, a nie demokracja. Tak się jednak składa, że pomijając rozmaite utopie, w realnym, współczesnym świecie, demokracja jest **sposobem** (a nie celem), który bywa najbardziej skuteczny dla realizowania się ludzkiej wolności, pojmowanej szeroko, a więc także jako wolność od nędzy i innych, również niematerialnych ograniczeń. Przy czym jest ona „sposobem” często wybieranym z konieczności. W dawniejszej spółdzielni jej członek musiał być „praktykującym demokratą”, ponieważ nikt inny jemu i za niego jego potrzeb nie realizował. Spółdzielczość była miejscem, formą, w której sami członkowie w miarę swoich własnych umiejętności i możliwości zaspokajali swoje interesy. Niczego takiego nie da się powiedzieć o dzisiejszej spółdzielczości. W najlepszym wypadku to ona – jej aparat – zaspokaja potrzeby swoich członków. Też zresztą nie zawsze, bo często po prostu „realizuje ogólnospołeczne zadania”, jak np. spółdzielczość spożywców. Dlatego właśnie w dawnej spółdzielczości jej członkowie mogli i musieli sami się rządzić, być spółdzielczymi demokratami, a dzisiejsi mogą nawet nie wiedzieć, że do spółdzielni należą².

Mam nadzieję, że czytelnicy darują mi banalność przykładów, ale przecież życie codzienne w przeważającej mierze składa się z banalnych zdarzeń i sytuacji. Niemal codziennie przechodzę obok sklepu papierniczego, który najczęściej bywa zamknięty. Gdy ostatnio zobaczyłem wywieszkę „odbiór makulatury” pomyślałem sobie, że tym razem chwycę słuchawkę telefoniczną i wyładuję swoją obywatelską agresję tam, gdzie trzeba. Była to jednak myśl przelotna.

Z tak fatalnym działaniem poczty, jak w mieście, w którym czasowo zamieszkałem, nie spotkałem się jeszcze nigdzie. Listy giną, zawiadomienia o przesyłce poleconej wrzucane są do skrytki po dwóch tygodniach z adnotacją, że jest to powtórne zawiadomienie, choć pierwszego nigdy nie było. Gdy w listopadzie dostałem krajowy ekspres wysłany do mnie na początku sierpnia, doszedłem do wniosku, że miara się przebrała. Wniosek był jednak przedwczesny. Drugiego dnia nie miałem czasu, trzeciego zapomniałem, a później pomyślałem sobie, że i tak niewiele zdziałam meldując się u kierownika urzędu pocztowego z awanturą.

Rzecz jednak w tym, iż w każdej z instytucji wiszą stosowne wywieszki informujące mnie, że prezes, dyrektor etc. w określone dni przyjmuje skargi i wnioski. Namawiają mnie one do aktywności, do wpływania na rzeczywistość. I nie ma znaczenia, że w większości przypadków są one fikcyjne i zapewne okazałoby się, że prezes wyjechał, a

²J.Szczepański, *Polska wobec wyzwania*... op. cit. s 17.

dyrektor jest na naradzie. Można do tego dodać jeszcze tzw. książki życzeń i zażaleń, instytucję także zresztą, jak podejrzewam, martwą.

Celowo nie wspominam tu o związkach zawodowych, radach, samorządach, konsultantach, komisjach kontroli społecznej, inspekcjach. Wyławiam jedynie te elementy dotychczasowego systemu, które nie stawiając mi żadnych warunków, miały mnie skłaniać do wyrażenia swego zdania czy choćby niezadowolenia, mnie jako klienta, przechodnia, petenta. Aby z tego skorzystać, nie muszę należeć nigdzie, obojętne są moje przekonania polityczne i stosunek do władzy. Każdy bez mała fragment życia ma wbudowane albo dobudowane do siebie coś społecznego, demokratycznego, czego celem jest instytucjonalizacja społecznej kontroli, współdecydowania i współudziału. Gdyby to rzeczywiście wszystko działało, Polska biłaby wszystkie światowe i historyczne rekordy społecznej aktywności, albo... albo też nastąpiłoby kompletne zablokowanie, sparaliżowanie biegu rzeczy i spraw.

Prowadząc kilka lat temu badania naukowe na temat samorządności w rolniczych spółdzielniach produkcyjnych, zetknąłem się w jednej z nich z prezesem, którego styl i metody kierowania były zaprzeczeniem wszelkich wyobrażeń o samorządzie i demokracji. O instytucjach samorządu spółdzielczego prezes wyrażał się z pogardą twierdząc, że gdyby liczył się ze statutowymi kompetencjami wszystkich ciał społecznych, to sam by zwariował, a spółdzielnia splajtowała.

Ludźmi kierował dyktatorsko i zamordystycznie. Bano się go. Zdumiewające było jednak, że wyniki anonimowego sondażu były zaprzeczeniem tego, czego można się było spodziewać. Poza prezesem wszyscy zgodnie twierdzili, że demokracja i samorządność w spółdzielni są. Że prezes lekceważy kolektyw i wiele decyzji podejmuje sam, bywa, na przekór wszystkim? Ale spółdzielni – stwierdzili respondenci – wychodzi to na dobre i gdyby zawczasu wiedzieli na co wyjdzie, też by takie podjęli. Jedyna zgodna z wyobrażeniami o demokracji i samorządności wypowiedź samego prezesa dotyczyła tej samej kwestii – *gdybym nie miał racji i spółdzielnia źle prosperowała, to by mnie zdjęli. Ta właśnie świadomość każe mi niekiedy być w opozycji do wszystkich i trzymać ludzi za twarz.*

Nie podaję tego przykładu jako budującego i godnego naśladowania. Nie każdemu może wyjść na zdrowie przekonanie, że jest mądrzejszy od innych i jego mądrość osobista, indywidualna, pewniejsza jest od zbiorowej. Ale – wbrew wszelkim obiegowym przekonaniom – nikt nigdzie jeszcze nie dowiódł, że w zarządzaniu metody demokratyczne są lepsze i sprawniejsze od autokratycznych. Twierdzenia takie, które wyczytać

można w niejednej pracy naukowej, więcej mają wspólnego z ideologią, niż z nauką. Badania potwierdzają jedynie, choć nie bezapelacyjnie, że w pewnych sytuacjach i warunkach efektywniejsze okazują się metody demokratyczne i kolektywne, w innych zaś autokratyczne. Nic więcej.

Życie wymaga równowagi między zasadą – masz władzę, to bierz za nią odpowiedzialność i rządz – oraz ideałami demokratyzacji i uspołecznienia władzy. Równowaga ta z reguły bywa chwiejna, co jednak wcale nie oznacza, że niemożliwe jest przybliżone określenie jej granic.

W rejestr moich obywatelskich marzeń nie wchodzi wcale posiadanie wpływu na pracę poczty w mieście czy organizację pracy handlu. Spraw tych najchętniej bym nie dostrzegał zostawiając je specjalistom, którzy znają się na nich lepiej ode mnie. Bez tych instytucji obejść się nie mogę, zaspokajają one moje istotne potrzeby niemal każdego dnia, ale z tego wcale nie płynie wniosek, że roszczę sobie jakiekolwiek prawo do ich kontrolowania i współudziału w decyzjach. Mimo więc, że ich praca obchodzi mnie żywo, wcale nie uważam, by w związku z tym mój stosunek do nich określać miała zasada „swoje sprawy bierz w swoje ręce”. W nowoczesnym, wysoko zorganizowanym, zinstytucjonalizowanym społeczeństwie jest mnóstwo spraw, które bezpośrednio nas nie dotyczą, ale mimo to lepiej nie brać ich w ręce własne, a pozostawić fachowcom.

Nie jest mi potrzebna demokracja w sklepie. Nawet pod pewnymi względami jest mi także obojętna samorządność blokowa i osiedlowa (jeśli ma ona dbać o dobrą pracę dozorców, czystość na trawnikach itp). Nie jestem także zainteresowany kontrolowaniem cen – ani na bazarach, ani w przedsiębiorstwach. Pod pewnymi wszakże warunkami. Jeśli dozorca i administracja osiedlowa robić będą to, za co im płacą, z mojej zresztą kieszeni. Jeśli personel sklepu będzie wiedział, że z moich pieniędzy, które mogę u nich wydać, żyje. Jeśli przedsiębiorstwu będzie zależało na zbycie wyrobów i będzie miało świadomość, że zyski, od których zależy jego egzystencja, przechwycić może konkurencja oferując mi towar lepszy albo tańszy.

Wydaje się to oczywiste, banalne i niewarte przypominania. Skąd się wobec tego bierze w kontekście takich spraw owa pseudodemokratyczna i quasi-społeczna wpływofobia? Dlaczego do tak wielu profesjonalnych sfer działania dobudowuje się owe społeczne przybudówki, których zadaniem jest, aby klient kontrolował, petent zgłaszał wnioski, obaj zaś mieli poczucie, że mogą mieć wpływ i poczuć się współodpowiedzialni.

Odwołałem się wcześniej do Platona i jego wyobrażeń o idealnym mieście-państwie. Ograniczona liczba jego mieszkańców gwarantować miała wszystkim możliwość współrzędzenia w trybie demokracji bezpośredniej. Wizja taka jest nierealna nie tylko dlatego, że owa liczba pięciu tysięcy mieszkańców wystarczyłaby dziś ledwie na małą osadę. W starożytności jeden człowiek mógł nauczać wszystkiego, co wypracowała cała nauka. Tak samo jak Platon spacerując w Gaju Akademosy mógł rozważać wszystkie problemy ówczesnej wiedzy, tak i obywatel Aten mógł czuć się kompetentny do współrozstrzygania wszystkich spraw niewielkiej wspólnoty.

Z tego punktu widzenia – wielkości społecznych struktur i rozmiarów aktualnej wiedzy – postulat, aby współczesny obywatel mógł się praktycznie czuć współodpowiedzialny za państwo, może mieć dzisiaj albo sens przenośny, albo utopijny. Ale odwołałem się do Platona także z innych jeszcze powodów; tych, dla których mówi się o *komunizmie platońskim*. Warto sobie bowiem uświadomić, że wizja społeczeństwa krańcowo zegalitaryzowanego i państwa skrajnie scentralizowanego – które, jak sądził właśnie Platon – powinno być jak jeden człowiek – nie zrodziła się dopiero w 1917 roku.

Wielu myślicielom społecznym przyświecał duch lirycznej sielanki. Pod jego natchnieniem konstruowali wizje angielskiego społeczeństwa, w którym interes każdego z jego członków jest częścią interesu ogólnego, każdy więc nie tylko może, ale i powinien czuć się odpowiedzialny za całość kraju, państwa, gospodarki. Takiego świata społecznego nie ma jednak nigdzie. W dalszej części niniejszego rozdziału spróbuję odpowiedzieć na pytanie dlaczego ta utopia wciąż się odradza mimo, że jak dotąd nigdzie jeszcze nie zrodziła owoców jadalnych.

W normalnych, codziennych warunkach człowiek nie myśli kategoriami państwa, narodu, społeczeństwa, ani nawet klasy. Żyjemy w kręgu małych wspólnot bliskiego i najwyżej średniego zasięgu.

Gdzieś pracujemy, gdzieś mieszkamy, mamy jakieś interesy, jakieś poglądy, które chcielibyśmy dzielić z innymi. Elementy te składają się na codzienną sytuację społeczną, która z jednymi ludźmi nas łączy, z innymi różni.

Gospodarka narodowa nie jest oczywiście prostą sumą przedsiębiorstw, tak jak społeczeństwem jest arytmetycznym zbiorem jed-

nostek czy prostym konglomeratem grup. Ale tak samo, jak nie ma czegoś takiego jak istniejąca poza świadomością jednostek świadomość społeczeństwa, tak samo interes, dobro państwa, narodu, społeczeństwa jako całości, nie mogą być powszechną i stałą siłą motywującą działania jednostkowe.

Na codzień każdy z nas myśli kategoriami interesu własnego, swojej rodziny, działać może na rzecz dobra swego zakładu pracy, swego osiedla, zainteresowany jest sytuacją swojej grupy zawodowej czy innej, do której należy.

Oczywiście nie jest prawdą, że myślenie kategoriami całości państwa, społeczeństwa, narodu jest fikcją. Murarz budując katedrę myśli przede wszystkim o tym, jak równo kłaść cegły; gdyby miał stale wzrok modlitewnie i strzeliście uniesiony do góry, kładłby ją zapewne źle. Ale świadomość faktu, że buduje katedrę, a nie stodołę może mu nie być wcale obojętna. O tym chyba myślał Platon pisząc o porządku natury i porządku stawania się i dowodząc (w tym jest zgodny z Arystotelesem), że państwo istniało wcześniej niż pojawili się ludzie. W porządku powstawania najpierw są cegły, ale w porządku natury najpierw jest świątynia, bowiem cegły są dla niej, a nie odwrotnie. Ale refleksja na temat dobra państwa, narodu, społeczeństwa jest zawsze w pewnym sensie refleksją odświętną, co nie znaczy że mało ważną. Świadomość, iż to, co robię ku swemu pożytkowi, dobrze służy interesowi całości, musi być swego rodzaju stałą, aksjomatyczną pewnością – z niej czerpie się poczucie dumy, godności i bezpieczeństwa moralnego.

Tu zaczyna się problem. Ów duch lirycznej sielanki, utopia jednopodmiotowego społeczeństwa, jest jednocześnie przyczyną i konsekwencją konfliktu wartości, interesów i sfer działania. Można bowiem przyjąć założenie, iż zróżnicowanie autonomicznych sfer działania, odmiennosc interesów, dialog i spór wartości są stanem normalnym, zaakceptowanym, który owej całości państwowej, narodowej, społecznej nie zagraża – przeciwnie, wzbogaca ją, czyni żywą, dynamiczną i odporną na wstrząsy. A można – odwrotnie – zakładać, że stanem pożądanym i dla owej całości bezpiecznym jest istnienie tylko jednego pełnoprawnego podmiotu, jednej sceny, na której wszyscy w jednym kolektywie odgrywać powinni tę samą sztukę według jednego scenariusza i podporządkowani woli jednego reżysera. W tym drugim przypadku uwzględnienie interesu własnego, własnej grupy może być i bywa podejrzane, kwestionowane – jako partykularyzm, egoizm.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby normalny człowiek z krwi i kości mógł być pozbawiony motywów egoistycznych, partykularnych,

grupowych, prezentując na codzień postawę ideowego altruizmu. Co robić, jednak, gdy historyczny eksperyment przerobienia ludzi w anioły nie daje pożądaných skutków?

Człowiek namawiany i zmuszany do stałej, codziennej weryfikacji, czy to, co robi w swoim interesie i w interesie wspólnoty bliskiego zasięgu - rodziny, przedsiębiorstwa etc. – dobrze służy całości, traci poczucie pewności i bezpieczeństwa, przede wszystkim moralnego. Jeśli zaś owa weryfikacja wypada negatywnie, gdy okazuje się, że dla całości najlepiej byłoby, gdyby jako konsument kupował mniej lub wcale, jako pracownik nie chciał zarabiać więcej niż zarabia – traci poczucie godności swej pracy codziennej i staje się albo cynikiem, albo frustratem. Nie może wszak przestać myśleć kategoriami interesu własnego, swojej rodziny, swego przedsiębiorstwa; postulat zaś aby poczuwał się do współodpowiedzialności za państwo, społeczeństwo, kraj, skłonny jest wówczas odbierać jako swoisty zarzut, że nie wyzbył się partykularnych, egoistycznych motywacji.

3

Myślenie w kategoriach jednopodmiotowości, którego obiegowym i typowym przejawem jest żądanie, aby na każdym odcinku przede wszystkim poczuwać się do odpowiedzialności za los i dobro państwa, narodu, całego kraju ma u nas długą i wcale nie jednorodną tradycję. Jeden jej nurt prowadzi od pewnych inspiracji zawartych jeszcze w dziełach klasyków marksizmu, przeinterpretowanych później na użytek budowy socjalizmu. Drugi nurt jest narodowy i wywodzi się z doświadczeń wyniesionych z naszej historii.

Zacznijmy od tego ostatniego. Wspomniana wcześniej zdolność do patetycznej refleksji na temat dobra kraju, narodu, potrzebna jest nie tylko do „odświętnego” umacniania się w poczuciu codziennej pewności, że to co robię dobrze służy wszystkim. Bywają przecież takie sytuacje nieodświętne a wyjątkowe, wymagające wyborów heroicznych, przedkładania interesu całości nad interes własny czy grupowy (w przypadku, gdy ten pierwszy jest zagrożony).

W naszej historii najnowszej, do końca II wojny światowej, każde pokolenie Polaków całość lub jakąś część swego życia przeżywało w warunkach owego „stanu wyjątkowego”, który nakazywał na codzień myśleć kategoriami narodu. Dowodziłem już wcześniej, że skłonność do myślenia kategoriami interesu dwóch wspólnot – rodzinnej i narodo-

wej – jest dziedzictwem wyniesionym z historii, w której tylko te dwie wspólnoty były polskie, wszystkie pośrednie zaś najczęściej obce lub nawet wrogie sprawie narodowej. Czy więc ów przysłowiowy polski, słomiany ogień nie stąd się właśnie bierze, że motywacje odwołujące się do najszczerzych kategorii całościowego interesu – narodu, państwa – bywają silnym, ale krótkotrwałym bodźcem, ograniczonym do stanu wyjątkowego i niefunkcjonalnym wobec potrzeb stałej, powszedniej codzienności?

Prócz narodowego, mamy jeszcze najnowszy nurt tradycji wynikający z teoretycznych założeń oraz praktycznych doświadczeń socjalizmu. Socjalizm w założeniu przenieść miał pułap racjonalizacji działań społecznych, gospodarczych z układu lokalnego i z przedsiębiorstwa na szczebel państwa. Charakterystyczny jest pod tym względem stosunek Marksa, a przede wszystkim Lenina do spółdzielczości. Ten rodzaj grupowej własności i przedsiębiorczości był przez nich z zastrzeżeniami akceptowany, ale swą pełną przydatność ujawnić miał dopiero wtedy, gdy jego zasady będą mogły zostać przeniesione na skalę ogólnopaństwową. Spółdzielnia była akceptowana, bo nie było w niej kapitalisty; ale nie mogła być zaakceptowana w pełni, bo jednak była grupowa i „partykularna”. Być może w tym ideale pełnej i doskonałej jedności zawierała się atrakcyjność marksizmu dla intelektualistów na Wschodzie i Zachodzie? Założenia marksizmu zapowiadały bowiem ziszczenie się archetypu Platona – zrealizowanie w społecznej praktyce teoretycznego wytworu ludzkiego umysłu – państwa, które jest jak jeden organizm, jak jeden człowiek. To prawda, że między tymi założeniami a praktyką jest ścisła więź przyczynowo-skutkowych zależności mimo, iż nikt chyba nie dowiedzie, że droga od teorii musiała nieuchronnie prowadzić do doświadczeń, których ukoronowaniem było totalitarne państwo stalinowskie. W rozważania na ten temat nie mam zamiaru się wdawać, natomiast sędzę, że warto uświadomić sobie, iż spór między zwolennikami monistycznego i pluralistycznego ładu społecznego starszy jest niż marksizm i towarzyszy historii myśli społecznej od dawna³. Z perspektywy naszych doświadczeń ten dawny i chyba nigdy nie zakończony spór możemy nazwać konfrontacją między rewolucyjnym utopizmem a pragmatycznym reformizmem. Przy czym właśnie ten pierwszy szczególnie narażony jest na swoisty „efekt Mefista”, nieszczęsnego diabła, skazanego przez Goethego na piekło osiągnięcia rezultatów odwrotnych do

³O tym sporze pisałem w tekście, którego fragmenty wykorzystuję w dalszej części rozdziału: J. Chłopecki, *Między jednostką a państwem* w: *Współczesne problemy...* op.cit.

zamierzeń. Z tym jednak, że o ile u Mefista posiew złych intencji owocował niezamierzonym dobrem, tutaj z najlepszych intencji i szlachetnych zamiarów rodzą się nieodmiennie złe rezultaty.

4

O faktycznym odczuciu wolności człowieka i o stabilności systemu politycznego w większym stopniu aniżeli wszelkie ideologie, polityczne deklaracje i programy decyduje stan zorganizowania przestrzeni społecznej między jednostką a państwem. W historii myśli politycznej pierwszym, który na tym problemie skoncentrował swą uwagę, był Alexis de Tocqueville. Obserwując przemiany społeczne w Europie i Ameryce, doszedł do wniosku, że do tyranii centralistycznej władzy prowadzić może zarówno polityka despotycznej monarchii – o czym wiedziało wielu przed nim – jak i demokracja powstała na ideałach powszechnej równości – o czym, poza jedynym chyba Arystotelesem – nie wiedział nikt przed nim i czego nie rozumiało wielu po nim.

Uniformizm nieuchronnie prowadzi do despotyzmu, tylko w warunkach pluralizmu uchronić można ludzką wolność. Z twierdzeniem takim zgodziłby się Tocqueville, podpisałby się pod nim Monteskiusz. Obaj byli zdeklarowanymi przeciwnikami wszelkiej uniformizacji społeczeństwa, obu równie bliska była myśl o wartości społecznego i politycznego pluralizmu. Nie zgodziłby się jednak z tym twierdzeniem ani Rousseau, ani Saint-Simon, choć im obu również droga była idea wolności. Czy decydowała o tym różnica doświadczeń? Raczej nie. Myśl Monteskiusza i Rousseau przygotowywała dopiero klimat umysłowy epoki do przeżycia Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Tocqueville i Saint-Simon mogli już spożytkować jej doświadczenia. Tocqueville był wrogiem rewolucji i socjalizmu, ale to właśnie socjalista Saint-Simon uważał, że lud szedł do rewolucji aby przestać być rządzonym, a po rewolucji okazało się, że rządzony jest bardziej niż kiedykolwiek przedtem. A więc ani przeżywane doświadczenia, ani nawet różne pola badawczej obserwacji nie przesądzały o ich opcji za, lub przeciw pluralizmowi. Sądzę, że decydowało coś innego.

Rousseau i Saint-Simona moglibyśmy określić jako rewolucyjnych utopistów, Monteskiusza i Tocqueville'a zaś, jako pragmatycznych reformistów. Gdybyśmy przesledzili myśl społeczną od Platona i Arystotelesa – dwóch pierwszych, wielkich antagonistów w sporze między monizmem a pluralizmem – zapewne potwierdziłaby się nam właśnie

ta prawidłowość: myślenie rewolucyjne, które zakłada możliwość budowy od podstaw nowego świata w opozycji do tego, który istnieje, nieuchronnie skażone bywa monizmem.

Autor *Umowy społecznej* i *Nowej Heloizy* szukał wolności człowieka w takim łańdźu społecznym, w którym człowiek uzależniony będzie jedynie od woli powszechnej, od prawa, które – powstając z umowy społecznej – tworzy demokratycznego Lewiatana, społeczeństwo-organizm, w którym części są nieoddzielne od całości. Saint-Simon chciał, aby władza w nowym społeczeństwie była scentralizowana, kontrolowała całość procesów wytwórczych i dbała o jednomyślność. Ponieważ – jak sądził – w świecie tym władza nad ludźmi zastąpiona zostanie władzą nad rzeczami (czy nie przypomina nam to nadziei i złudzeń Marksa, Engelsa i Lenina?), ludzie będą w nim prawdziwie wolni. Choć obaj poszukiwali wolności, byli przeciwnikami pluralizmu. Rewolucjonista bowiem, skoncentrowany na makroproblemach całości tego świata albo pomija różnorodność rzeczywistości realnej, albo wręcz uważa ją – jak sądził już Platon – za chorobliwą skazę.

Myślenie reformistyczne przeciwnie, zawsze cechuje pluralizm, ponieważ reformista swój pożądaný łańdź społeczny wyprowadza z doświadczeń realnego życia, które zawsze jest zróżnicowane. Monteskiusza nie interesowała utopia idealnej władzy filozofów czy robotników w nieistniejącym jeszcze społeczeństwie. Gwarancji dla wolności człowieka szukał więc, podobnie jak Tocqueville, w takim zorganizowaniu przestrzeni społecznej między jednostką a państwem, aby mogła ona pełnić rolę strefy buforowej hamującej despotyczną samowolę władzy. Przestrzeń ta nie może być więc pusta, musi być jakoś społecznie zorganizowana, wypełniona żywą tkanką grup, wspólnot, zrzeszeń pośredniczących między jednostką a państwem. Monteskiusz i Tocqueville są tu ze sobą zgodni. Ten pierwszy wiedział, że absolutyzm w dążeniu do poddania swej władzy wszystkich dziedzin życia stara się zniszczyć ową tkankę. Drugi wiedział, że niszczy ją zarówno absolutyzm, jak i rewolucja.

Dla Monteskiusza nie tylko równowaga i wzajemne hamowanie się władz, ale także istnienie ciał pośredniczących między jednostką a władzą, chronić miało obywatela przed despotyzmem. Ciałami pośredniczącymi były jednak dlań przede wszystkim stany feudalne, ówczesna hierarchia wspólnot która, chociaż ograniczała swobodę jednostek, dawała oparcie przed tyranią władzy centralnej. Tocqueville nie bronił tej hierarchii, wiedział, że rewolucyjnych procesów rozkruszających starą strukturę społeczeństwa cofnąć się nie da. Zdawał

sobie sprawę, że jednostki odosobnione, pozbawione oparcia w tych wspólnotach, z łatwością poddają się władzy centralnej; z łatwością tym większą, że presji państwa poddawani są, przynajmniej z pozoru, wszyscy jednakowo, ludzie zaś, przejęci duchem równości, chętniej pogodzą się z dyktaturą, niż ze wzbogaceniem się bliźniego. Walka z dotychczasowym zniewoleniem przynieść więc może zniewolenie jeszcze większe, żadnymi naturalnymi granicami już nie hamowane. Walka o rozszerzenie sfery wolności człowieka zakończyć się może utratą także i tych wolności, którymi cieszył się dotąd. Tocqueville widzi receptę w odtworzeniu dawnych ciał pośredniczących między poziomem jednostki a poziomem państwa.

Amerykańskie peregrynacje francuskiego arystokraty, którego za życia nazywano Monteskiuszem XIX wieku, w rodzinnej Francji bardziej zresztą podziwiał go niż rozumiejąc, przypadają na czas, gdy w Ameryce zaczyna się urodzaj na różne lokalne samorządy, kluby, stowarzyszenia i towarzystwa. Dawny plebejski, równościowy etos amerykańskiej demokracji należy już do przeszłości. Wraz z nim zniknęła także podejrzliwość wobec stowarzyszania się obywateli, w którym jeszcze ojcowie amerykańskiej demokracji, Waszyngton i Madison, doszukiwali się spisku przeciwko równości, a w każdym razie zagrożenia dla interesu publicznego. I właśnie w różnorodności owych stowarzyszeń i w rozwoju samorządów lokalnych widzi Tocqueville skuteczną zaporę przeciwko tendencji do wyrażania się demokracji w tyranię centralnej, choćby nawet demokratycznie wybranej władzy. Siła wolności tkwi dla niego w samorządzie społeczności lokalnej, w niezależności gminy, w samodzielności instytucji komunalnych, które jego zdaniem są tym dla wolności, czym szkoły podstawowe są dla nauki – fundamentem, glebą, z której wolność wyrasta.

U Monteskiusza owa przestrzeń społeczna między poziomem jednostki a poziomem państwa wypełniona była przez hierarchię wspólnot, u Tocqueville'a przez swobodnie powoływane przez obywateli do życia, niezależne zrzeszenia. O różnicach między wspólnotami a zrzeszeniami pisałem już wcześniej. Zwracałem uwagę przede wszystkim na fakt, że wspólnota w życiu społecznym jest zawsze czynnikiem trwania, stabilizującym dotychczasowy ład społeczny; zrzeszenie zaś często bywa motorem zmiany. Wspólnoty są statyczne – zrzeszenia dynamiczne.

Czy nie jest to kolejna, ważna przyczyna, dla której rewolucjonista, człowiek zorientowany na radykalną zmianę świata społecznego będzie z reguły krytycznie nastawiony do wspólnot? Dla niektórych rewolucjo-

nistów nawet tradycyjna rodzina była ostoją znienawidzonego, starego świata. Marks, pisząc o wiejskich wspólnotach w Indiach, określał je jako barbarzyńskie. *Nie wolno zapominać – dowodził – że te sielankowe wspólnoty wiejskie, przy całej swojej niewinności, stanowiły zawsze mocną podstawę wschodniego despotyzmu, że zamykały umysł ludzki w najciaśniejszych granicach, czyniąc zeń bezwolne narzędzie zabobonu, niewolnika tradycyjnych reguł, pozbawiając go wszelkiej wielkości i rozmachu dziejowego*⁴. A więc ich zniszczenie jest, zdaniem Marksa, tym cywilizacyjnym zadaniem brytyjskich kolonistów, które usprawiedliwia ich rządy w Indiach. Marks nie dostrzegał, że owe wspólnoty o tyle tylko są podstawą wschodniego despotyzmu, o ile w ogóle są czynnikiem trwania, stabilizacji ładu społecznego. Nie zdawał sobie sprawy, że równocześnie dają one żyjącym w tych wspólnotach ludziom także ochronę przeciwko despotyzmowi nie tylko rodzimych maharadzów, ale i cywilizowanych, angielskich kolonizatorów.

Władza despotyczna niszczy więc wspólnotową tkankę życia społecznego właśnie dlatego, że stawia ona opór despotyzmowi. Despota chciałby, aby materia społeczna była w pełni plastyczna i bez reszty poddająca się jego woli. Dlatego łatwiej pogodzi się on z faktem, że poddani nie popierają władzy, niżli z ewentualnością, że mieliby popierać się wzajemnie, w tym ostatnim dostrzegając załączek spisku. Władza rewolucyjna niszczy tę tkankę społeczną z innego powodu; ponieważ wie, że stabilizuje ona dotychczasowy ład społeczny. Rewolucjonista także chce, aby ową społeczną materię cechowała plastyczność, ale po to, aby ulepić z niej nowy ład społeczny odpowiadający jego wizji pożądanego świata. Motywy działania despoty i rewolucjonisty są więc różne, skutki bywają jednak często podobne.

Wspólnoty – jak pisałem już w I rozdziale – są naturalną ostoją tych wartości, które, łącząc się z tradycją, umacniają poczucie tożsamości. W Polsce tę rolę wspólnot podnosił Mochnacki. W tych naturalnych związkach społecznych widział ostoję trwałości narodu, dostrzegał w nich przyczynę, że *Polska po rozbiorze tyle razy powstać mogła, bo w narodzie – jak pisał – zostało w środku życie niewygasłe, nie wysiłone przez gwałtowne zewnętrzne poruszenie*⁵.

Wypada przyznać rację Mochnackiemu, przy czym, chociaż zupełnie nie odróżnia on wspólnot od zrzeszeń, wszystkie do jednego wrzucając worka, zwraca uwagę na kapitalny problem zależności między

⁴K. Marks, *Rządy brytyjskie w Indiach*, [w:] K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, t. 9, s. 147.

⁵M. Mochnacki, *Poezja i czyn*, Warszawa 1987, s. 364.

owym społecznym życiem niewygasłym a władzą państwową. Dlaczego te wspólnoty, z rodziną na czele, są w Polsce silniejsze niż gdzie indziej, silne tak dalece, że mogły się przeciwstawić germanizacyjnej i rusyfikacyjnej machinie państw zaborczych, biorąc na siebie ciężar skutecznej ochrony substancji narodu? Bo w Polsce szlacheckiej *władza nie wysłała, nie wytrawiła wszystkiego ze środka* – odpowiada Mochnacki. Jego zdaniem bowiem, *władza rządowa to roślina potrzebująca do swego wzrostu całej iścizny ludu, tym bardziej wysilająca grunt, na którym posadzona została, im bujniej kwitnie, tym bardziej osłabiająca ziemię, która ją karmi, im wyżej się podnosi...*⁶. Mochnacki dokonując przeciwstawienia zewnętrznej siły narodu (która przyjmuje postać państwa, rządu jego siły wewnętrznej, zakłętej we wspólnotach i zrzeszeniach, wprowadza nas w zagadnienie, które dopiero współcześnie stało się szczególnie aktualne. Dopiero współczesne, centralistyczne państwo z jego rozbudowaną administracją obejmującą niemal wszystkie dziedziny życia, z jego ekspansją na obszary dotąd tradycyjnie pozostawione indywidualnej i grupowej, lokalnej aktywności ludzi, ma szansę „wytrawić wszystko ze środka” i próby takie, nie bez rezultatów, podejmuje.

Jeszcze w ubiegłym stuleciu nieufność władzy do wszelkich form zrzeszania się obywateli była zjawiskiem typowym. Dzisiaj rządy nauczyły się doceniać znaczenie przede wszystkim masowych organizacji społecznych, jako instrumentów realizacji celów politycznych. Tego genialny Tocqueville przewidzieć jeszcze nie mógł. Jego niepokój wzbudzała wizja pustej przestrzeni między jednostką a państwem – nie przewidywał groźby innej, że przestrzeń ta, mówiąc obrazowo, będzie szczelnie zabudowana pozostając mimo to **przestrzenią społecznie pustą**. Dzieje się tak wtedy, gdy miejsce dawnych „ciał pośredniczących” zajmują polityczne „pasy transmisyjne” między jednostką a państwem.

Tocqueville, genialnie dostrzegając możliwość przeradzania się demokracji w despotię, nie mógł przewidzieć powstania państwa totalitarnego XX wieku, które – jak dowiodła tego Hannah Arendt w swej głośniejszej pracy „The Origins of Totalitarianism” – nie może być po prostu utożsamiane z tradycyjnym państwem autokratycznym. Ale wbrew opinii Arendt, izolacja zatomizowanych jednostek nie jest właściwością tego państwa. W przeciwieństwie do władzy autokratycznej, władza totalitarna dąży do likwidacji zjawiska odosobnionych jed-

⁶tamże, s. 363.

nostek. Nie pozwala im jednoczyć się wokół własnych interesów, potrzeb i celów, ale zmusza aby skupiali się wokół jej celów. Luksus samotności wobec władzy nie jest dany obywatelowi państwa totalitarnego. Jego obowiązkiem jest przynależność. Człowiek, który nie należy do żadnej organizacji nominalnie społecznej, jest osobnikiem podejrzanym, aspołecznym, obcym. Państwo despotyczne zadawała się biernością swoich poddanych, państwo totalitarne żąda od nich zaangażowania. Z punktu widzenia celów państwa totalitarnego – przy czym jest obojętne jakie są to cele – jednostka odosobniona jest rzeczywiście „bezużyteczna”. Stąd tak wielka tu rola organizacji masowych. Jest oczywiste, że nie mają one nic wspólnego z klasycznymi zrzeszeniami i nie mogą, jak one, czy jak dawniejsze wspólnoty, pełnić roli „ciał pośredniczących”. Powoływane do życia przez centralistyczną władzę, organizacje te są jej przedłużeniem, są „pasami transmisyjnymi” między państwem a jednostką.

Można więc obrazowo powiedzieć, że państwo totalitarne dąży do likwidacji społecznej przestrzeni między jednostką a państwem – spełnieniem totalitarnego ideału jest sytuacja, w której nie byłoby ani kawałka tej przestrzeni, która nie byłaby zagospodarowana przez władzę państwową.

Stwierdziłem na wstępie, że o faktycznym odczuciu wolności człowieka w systemie politycznym decyduje stan zorganizowania przestrzeni społecznej między jednostką a państwem. Świadomość tego faktu w zasadzie dopiero od niedawna staje się powszechna. Niewątpliwie stąd też bierze się ogromne dziś, zarówno na Zachodzie jak i u nas, zainteresowanie problematyką lokalizmu, bo właśnie w społecznościach lokalnych pulsowało zawsze życie wspólnot i zrzeszeń, tych ciał pośredniczących między jednostką a państwem. W Polsce, uniformizująca życie polityka centralistycznego państwa zniszczyła lub przynajmniej osłabiła ich tkankę społeczną. W monistycznej koncepcji jednolitości władzy nie było bowiem miejsca na ideę *pouvoir municipal*, w której tak wielkie nadzieje pokładał Tocqueville, wierząc, że w niezależnej gminie tkwi siła wolnych ludów. Ale w życiu społeczności lokalnych nie tylko przejawiała się zawsze ludzka aktywność, lecz – przede wszystkim w nim – konkretyzował się ład społeczny oparty na zasadach ludzkiej solidarności. *Czym jest więź wspólnego języka wobec więzi wynikłej z wspólnie znanej tajemnicy ziemi?* – pisał wybitny, emigracyjny eseista i krytyk literacki – *Wspólność mowy nie zapobiega wojnom cywilnym,*

*ile natomiast trzeba gwałtów i nieprawości aby wywołać krótkotrwałą chociażby wojnę między mieszkańcami tej samej gminy?*⁷

5

Monarchie i republiki tworzą ludzie, gmina pochodzi od Boga, twierdził Tocqueville, natomiast w austriackiej ustawie o gminach jeszcze w 1849 roku, pracodawcy stwierdzali, że wolna gmina jest podstawą wolnego państwa. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że nie może być demokracji w państwie, w którym ludzie nie mogą jej praktykować w swoim środowisku lokalnym, a więc tam, gdzie rozgrywają się sprawy, które ich bezpośrednio dotyczą, i w których rozstrzyganiu oni sami mogą się czuć kompetentni.

Nie można oczywiście twierdzić, że w Polsce nie było tradycji lokalnej samorządności. Była ona różna w poszczególnych zaborach, najsilniejsza w zaborze austriackim, najslabsza, w zasadzie sprowadzająca się do samorząd samorządu na poziomie wsi, w Kongresówce. Wystarczy jednak przejść się po którymkolwiek z małych miasteczek nie zniszczonych jeszcze ostatecznie przez powojenną urbanizację, by natknąć się na symboliczne ślady owego dawnego, samorządowego ładu. Zamek – symbol władzy państwowej – jeśli się uchował, zawsze stoi na uboczu. W centrum rynku natomiast zawsze stoi ratusz – siedziba władz municypalnych⁸. Polska międzywojenna nie rozwinęła, ani nawet nie odrestaurowała tych dawnych tradycji – tendencje etatystyczne były w okresie międzywojennym bardzo silne, o czym się często zapomina – natomiast Polska powojenna większość tych tradycji zniszczyła. 20 marca 1950 roku uchwalona została ustawa o terenowych organach jednolitej władzy państwowej, która ostatecznie położyła kres nie tylko samodzielnosci, ale nawet formalnej odrębności administracji państwowej od terenowego samorządu lokalnego.

O różnicy między administracyjnymi a społecznymi strukturami pisać będę w rozdziale następnym, tu wypada zauważyć, że powojenną praktykę w tym względzie cechował z jednej strony wysiłek uspołeczniania tego, co państwowe, i upaństwowiania tego, co społeczne. Oba te kierunki działania dawały w efekcie skutki karyka-

⁷J. Stępowski, *Eseje*, Kraków 1984, s. 86.

⁸O zależnościach między typem ładu społecznego a krajobrazem kulturowym interesująco pisze: J. Bogdanowski, *Krajobraz zabytkowy jako wyraz tożsamości* [w:] *Krajobrazy Polski lokalnej*, Warszawa 1988.

turalne, nawet jeśli pominiemy w rozważaniach pierwszą połowę lat pięćdziesiątych, a więc okres, który dostarczałby nam przykładów najbardziej soczystych w swej krańcowości.

Skoncentruję się tylko na tych konsekwencjach obu tych procesów – uspołeczniania i upaństwowiania – które pozostają aktualne w latach osiemdziesiątych, gdy w zasadzie należy już do przeszłości polityka zastępowania fachowych kompetencji ideowym woluntariatem oraz celowego, świadomego niszczenia wszystkich autonomicznych więzi, które mogłyby stanowić konkurencję dla lojalności wobec ideologicznego państwa i partii. Już w latach siedemdziesiątych oba procesy – uspołeczniania i upaństwowiania – przestały być procesami celowymi, stając się inercyjnymi, rozwijającymi się siłą własnego bezwładu. W tym okresie podporządkowywanie społecznych inicjatyw i struktur (jak spółdzielczość) administracji państwowej wynika nie tyle z zakładanych celów ideologicznych, co raczej z wysiłku opanowywania procesów żywiołowych, które anarchizują życie społeczne i gospodarcze. Dla systemu biurokratycznego jedyną naturalną odpowiedzią na wzrost niesprawności jest wzmożenie biurokratycznego nacisku i przyspieszenie rozrostu biurokracji. Bardziej szczegółowo będą o tym pisać w następnym rozdziale.

Tendencje upaństwowiające – etatystyczne – w latach siedemdziesiątych wynikają także z działania władzy w warunkach coraz bardziej zaostrzającego się niedoboru. Na przykład likwidacja tzw. przemysłu terenowego przez ówczesnego premiera Jaroszewicza, była próbą zaradzenia rosnącym kłopotom surowcowo-zaopatrzeniowym, które uniemożliwiały już wtedy pełne wykorzystywanie mocy produkcyjnych przemysłu kluczowego.

Pisałem wcześniej o wielości rozmaitych instytucji, których celem jest stwarzanie społeczeństwu możliwości wpływania na bieg rzeczy, brania udziału, współdecydowania etc. Jest to z jednej strony naturalna w tym systemie instytucjonalizacja (biurokratyzacja) demokratycznego uczestnictwa, z drugiej zaś wielu sferach profesjonalnego działania aktywność społeczna łąca ma luki systemowe. Ma być środkiem zastępczym właściwych mechanizmów podporządkowujących cele rozmaitych instytucji potrzebom ludzi, którym statutowo mają one służyć. Czyli aktywność społeczna jako bat na handlową biurokrację, która bierze pensje niezależne od tego, czy przynosi zyski czy straty; na cenową samowolę przedsiębiorstw, których nie dyscyplinuje rynek, etc.

Sierpień 1980 kończy życie większości tych zinstytucjonalizowanych

i poczętych z nadania władzy substytutów demokracji i obywatelskiego współuczestnictwa. Niektórym, jak Frontowi Jedności Narodu, urządzi się ostentacyjne pogrzeby, inne, jak np. wspomniane już Społeczne Komisje Kontroli giną śmiercią przez nikogo nie zauważoną. W tych miesiącach nawet sklepowe książki zażeń znikają z miejsc przypisanych im odgórnym zarządzeniem. Jest to czas niekontrolowanego wybuchu społecznej aktywności, której detonatorem i kanalizatorem jest „Solidarność”.

Dopiero stan wojenny przynosi odrodzenie tych zastępczych struktur demokracji, ale choć mają one również substytutowy charakter, są to już inne substytuty niż te, z lat siedemdziesiątych. Można było przypuszczać, że do instytucji zrodzonych w stanie wojennym wejdą przede wszystkim nieuleczalni dogmatycy pałający żądzą odwetu na niedawnych przeciwnikach i chęcią cofnięcia czasu historycznego w Polsce do wczesnych lat pięćdziesiątych, a także zwyczajni oportuniści, którzy zawsze wiernie i ochoczo służyli kolejnym ekipom władzy. Chyba taki właśnie, w pewnym sensie naturalny, nabór ukształtował tzw. OKON-y (Obywatelskie Komitety Obrony Narodowej), szybko zresztą zlikwidowane. Ale już PRON (Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego) zdominowany został przez ludzi wyznających „filozofię środka”, którzy uznali, że właśnie w tym czasie nie można zostawić wolnego pola „ludziom z betonu”. Centrum polityczne bardzo wyraźnie wspiera właśnie tę, umiarkowaną a nawet reformatorską formację, starając się „odcinać skrzydła” w partii i w układzie władzy. Z jednej strony więc odchodzą z centralnych władz partii ludzie tacy jak Fiszbach, z drugiej zaś tacy, jak Grabski i Olszowski. Właśnie działalność PRON-u a także nowych związków zawodowych skupionych w OPZZ, jest najlepszą ilustracją, że nawet zastępcze struktury demokracji, powstałe z nadania władzy, nie mogą już w latach osiemdziesiątych prowadzić polityki w pełni zależnej. Inna sprawa, że sama władza sobie tego nie życzy starając się aby ich działalność legitymizowała jej intencje wyrażane w hasle *nie ma powrotu do przeszłości*.

Ale z punktu widzenia tych rozważań charakterystyczne jest inne zjawisko. Oto „Solidarność” atakowana przez rząd i partię za dążenie do władzy, a więc uprawianie polityki w ścisłym, wąskim znaczeniu tego pojęcia (polityka jako dążenie do zdobycia i – lub – utrzymania władzy) jest przede wszystkim ruchem pracowniczym i robotniczym. Siłą polityczną „Solidarność” naprawdę stanie się dopiero w 1989 roku tracąc wówczas w dużym stopniu swój robotniczo-pracowniczy charakter, ale wtedy już nikt nie będzie jej z tego powodu czynił za-

rzutów! W 1980–1981 roku twierdzami „Solidarności” są instytucje i przedsiębiorstwa a jej oddziałami bojowymi załogi robotnicze wielkich fabryk. Zagadnienia samorządności lokalnej, która jest fundamentem demokracji i społeczeństwa obywatelskiego nie leżą w tym okresie w polu głównych zainteresowań kierownictwa ruchu. Słynna, powstała w 1981 roku koncepcja „sieci”, która była jednym z wielu zresztą punktów sporu z władzą, dotyczy samorządności pracowniczej a nie lokalnej, chociaż z niej rodzi się później idea – w zasadzie tylko idea – Samorządowej Rzeczypospolitej.

Warto zastanowić się dlaczego już po kilku latach właśnie ten problem – samorządności lokalnej – stanie się dla „Solidarności” sprawą kluczową? 25 lipca 1989 roku, jedno z pierwszych posiedzeń Senatu – w którym tylko jedna osoba jest spoza „drużyny Lecha Wałęsy” – poświęcone jest w całości debacie na temat samorządu lokalnego. Kwestię wyborów do tego samorządu i uniezależnienia go od organów państwowej administracji, „Solidarność” podnosi już w czasie obrad okrągłego stołu. Przyczyn, jak sądzę, jest wiele. Okres stanu wojennego i podziemnej, nielegalnej działalności nie sprzyjał umacnianiu pracowniczego charakteru „Solidarności”. Co prawda, tzw. nielegalne struktury mają pewne oparcie w niektórych zakładach pracy; są instytucje i przedsiębiorstwa, w których zbiera się nadal składki członkowskie, ale konspiracyjna działalność polityczna – organizacyjna i wydawnicza – ma miejsce poza zakładami pracy.

Najważniejsze jednak są w moim przekonaniu dwie przyczyny. Pierwsza, to zmiany pokoleniowe w kręgu zaangażowanej, aktywnej opozycji. Zwracałem już uwagę w pierwszym rozdziale na fakt, że opozycja w latach siedemdziesiątych jest dzieckiem dotychczasowego systemu politycznego, odtwarzającym w niektórych sytuacjach z zaskakującą wiernością Cliches stalinowskiego i poststalinowskiego myślenia. Jedną z takich cliché jest przekonanie, że „siłą roboczą” historycznych przemian są i mogą być tylko wielkie załogi wielkich zakładów. Doświadczenia historyczne systemu utwierdzają zresztą opozycję w przekonaniu, że klęska systemu może nastąpić tylko na tym polu społecznym, na którym system się rodził i które zresztą przez ten system zostało zrodzone. O tym także będzie jeszcze mowa. Właśnie w latach osiemdziesiątych w szeregach opozycyjnego aktywu i jego społecznego zaplecza pojawiają się ludzie z innego pokolenia, którym kategoria „budowniczych Polski Ludowej” jest zupełnie obca, którzy nawet jeśli są młodymi robotnikami, nie podzielają już owego robotniczego etosu, silnego jeszcze w pokoleniu starszym. Centrum życia nie

jest już dla nich miejsce pracy ale wszystkie inne miejsca poza pracą. W tym także czasie pojawia się silnie akcentowana wartość różnorodności, która swój wyraz znajduje właśnie w układach lokalnych ⁹.

Przyczyną drugą jest fakt, że „Solidarność” w 1989 roku odradza się jako siła polityczna a nie ruch związkowy. Po wygranych wyborach wkrótce staje się centrum nowej władzy. To Polska lokalna zapewniła jej zwycięstwo w wyborach, a równocześnie „Solidarność” zdaje sobie sprawę, że mieć przewagę w rządzie a nawet w parlamencie nie znaczy jeszcze mieć władzę w Polsce. Chociaż w gabinetach rządowych i salach sejmowych rozstrzygane są najistotniejsze problemy państwa, w Polsce wojewódzkiej i gminnej rozstrzygają się najżywotniejsze sprawy społeczeństwa. Wolna gmina jest podstawą wolnego państwa, co znaczy również, że władza w gminie jest podstawą władzy w państwie.

⁹Zjawisko to – pozytywnego wartościowania regionalnej i lokalnej różnorodności – potwierdzają liczne badania prowadzone w ramach programu „Rozwój regionalny – rozwój lokalny – samorząd terytorialny”. Ich omówienie [w:] B. Jałowiecki, *Rozwój lokalny*, Warszawa 1989, s. 167 i dalsze.

Rozdział 5

Liberalizacja a demokratyzacja

Kiedy upadł „rząd niemocy narodowej” premiera Zbigniewa Mesniera i fotel jego obejmował Mieczysław Rakowski, perspektywa „okrągłego stołu” rysowała się jeszcze mgliście. Nie było wcale pewności, czy do niego dojdzie. Czy Rakowski zdawał sobie sprawę, że szanse powodzenia jego gabinetu zależą od tego czy zerwie się wązka nitka nadziei na „okrągły stół”? Osobiście podejrzewam, że jest to polityk zbyt mądry, aby nie uwzględniał takiej ewentualności, że powodzenie rozmów może przekreślić szanse sukcesu jego gabinetu. Co prawda jeszcze wtedy nikt, ani z ówczesnej „strony koalicyjnej”, ani z ówczesnej „strony opozycyjnej” nie przewidywał rezultatów owych rozmów, ani tym bardziej wyników wyborów z 4 czerwca 1989 roku i związanych z nimi dalszych konsekwencji. Niemniej ten bystry obserwator sceny politycznej, nie mówiąc już o jej doświadczonym aktorze, musiał uwzględniać istnienie zależności między powodzeniem świeżo utworzonego rządu i zgłoszonej inicjatywy rozmów z opozycją. Oczywiście gdyby rozmowy przy „okrągłym stole” zakończyły się fiaskiem, nie byłoby żadnych perspektyw na gwałtowny, radykalny skok Polski w parlamentarną demokrację. W takiej hipotetycznej sytuacji, prawdopodobna byłaby albo perspektywa gwałtownych, burzliwych i masowych strajków (a może i zamieszek). W najlepszym chyba, najmniej prawdopodobnym przypadku, droga reform o charakterze raczej liberalizacyjnym aniżeli demokratycznym, zakłócanych z trudem lokalizowanymi społecznymi niepokojami. Reformy te koncentrowałyby się wtedy – zakładając, że w ogóle miałyby szansę powodzenia – na problemach gospodarczych. I o takiej właśnie alternatywie mówił Rakowski jako nowy premier w swoim inauguracyjnym, sejmowym wystąpieniu, zastanawiając się, czy jego rodacy nie woleliby raczej owoców sutego, aniżeli okrągłego stołu.

Rakowski nie był jednak pierwszym, który takie pytanie postawił.

Nie pojawiło się ono dopiero wtedy, gdy zrodziła się idea powołania „okrągłego stołu”. Stawiano je dużo wcześniej jako pytanie o zależność między rzeczywistą demokracją a zdrową gospodarką czy, w kategoriach bardziej pragmatycznych jako pytanie co powinno być pierwsze i co jest doraźnie ważniejsze – reformy polityczne czy gospodarcze?

Na takie pytanie udzielano dwóch przeciwstawnych odpowiedzi. Pierwsza brzmiała, że demokracja polityczna nie jest wcale niezbędnym warunkiem gospodarczego rozwoju. Odpowiedź taka nie musiała wynikać z postawy przeciwnej reformom politycznym, a przynajmniej nie wiązała się z nią automatycznie, choć niemal zawsze takie posądzenia rodziła. Odpowiedź druga wskazywała na absolutne pierwszeństwo demokratyzujących system reform (zakładając, że kryzys w Polsce ma przede wszystkim charakter polityczny i bez zmiany systemu politycznego nie osiągnie się postępów w gospodarce).

Przesądzenie słuszności jednego lub drugiego stanowiska nie było sprawą prostą. Zwolennicy pierwszeństwa reform gospodarczych wskazywali na wcale nie małą liczbę krajów, które osiągnęły imponujący rozwój gospodarczy mając równocześnie autokratyczny system władzy. Ich przeciwnicy dowodzili – nie bez racji zresztą – że w krajach takich zawsze wcześniej czy później dochodziło do poważnych napięć społecznych, bowiem obfitość dóbr materialnych nigdy na dłuższą metę nie wystarcza jako substytut obywatelskich swobód i wolności.

Jeszcze inni dowodzili pozorności i sztuczności dylematu. Dlaczego mamy wybierać między demokracją polityczną a gospodarczą efektywnością, jeśli w najwyżej rozwiniętej części świata wartości obu tych porządków współgzystują ze sobą tylko z rzadka wzajemnie sobie wadząc, o wiele częściej zaś wzajemnie się wspierając? Dlaczego więc w ogóle rozpatrywać taki dylemat, czy nie należałoby go odrzucić?

Nawet ci ostatni zdawali sobie sprawę, że przy wyborze drogi może istnieć problem – czy reformowanie gospodarki wyprzedzać ma reformy polityczne, czy odwrotnie. Tu właśnie pojawia się kwestia różnic między liberalizacją, a demokracją systemu politycznego. Aby rozróżnienie to stało się dla Czytelnika jasne i zrozumiałe trzeba wyjaśnić treść pojęć *demokratyzacja* i *liberalizacja*. Co prawda nie są one nowe i w historii myśli politycznej mają swój utrwalony sens, ale zbyt wiele pojęć pogubiło u nas swe znaczenie by liczyć, że będzie się zrozumianym.

Renesans koncepcji liberalnych, zarówno w myśli społecznej jak i praktyce politycznej („reaganizm” w Stanach Zjednoczonych i „thatcherizm” w Wielkiej Brytanii) jest zrozumiałą reakcją na długi okres dominowania tendencji *etatystycznych*. Niezależnie od tego co piszą dziś skrajni liberałowie, bogate kraje zachodnie zawdzięczają wiele temu okresowi. Nie tylko humanizujący gospodarczą konkurencję system prawny, nie tylko wysoki poziom świadczeń społecznych i niewyobrażalne dla nas sukcesy w ochronie środowiska, ale – chyba przede wszystkim – wysoką cenę pracy. To właśnie stale rosnący wzrost siły roboczej był najpoważniejszym wyzwaniem dla postępu technicznego zachodniej Europy. Gdyby w krajach tych koszt ludzkiej pracy wynosił, jak u nas, poniżej dziesięciu procent ogólnych kosztów produkcji, poziom ich rozwoju technologicznego byłby o wiele niższy. Zapewne istotną rolę odegrało także społeczne wyzwanie ideologii socjalistycznej, mimo, że wiele wartości tradycyjnie przez lewicę eksponowanych, jest dziś lepiej realizowanych w krajach o nielewicowych systemach politycznych.

Okres ten wyczerpał jednak swoje rozwojowe możliwości. Ostatecznie dobiła go, między innymi rewolucja mikroprocesowa przesuwając biegun technologicznej nowoczesności w stronę – by użyć określenia Alvina Tofflera¹ *odmasowionej* produkcji. W tej sytuacji indywidualna przedsiębiorczość zaczyna ponownie odzyskiwać swój, jak zadawało się jeszcze niedawno, bezpowrotnie utracony sens.

Nie zajmuję się jednak w tej książce problematyką społeczną i ekonomiczną krajów zachodnich, nie piszę pracy o historii myśli społecznej i politycznej. Z punktu widzenia interesującej nas problematyki jest to dygresja, o tyle jednak istotna, że moda na liberalizm dociera i do Polski, przybierając niekiedy formy nawet humorystyczne.

Z punktu widzenia tych rozważań istotniejsze jest nawiązanie do tradycyjnej istoty liberalizmu, który swoją koncepcję ładu społecznego opiera o uznanie praw naturalnych jednostki. Wśród prawd tych są i takie, które mają charakter polityczny (prawo do wolności słowa czy zrzeszania się). Ale nie jest kwestią przypadku, że właśnie te ostatnie (poza Anglią) najpóźniej wchodziły w życie krajów realizujących klasyczną doktrynę liberalną.

Liberalizm najsilniej zaznaczył swą obecność na polu ekonomii, a

¹A. Toffler, *Trzecia fala*, Warszawa 1986

nie polityki akcentując przede wszystkim prawo człowieka do posiadania własności i korzystania z niej. To nie doktryna liberalna stworzyła pojęcie „homo oeconomicus” ale praktyka liberalizmu pozwoliła człowiekowi takim go dostrzec i tak go określić. Bo prawo jednostkowe, skoncentrowane na jednostce, realizuje się przede wszystkim w gospodarczej a nie politycznej sferze życia.

Przedsiębiorcza jednostka może, pod wieloma oczywiście warunkami, zrealizować swą aktywność na scenie gospodarczej – założyć przedsiębiorstwo, „zrobić” majątek. Na scenie politycznej jednostka niewiele znaczy i nic nie robi, jeśli nie zdoła pociągnąć za sobą innych, jeśli nie stanie się przywódcą liczącej się grupy społecznej, reprezentantem jej interesów. Rola jednostki na scenie polityki może być pierwszoplanowa, w niektórych sytuacjach nawet rozstrzygająca, ale nikt nigdy niczego w działalności politycznej nie osiągnął odwołując się do własnych, indywidualnych interesów i praw. Właśnie dlatego liberalizm rozbudowując domenę gospodarki ograniczał zawsze sferę polityki, owe polityczne zaś prawa jednostki rozumiał przede wszystkim jako „prawa negatywne” (prawo do wolności od polityki, do trzymywania polityki – państwa – możliwie najdalej od swoich spraw). I tym się różni klasyczny liberal (współczesny zresztą także), od demokraty. Nie oznacza to rzecz jasna skrajnego rozgraniczenia demokratyzmu i liberalizmu. Nie twierdzę bynajmniej, że współczesny liberal nie może być przywiązany do wartości demokratycznych, a demokratą do liberalnych. Podkreślam jedynie istotną moim zdaniem różnicę akcentów. O ile bowiem demokratą wychodzi od **praw większości społeczeństwa** zakładając, że owe prawa realizują się przede wszystkim na scenie politycznej, w woli ludu, w jego władzy, o tyle liberal wychodzi od **praw jednostki**, w jakiejś mierze zakładając, za swoim patronem Adamem Smithem, że całość społecznego dobra sama się złoży pod warunkiem, że jednostkowe prawa będą respektowane. Dla pierwszego – motorem postępu są siły społeczne reprezentujące interes większości, dla drugiego motorem postępu jest suma działań jednostkowych.

Demokratyzacja systemu społeczno-politycznego nie jest więc tym samym co liberalizacja. Ta ostaną przynosi rozluźnienie gorsetu ograniczeń, które system ten stwarza. niekoniecznie wiążąc się ze zmianą jego istoty; ta pierwsza, zmieniając system polityczny w jego istotowych założeniach, nie zawsze prowadzi do zmniejszenia zakresu restryktywności prawnych ograniczeń i zwiększenia swobody działań jednostek.

Proponowane przeze mnie rozgraniczenia – przemiany gospodarcze a polityczne, liberalizacja systemu a jego demokratyzacja – nie mogą być rzecz jasna rozumiane nazbyt dosłownie i radykalnie. Liberalizacja, zwiększając zakres swobody jednostki, nie jest bez znaczenia dla jej politycznej kondycji w państwie. Proces liberalizacji systemu politycznego w Polsce w różnym tempie i z wieloma meandrami trwał w zasadzie od końca 1954 roku. W okresie stalinowskim mordowano ludzi w warunkach zorganizowanego bezprawia pod pozorem domniemanych przestępstw. Po roku 1956 nawet rzeczywisty opozycjonista nie musiał się już liczyć z perspektywą utraty życia, ale podpisanie listu protestacyjnego adresowanego do władz, w kwestiach zgoda drugorzędnych z politycznego punktu widzenia, grozić jeszcze mogło utratą pracy lub uwięzieniem. W latach siedemdziesiątych już nawet jawna, ostentacyjna działalność opozycyjna spotykała się często z cichą tolerancją. W latach osiemdziesiątych zaś, jeszcze przed rozpoczęciem rozmów przy „okrągłym stole”, drastyczne w formie antyustrojowe wystąpienia tolerowane były jawnie, umiarkowanym zaś działaczom opozycji proponowano ministerialne fotele.

Przemiany, które zachodziły w systemie politycznym od połowy lat pięćdziesiątych do sierpnia roku 1980, określane były często jako demokratyczne. Nie lekceważę tych zmian, bo chyba nikt nie może uważać za nieistotne zmian, które prowadzą do rządów strachu i terroru, opartych o bezkarność zbrodni i bezprawia, do sytuacji, gdy nawet na zebraniach publicznych można już mówić co się myśli. Nie określałbym jednak tego jako procesu demokratyzacji systemu politycznego.

Na system polityczny składają się: struktura podmiotów politycznych (partie, sejm, rząd, organizacje, które faktycznie lub formalnie mają wpływ na polityczne decyzje), zasady ich działania oraz mechanizmy koordynacji ich działań (pod czym należy rozumieć relacje między np. partiami, sejmem, rządem itd). Proces ten, tak istotny z punktu widzenia ludzi, ich indywidualnych losów, samopoczucia, nie prowadził jednak do zmian w samym systemie. Fakt, że nie represjonuje się przekonań istotny jest dla każdej jednostki, każdego obywatela, ale społecznie izolowana jednostka nie działa na scenie politycznej – wolność indywidualnego, „prywatnego” słowa nie jest jeszcze zmianą demokratyzującą system, ponieważ nie sięga owej politycznej sceny. Dopiero wolność przekonań poszerzona o możliwość ich publicznego

ogłoszenia i organizowania się ludzi podobnie myślących, prowadzi do nowej sytuacji politycznej. Liberalizacja zmienia warunki życia w systemie, demokratyzacja zmienia system.

Chociaż więc o demokratyzacji, o „postępach w demokratyzacji” mówi się i pisze od 1956 roku, o faktycznych przemianach demokratyzacyjnych możemy mówić dopiero od sierpnia 1980 roku z tym, że – co może brzmieć nawet paradoksalnie – w okresie od sierpnia 1980 do grudnia 1981 – system polityczny broni się przed owymi przemianami, sam zaś zaczyna się bardzo wolno i stopniowo demokratyzować dopiero w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. Między sierpniem, a grudniem mamy do czynienia rzeczywiście z sytuacją „dwuwładzy”, a w każdym razie z układem dwóch legalnych, ale niezależnie od siebie działających obiegów politycznych wymuszających na sobie ustępstwa i ograniczenia, zwalczających się wzajemnie: obiegiem demokratyczno-anarchistycznym, któremu przewodzi „Solidarność”, i poststalinowskim obiegiem władzy partyjno-państwowej. Ta sytuacja musiała się skończyć tragicznie nawet, gdyby różne rodzime Targowice nie miały wsparcia na moskiewskim dworze Leonida Breżniewa.

Dopiero po stanie wojennym powstaje nowa sytuacja, w której pozostały na placu system polityczny zaczyna się sam, od wewnątrz, zmieniać. Wielu, jeśli nie większość działaczy „Solidarności” skłonnych jest sądzić, że system polityczny w Polsce zaczyna się dopiero zmieniać w momencie ich oficjalnego wejścia na scenę polityczną. Przekonanie to zgodne jest z odczuciem przeciętnego Polaka, który zmiany w systemie dostrzega dopiero wtedy, gdy stają się one widoczne w obserwowanym przezeń pejzażu politycznym, w którym pojawiają się nowe hasła, szyldy i twarze. Ale w 1989 roku „Solidarność” nie tworzy oddzielnego, konkurencyjnego systemu politycznego. Wchodzi w dotychczasowy organizm polityczny, staje się jego częścią i jak okazuje, wcale nie odrzucaną przezeń, jak obcy przeszczep. Aby to mogło się stać, system musiał się zmienić. Trzeba doceniać znaczenie naciśku jaki na system wywierała nielegalna działalność opozycyjna, ale nie można pomijać znaczenia innych czynników. W latach osiemdziesiątych rzeczywiście OPZZ nie przypomina już w niczym dawnego CRZZ-u, a PRON – Frontu Jedności Narodu, tak samo jak Rady Konsultacyjnej przy gen. Jaruzelskim, jako Przewodniczącym Rady Państwa, nie można porównywać z Komitetem Ekspertów przy Gierku. Działalność PRON-u, Rady Konsultacyjnej, Rzecznika Praw Obywatelskich a także OPZZ-u, nazwanego później publicznie przez Adama Michnika *bękartem stanu wojennego*, w niemałym stopniu przygotowała

system polityczny do radykalnej przemiany, w której możliwe już było ponowne wejście na scenę polityczną „Solidarności”. Mówię oczywiście o przygotowywaniu obiektywnym, a nie subiektywnym. Związki Zawodowe Miodowicza wpływały bardzo radykalizująco na nastroje załóg, choć nie można ich posądzać o postawę prosolidarnościową. Ich rola przed „okrągłym stołem”, z tego obiektywnego punktu widzenia jest inna niż później. Potem zachowują się jak *zdradzona narzeczona*, ich radykalizm zaś, populistyczny i antyreformatorski, staje się obiektywnie czynnikiem zagrażającym przemianom, choć na szczęście już wówczas czynnikiem słabym. Dopiero doświadczenia reformy Balcerowicza ponownie wzmacniają pozycję OPZZ, ale ma to miejsce w roku 1990.

3

Liberalizacja poszerza pole swobody działania jednostkom – demokracja daje grupom społecznym swobodę stawania się podmiotami polityki. Z punktu widzenia przemian demokratycznych najważniejsze, podstawowe, jest prawo ludzi do swobodnego zrzeszania się i dlatego temu zagadnieniu warto przyjrzeć się bliżej.

Na kongresie PRON-u, w 1987 roku, jeden z najistotniejszych postulatów dotyczył prawa do zrzeszania się. Może ktoś stwierdzić, że przecież prawo to istniało i było konstytucyjnie zagwarantowane. Różnica jednak między stanem postulowanym przez PRON a istniejącym do 1988 roku polegała na tym, że obywatele mieli nie tyle prawo do zrzeszania się, co prawo do starania się o administracyjne zezwolenie by móc zeń skorzystać.

W potocznym przekonaniu, sytuacja – prawna i faktyczna – w której dozwolone jest tylko to, na co urząd pozwoli, zrodziła się dopiero w PRL. Nie jest to jednak prawda. Po drugiej wojnie światowej socjalistyczne państwo przejęło w tym zakresie z dobrodziejstwem inwentarza stan prawny stworzony przed wojną, jeszcze na początku lat trzydziestych. W tendencjach centralistyczno-etatystycznych mamy tradycja dłuższe niż się zazwyczaj sądzi. To właśnie porzedwojenne prawo o stowarzyszeniach oddawało urzędowi moc weryfikowania słuszności społecznych inicjatyw wprowadzając prawo do zrzeszania się do prawa starania się o pozwolenie na skorzystanie z niego². Chodziło wówczas o rozciągnięcie administracyjnej kontroli nad działalnością organizacji

²Rozporządzenie Prezydenta R.P. z 27 października 1932 r.

politycznych, zarówno lewicowych, jak i prawicowych (np. ONR). Ale tym okresem zajmować się nie będę. Interesuje mnie natomiast dlaczego ten stan prawny został utrzymany po wojnie i dopiero w latach osiemdziesiątych, a właściwie dopiero w drugiej połowie tej dekady, zaczęły podnosić się głosy domagające się zmiany.

Dlaczego dopiero wtedy? Sądzę, że właśnie wówczas ujawniać się zaczął dysonans między praktyką administracyjną a zasadniczym kierunkiem przemian politycznych w Polsce.

Długa jest lista towarzystw, klubów, stowarzyszeń, które w latach osiemdziesiątych spotkały się z odmową rejestracji choć ich projektowana działalność nie stała w żadnej sprzeczności z prawem. Chcę się jednak zatrzymać na jednym przykładzie, ponieważ wiąże się z nim interesujące, publiczne wyjaśnienie przyczyn odmowy. Z inicjatywą powołania do życia towarzystwa reformy polityki mieszkaniowej wystąpiła w 1983 roku grupa ludzi, wśród których byli wybitni architekci, urbaniści, socjologowie a także dziennikarze zaniepokojeni tragiczną sytuacją budownictwa, a równocześnie zorientowani, że polityka resortu do niczego dobrego nie prowadzi. Przeciwnikiem inicjatywy był ówczesny minister budownictwa, co zrozumiałe i nie budziło zaskoczenia nikogo. W pamięci utkwiły mi jednak przede wszystkim słowa ówczesnego wicepremiera, Zenona Komendera, który tłumaczył się przed kamerami telewizyjnymi z negatywnej decyzji mówiąc, że ponieważ działają spółdzielnie, które statutowo zajmują się polityką mieszkaniową, więc *nie ma sensu tworzenia bytów ponad potrzebę*.

Zasada nie mnożyć bytów ponad potrzebę jest słuszna i logiczna gdy odnosi się ją do działalności administracyjnej, jest jednak bez sensu gdy odnosi się ją do działalności społecznej. Te dwie sfery życia - administracyjną i społeczną - cechuje inny rytm racjonalności. Sfera działalności administracyjnej musi być logiczna, przejrzysta, uporządkowana, planowa, posegmentowana i rozbudowana na tyle tylko, na ile jest to niezbędne. Wymagamy od niej sprawności. Sferę życia społecznego, w klasycznym rozumieniu tego pojęcia, cechować powinno bogactwo i różnorodność form, autentyzm, spontaniczność, żywiołowość, barwność. Oczywiście w granicach zakreślonych przez prawo.

Aby wyjaśnić, dlaczego różnice między tymi dwoma typami racjonalności - administracyjnej i społecznej - zostały u nas zatarte, odwołać się trzeba do problemu nieco szerszego. Zatarcie różnicy między racjonalnością administracyjną a społeczną jest bowiem pochodną wcześniejszego, programowego nierozróżniania między tym, co społeczne, a tym co państwowe. Programowego, ponieważ zakładany

proces uspołecznienia państwa doprowadzić miał do sytuacji, w której to, co państwowe, miało się z tym co społeczne w pełni i do końca utożsamiać.

Relacje i zależności występujące w trójkącie: państwo – administracja – społeczeństwo nie są wcale proste. Współczesne państwo nie może istnieć bez administracji, ale sprowadzenie istoty państwa do jej działania byłoby daleko idącym uproszczeniem, choć spotyka się je w literaturze politologicznej. Także nie wszystko, co „administracyjne” jest państwowe, choć w tym przypadku wyodrębnienie np. państwowej administracji od gospodarczej nastrocza trudności, gdy mamy do czynienia z przedsiębiorstwem, które nie tylko samo jest państwowe ale i zarządzane jest w trybie administracyjnym i scentralizowanym.

Zgłaszam te zastrzeżenia, by nie być posądzonym, że przeciwstawiając się jednemu utożsamianiu wpadam w drugie.

Najwcześniejsze radykalne wydanie koncepcji uspołecznienia państwa, przewidujące jeszcze jego rychłe obumieranie, zakładało także, a nawet przede wszystkim, uspołecznienie jego administracji. W praktyce bardzo szybko zresztą okazało się, że zastąpienie ogniw administracji państwowej, jak i każdej innej zresztą, np. gospodarczej, *ciałami społecznymi* tak aby, jak sądził jeszcze Lenin, *sprzątaczką mogła rządzić państwem*, jest nierealne. Administracja jako wyspecjalizowana grupa fachowców o określonych, często wysokich kompetencjach i specyficznych uprawnieniach, nie może zostać zastąpiona przez najbardziej nawet zaangażowanych ale niekompetentnych wolontariuszy.

Lapidarnie można by powiedzieć, że wraz z hasłem Stalina *kadry decydują o wszystkim*, zakładany proces uspołecznienia państwa przeradza się począł – u nas na początku lat pięćdziesiątych – w jego przeciwieństwo: w proces upaństwowiania tego co społeczne (przy fikcyjno-ideologicznym założeniu, że w socjalistycznym państwie to, co państwowe, z natury rzeczy jest w najwyższym stopniu uspołecznione). Państwowe przedsiębiorstwo było więc *de nomine* uspołecznione, państwowy urząd reprezentował najpełniej interes społeczny, upaństwowienie zaś spółdzielczości było wyższym stopniem jej uspołecznienia, jak próbowali dowodzić nawet niektórzy spółdzielczy teoretycy. Fakt, że dzisiaj już w literaturze naukowej stawianie znaku tożsamości między tym, co państwowe a tym, co społeczne, spotyka się względnie rzadko, nie oznacza jeszcze, że różnice między tymi dwiema sferami są uświadamiane. Różnicom tym warto więc poświęcić chwilę uwagi.

Cel istnienia i działania instytucji administracyjnej jest zawsze zewnętrzny. Zewnętrzną jest potrzeba, która ją do życia powołuje. In-

stytucja powołana do życia po to *aby była*, aby dawała zatrudnienie urzędnikom, jest nieporozumieniem, chociaż zdarzają się instytucje, które w gruncie rzeczy niczemu i nikomu nie służą lub powstały dlatego, że *trzeba* dać fotel komuś z kim nie wiadomo co zrobić. Jest to jednak zawsze zjawisko patologiczne.

Społeczne, zrzeszeniowe formy organizacji mogą służyć jakimś zewnętrznym celom, ale w gruncie rzeczy do istnienia powołuje je zawsze *potrzeba wewnętrzna* – potrzeba odczuwania przez ludzi, którzy taką organizację zakładają i chcą w niej działać. Nawet jeśli – jak w Armii Zbawienia – chcą zbawiać innych, bez tej własnej, silnie uwewnętrznionej, przez samych członków chęci *potrzeby zbawiania innych*, organizacja nie mogłaby powstać ani utrzymać się przy życiu. Przy czym potrzeba ta dla innych może nie istnieć; ważne, aby istniała dla tych, którzy organizację zakładają i działają w niej. Klub Miłośników Kaktusów wyda się inicjatywą pozbawioną wszelkich powabów a nawet sensu komuś, kto w kaktusach dostrzega tylko kolce. Ale dla ludzi, którzy się nimi interesują, inicjatywa jego powołania wyrasta z autentycznej, prawdziwej i bywa, że bardzo głębokiej potrzeby.

Nie jest to oczywiście jedyna różnica między organizacją typu administracyjnego i społecznego, ale właśnie ona jest najważniejsza. Wszystkie inne, wraz z charakterystycznymi a oczywistymi różnicami struktury organizacyjnej, typu władzy, metod działania i kierowania, są pochodnymi tej pierwszej, podstawowej różnicy. Jej lekceważenie prowadzi do obustronnych deformacji, które dotyczą zarówno działalności administracyjnej, jak i społecznej.

Opinia, że *nie należy tworzyć bytów ponad potrzebę* wygłaszana przez wysokiego urzędnika państwowej administracji, jest w pewnym sensie potwierdzeniem, że w sferze społecznej kreatywną funkcję przyznaje się administracji. Kto nie ma tych bytów tworzyć? Właśnie ona, administracja. Środowisku społecznemu pozostaje rola inicjatywna. Inicjatywa może być chciana lub nie, celowa lub nie, pozytywna lub przeciwnie, negatywna – o tym jednak wyrokuje urzędnik. A urzędnik najczęściej mówi: *nie*. Dlaczego?

Charakterystyczną w tym względzie wypowiedź odnotowałem prowadząc kilka lat temu badania na temat samorządności spółdzielczej. Otóż pewien urzędnik, uzasadniając mi negatywną postawę wobec inicjatywy powoływania komitetów członkowskich (szczegóły nie mają znaczenia), powiedział: *nie będziemy tego popierać, bo my tego nie opamięniamy*. Urzędnik skłonny jest patrzeć na życie społeczne tak, jak powinien patrzeć, (co nie znaczy, że patrzy!) na swoją instytucję. Im więcej

w niej ogniw, komórek, działów, tym mniej jest ona przejrzysta, tym trudniej nią kierować, szczególnie, jeśli kierowanie pojmuje się w trybie kontrolno-nakazowym, w którym *góra* odpowiada za wszystko, co robi się *na dole*.

Oczywiście może ktoś powiedzieć, że urzędnik odmawiając *czuje swoją władzę*; fakt, że może pozwolić ale nie musi, w innej pozycji ustawia petenta. Gdyby jego decyzja zależała wyłącznie od samej normy prawa, wówczas jego *tak* nie świadczyłoby o przychylności, a *nie* o władzy. Nie neguję znaczenia tego psychologicznego czynnika, ale bym go nie przeceniał.

Dla dobrego, klasycznego urzędnika nielimitowany, spontaniczny przyrost różnych ośrodków społecznej inicjatywy kojarzy się przede wszystkim ze wzrostem chaosu. Szczególnie w dzisiejszym, przeinstytucjonalizowanym świecie (zjawisko nie tylko nas dotyczy), w którym coraz mniej jest sfer życia całkowicie wyjętych spod administracyjnej kurateli, zarysowuje się konflikt między światem administracyjnym i społecznym. Jest to konflikt między porządkiem i chaosem, między dyscypliną i żywiołem.

Administracja skłonna jest więc wobec sfery społecznego działania przyjmować postawę restrykcyjną i zawsze taką postawę będzie przyjmowała, jeśli pozwoli jej na to normy prawa (szczególnie wówczas, gdy obarczy się ją funkcją kreatywną wobec inicjatyw społecznych, kładąc jej rozsądzać co jest, a co nie jest społecznie uzasadnione). Dlaczego tworzyć towarzystwo polityki mieszkaniowej, jeśli zajmują się już nią spółdzielnie? Po co jakieś towarzystwo przemysłowe, jeśli przemysłem zajmują się fabryki i ministerstwa? *Nie twórzmy bytów ponad potrzebę.*

Ale owemu restrykcyjnemu stosunkowi do działalności społecznej nie odpowiada bynajmniej taki sam stosunek do działalności administracyjnej. Tu już reguła nietworzenia bytów ponad potrzebę nie znajduje zastosowania. Administracja ma naturalną tendencję wzrostową. I to także zgodne jest z urzędniczym widzeniem świata, dla którego przyrost administracji jest przyrostem porządku. I znów może ktoś powiedzieć, że działa tu przede wszystkim mechanizm wygody. Urzędnik będzie z reguły zainteresowany, aby w jego dziale zatrudniono więcej ludzi, bo sądzi, że wówczas sam będzie miał mniej pracy. Nie neguję, że taki sposób myślenia może występować, ale również bym go nie przeceniał.

Warto zresztą przy tej okazji zauważyć, że w tym względzie *mentalność urzędnicza* została u nas upowszechniona i spotkać się z nią można niemal we wszystkich środowiskach, a nie tylko wśród

urzędników. *Jeśli Polska ma sprostać wyzwaniom XXI wieku – pisze Kukliński – to obecne społeczeństwo urzędników musi się przekształcić w społeczeństwo przedsiębiorców. Tu nie chodzi o zawód, lecz o sposób myślenia...*³ Urzędnik może sądzić, że jeśli w jakiejś sferze życia nie działa urząd, któremu sfera ta jest podporządkowana, oznacza to, że jej potrzeby nie są zaspokajane. Ale przeciętny obywatel także skłonny jest podejrzewać, iż brak odnośnego urzędu o określonej randze jest dowodem, że „władza”, „państwo” sferę tę lekceważy. Zwróćmy także uwagę, jak często pojawiają się u nas postulaty domagające się powoływania nowych, wyższych urzędów, które koordynowałyby działalność istniejących. Jeśli w jakiejś dziedzinie działalność administracyjna skrzypi i zaciera się, można być pewnym, że taki postulat zostanie zgłoszony, a przypuszczenie, że może w tej dziedzinie administracja jest nadmiernie rozbudowana i stąd wynikają problemy, nie przyjdzie nikomu do głowy.

Można zatem powiedzieć, że zacieranie różnicy między administracją a społeczną sferą życia prowadzi do odwrócenia tej zasady, którą w naukach o organizacji i zarządzaniu ilustruje powiedzenie, że nie należy tworzyć bytów ponad potrzebę. Zamiast tendencji do limitowania wzrostu biurokracji i ułatwiania rozwoju różnorodnych form społecznych, mamy tendencję odwrotną. Wobec inicjatyw społecznych przyjmuje się postawę restrykcyjną, wobec administracji – liberalną.

4

Spółeczeństwo nie może istnieć bez przejrzystej struktury własności, lokalnej samorządności i swobody stowarzyszenia się. Bez uwłaszczenia, lokalnej samorządności i zrzeczeń możemy mieć do czynienia z masą, ludnością, ale nie ze społeczeństwem. Zaproponowana tu opozycja: społeczeństwo – ludność wymaga bliższego wyjaśnienia.

Pisałem już wcześniej, że społeczeństwo zawsze jest zbiorowością zróżnicowaną, składającą się z wielości grup społecznych. Nie wystarczy jednak, by owe grupy istniały; w pewnym sensie zawsze przecież istnieją. Nigdzie jeszcze i nigdy nie udało się sprowadzić żadnej ludzkiej zbiorowości do poziomu jednorodnej termitiery. Nawet w łagrach i obozach koncentracyjnych społeczność więźniów względnie szybko różnicowała się i to nie tylko według obiektywnych reguł narzuconego z

³A. Kukliński, *Polska regionalna i lokalna. Doświadczenie i przyszłość* [w:] *Współczesne problemy...* op. cit. s. 75.

góry podziału pracy. Istnienie między grupami różnic interesów i celów, niejednokrotnie ze sobą sprzecznych, zakłada konieczność porozumienia i współdziałania, jeśli świat społeczny nie ma się stać dżunglą zwalczających się hord. Ale porozumienie wymaga świadomości interesów i celów własnych oraz partnerów, a także możliwości ich negocjowania. Porozumienie i współdziałanie może mieć miejsce tylko między takimi grupami społecznymi, które świadome są tożsamości własnej, oraz nie są pozbawione podmiotowości, choćby w tym najprostszych sensie, jakim jest możliwość wpływania na własną sytuację. Społeczeństwo jest więc nie tylko zbiorowością zróżnicowaną ale wielopodmiotową.

Czy w warunkach dominacji własności państwowej (własności bez właściciela), w sytuacji gdy społeczności lokalne podporządkowane są administracyjnym organom jednolitej władzy państwowej, a równocześnie możliwości zrzeszania się są ograniczone, społeczeństwo nie zostaje sprowadzone do zbiorowości statystycznej, którą jest ludność pracująca miast i wsi? Twierdzenie, że o niemożności uświadomienia sobie interesów grupowych oraz ich artykulacji decyduje dominacja *własności niczyjej* ma swoich zwolenników⁴. Sądzę, że do czynnika próżni własnościowej dodać trzeba także pozostałe dwa, które wymieniałem.

Wejście w życie 1 czerwca 1989 roku nowej ustawy o stowarzyszeniach można uznać za krok radykalnie otwierający perspektywę procesu demokratyzacji systemu politycznego. Jest niewątpliwie mniej spektakularny niż kompromisowa (limitowana) demokratyzacja wyborów do parlamentu, ale również istotny z punktu widzenia restauracji społeczeństwa. Warto jedna zwrócić uwagę, że w samym tylko 1988 roku, jeszcze przed wejściem w życie ustawy, zarejestrowanych zostało kilkaset nowych zrzeszeń (około sześciuset). Akt prawny demokratyzujący tę sferę życia społecznego poprzedzony więc został liberalizacją administracyjnej praktyki. Z tego, co pisałem wcześniej wynika zresztą, że nie było to takie proste. Problem swobody stowarzyszania staje się problemem publicznym, a więc i politycznym, niemal zaraz po odwołaniu stanu wojennego. Oczywiście musiał on się stać problemem choćby z tej racji, że w stanie wojennym zawieszono działalność wszelkich zrzeszeń z wyjątkiem partii politycznych, później zaś wiele z nich mniej lub bardziej brutalnie zlikwidowano, w ich miejsce powołując do życia organizacje nowe, sabotowane przez dużą część środowiska. Ale bardzo wcześnie, bo już w 1983 roku, publicznym staje

⁴patrz J. Staniszkis, *Ontologia socjalizmu*, Warszawa 1989 r.

się problem odmowy rejestracji niektórych zrzeszeń, jak właśnie wspomnianego przeze mnie wcześniej Towarzystwa Reformy Mieszkaniowej. Swoista paradoksalność sytuacji polegała na tym, że w latach osiemdziesiątych mówiło się i pisało o tych inicjatywach, które spotkały się z odmową, wówczas gdy przedtem problemów takich nie było w ogóle.

W latach siedemdziesiątych i wcześniej inicjatywa powołania do oficjalnego życia organizacji społecznej mogła wynikać z autentycznej inicjatywy oddolnej – choć nie było to zjawisko częste – ale nie mogła ona spotkać się ze zwykłą, administracyjną odmową. Ponieważ każda taka inicjatywa z natury traktowana była jako polityczna, aby jako inicjatywa, a nawet pomysł, publicznie mogła być dyskutowana, musiała uzyskać uprzednie polityczne imprimatur. Mówiąc lapidarnie, o samym pomysle powołania do życia nowej organizacji najpierw rozmawiało się *na szczeblu politycznym* zanim sprawa trafić mogła do urzędnika, jako już techniczna i przesądzona pozytywnie. Bo weryfikowane negatywnie do urzędnika oczywiście nie trafiały.

Na początku określiłem stan prawny pod rządami wcześniejszej ustawy, jako przyznające obywatelom prawo do starania się o to, by z posiadanego prawa móc skorzystać. Ale owego starania się nikt już w latach osiemdziesiątych nie traktuje jako politycznej niesubordynacji. Starających się może najwyżej spotkać odmowa. Oficjalna i jawna. Co więcej, niemało inicjatyw negatywnie ocenionych przez urzędników, w efekcie starań i zabiegów o polityczną akceptację znajduje w końcu swoje pozytywne rozstrzygnięcie. Można wymienić inicjatywy takie, jak powołanie grupy „Consensus”, uzyskanie prawa publikacji przez wydawane uprzednio w „drugim obiegu” miesięcznik *Res Publica*, by wskazać na przykłady, których już żadną miarą nie można określić jako popierane przez władze czy „koncesjonowane”.

Fakt, że wymienione inicjatywy powołane zostały do życia dowodzi, że już pod koniec lat osiemdziesiątych system polityczny został w wysokim stopniu zliberalizowany, ale dowodzi także, iż w samym układzie władzy, przede wszystkim w kierownictwie PZPR, zaczyna zwyciężać tendencja zakładająca, że nie wystarczy już sama liberalizacja systemu. Liberalizacji nie powinno się utożsamiać z demokratyzacją, ale zmiany które system liberalizują są fundamentem dalszych jego przekształceń. Uruchamiają one proces społecznego nacisku na demokratyzację możliwy do zahamowania jedynie pod warunkiem cofnięcia zmian, które system liberalizują. To ostatnie zawsze jest możliwe. Dopiero bowiem rzeczywiste zmiany demokratyzacyjne gwarantują utrwalenie praw, które liberalizacja przynosi jednostce.

Rozdział 6

Pracownicy i obywatele

Gdzie, w jakich sytuacjach człowiek jest wytwórcą, pracownikiem, w jakich sytuacjach obywatelem? Pytanie może się wydać szokujące. Ile-kroć stawiam je studentom, reakcją zawsze jest zdziwienie, później zaś padają dwie, w gruncie rzeczy odmienne odpowiedzi. Pierwsza, którą określam jako bezrefleksyjną, brzmi: *pracownikami jesteśmy w miejscu pracy, obywatelami w państwie. O co tu pytać, przecież to oczywiste.* Druga odpowiedź jest inna. *I tu i tam, zarówno w przedsiębiorstwie, jak i w państwie występujemy w obu tych rolach, nie tylko dlatego, że najczęściej pracujemy w przedsiębiorstwach państwowych.* Przy czym, co charakterystyczne, druga odpowiedź z reguły „unieważnia” pierwszą. Gdy zostanie wyartykułowana wszyscy są już zdania, że odpowiedź iż pracownikami jesteśmy w przedsiębiorstwie, obywatelami zaś w państwie jest kazuistyczna, tylko pozornie poprawna, bo przecież są to kategorie nierozłączne (chyba, że ktoś nie pracuje).

W potocznej świadomości kategorie obywatela i pracownika stały się u nas niejasne, granica między nimi uległa zatarciu. Chyba niemal w tym samym stopniu, jak wcześniej omawiane różnice między tym, co państwowe, a tym, co społeczne. Odnosi się to nie tylko do społecznej świadomości. W społecznej i politycznej praktyce role te nie tylko pozbawione zostały swoistości – one uległy, częściowemu przynajmniej, odwróceniu. W naszych przedsiębiorstwach bywamy często bardziej obywatelami niż pracownikami, w państwie zaś w większym stopniu pracownikami niż obywatelami.

W debacie sejmowej, poświęconej między innymi dyskusji nad projektem referendum z 1987 roku, jeden z posłów był zadania, że lepiej i bezpieczniej byłoby referendum to przeprowadzić w... zakładach pracy. Można się nawet nie dziwić tej propozycji. Zmieniała ona sens aktu politycznego, ale przecież praktyka konsultowania tego u załóg

robotniczych w wielkich przedsiębiorstwach miała swoją tradycję. Nie wchodząc w to, jak owe konsultacje wyglądały, jest faktem, że miejscem powszechnej, obywatelskiej debaty nad projektowanymi decyzjami państwowymi bywały właśnie przedsiębiorstwa, a konsultowanymi były nie grupy obywateli, ale *załogi robotnicze*. Z drugiej zaś strony wówczas, gdy mowa o relacji obywatela – państwo, niezmiennie niemal stawiana jest kwestia dobrej wydajnej pracy, od której zależy los państwa i sytuacja żyjących w nim obywateli. Może ktoś powiedzieć, że są to w gruncie rzeczy sprawy mało istotne.

Nie jest przecież tak ważne, czy robotnik w kwestiach państwowych wypowiadać się będzie przywdziewając garnitur poza swoim miejscem pracy, czy właśnie w fabrycznej hali, w kombinezonie i telewizyjnie twarzym kasku ochronnym. Z drugiej zaś strony twierdzenie, że los państwa i pomyślność jego obywateli zależą od dobrej, wydajnej pracy jest oczywistością, której zarzucić można jedynie wysoki, całkowicie bezdyskusyjny poziom ogólności. Zgoda, ale do tego się przecież owo odwrócenie ról nie sprowadza. Aby lepiej zrozumieć konsekwencje tego odwrócenia trzeba choćby skrótowo uświadomić sobie na czym polegają odmienności obu tych ról – pracownika i obywatela.

1

Państwo jest strukturą opartą o więzi poziome. Jako obywatel danego państwa jestem równy każdemu innemu jego obywatelowi. Oczywiście pod warunkiem, że jest to państwo demokratyczne (ale tylko takie mam tu na uwadze). Ta równość w państwie nie jest wcale przekreślana przez fakt istnienia władzy administracyjnej i politycznej. Regułą działania pierwszej jest wyspecjalizowana obsługa, drugiej – jej wybieralność właśnie przez ogół obywateli. Nie można więc mówić o podporządkowaniu obywateli zasadzie regulującej moją pozycję wobec władzy administracyjnej i politycznej. Jako obywatel nie jestem podwładnym premiera, chyba że piastuję stanowisko ministra; żaden także minister nie może mnie, jako obywatelowi, niczego nakazać. Jako obywatele mamy takie same prawa i takie same obowiązki. Jesteśmy sobie równi. Przedsiębiorstwo, w którym jestem pracownikiem, niezależnie od najdalej nawet idących postulatów samorządności, zawsze jest strukturą hierarchiczną, opartą o więzi pionowe. W miejscu pracy jestem podwładnym dyrektora, brygadzysty, mistrza. Każdy z nas ma inne obowiązki i prawa. Jako pracownicy nie jesteśmy sobie

równi. Nawet w najbardziej zdemokratyzowanym systemie zarządzania istnieje hierarchia. Oczywiście w obu przypadkach zarysowuję pewien uproszczony, idealny, teoretyczny model. Mimo, że generalną zasadą regulującą stosunki na płaszczyźnie obywatelskiej jest równość wszystkich obywateli, występują i tutaj w pewnych sytuacjach pionowe więzi zależności nie mówiąc już o tym, że jako obywatel mogę się czuć bezwolnym instrumentem manipulowanym przez polityków i petentem poddanym władczej samowoli urzędników. W przedsiębiorstwie mamy także poziome więzi kooperacyjne, można stosunki pracownicze demokratyzować, spłaszczać hierarchiczną piramidę zarządzania, wprowadzać system samorządowy. Ale pod groźbą absolutnego chaosu nie można w przedsiębiorstwie całkowicie zlikwidować zasady hierarchicznego podporządkowania. Na tym jednak nie kończą się granice między tymi dwiema sferami stosunków – obywatelską i pracowniczą. Mówi się często i pisze o prawach oraz obowiązkach obywatelskich. Temat: *jedność praw i obowiązków obywatela* obrósł już w dość obfitą literaturę publicystyczną, naukową, częściej pseudonaukową. Nikt zresztą nigdy nie dowiódł, na czym realnie owa jedność miałaby polegać. Często też można przeczytać, że praca jest prawem i obowiązkiem obywatela, że obowiązkiem takim jest wzięcie udziału w głosowaniu itd. W sformułowaniach tych jest więcej dobrych intencji niż znajomości rzeczy. Pójście do urny wyborczej jest moim prawem a nie obowiązkiem. Tylko w niektórych państwach (np. w Turcji) jest to obowiązek obwarowany sankcją prawa. Praca jest moim obowiązkiem dopiero wtedy, gdy się zatrudni i jest to obowiązek związany z rolą pracownika a nie obywatela. W zdecydowanej większości współczesnych państw demokratycznych występują w zasadzie jedynie dwie sfery typowych, klasycznie obywatelskich obowiązków – obrony państwa (co wyraża się np. w służbie wojskowej) oraz utrzymywania państwa (co oznacza na ogół konieczność płacenia podatków). Zwróciłem tu uwagę na obowiązki *czynne*, wymagające od obywatela aktywności, a nie powstrzymywania się od działań, bo raczej dziwnie brzmiałoby stwierdzenie, że *obywatel ma obowiązek* nieudzielanie szpiegowskich informacji służbom wywiadowczym obcych państw. Jako obywatel mam w państwie nieporównanie więcej praw niż obowiązków. Z tym jednak, że większość praw odnosi się do sfery mojej ludzkiej wolności, której państwo zobowiązuje się nie ograniczać. Niektóre, abym mógł z nich realnie korzystać, wymagają *organizatorskiej roli państwa*, inne po prostu nieingerencji. Mówi się zresztą niekiedy, że państwo jest dla obywatela, a nie obywatel dla państwa i w tym stwierdzeniu jest duża doza ra-

cji. Demokratyczne państwo jako organizacja społeczeństwa obywatelskiego nie może realizować celów i zaspokajać potrzeb zewnętrznych wobec tego społeczeństwa, chyba że jest to państwo niesuwerenne. W przedsiębiorstwie, jako pracownik też mam swoje prawa. Ale nie ma co ukrywać, że właśnie na pracowniczej płaszczyźnie, sytuację moją regulują przede wszystkim obowiązki. Tych jest po prostu większość, przy czym owe prawa, możliwość korzystania z nich, uzależnione są właśnie od wykonywania obowiązków. O przedsiębiorstwie nie można powiedzieć, że istnieje dla pracownika jak państwo dla obywatela. W normalnych warunkach gospodarczych może ono realizować swoje cele tylko wtedy, gdy potrafi zaspokajać potrzeby innych, tych, którzy są nabywcami jego wytwórców. Państwo, które wszystkie swoje działania podporządkowuje potrzebom obywateli jest państwem doskonałym. Przedsiębiorstwo, które wszystkie swoje działania podporządkowuje potrzebom swoich pracowników, jest nieporozumieniem. Skonfrontujmy z tymi oczywistościami typową postawę przeciętnego Polaka. Wówczas, gdy mówi o państwie, podkreśla wagę i znaczenie dobrej i wydajnej pracy. Jednak skłonny jest zapomnieć o tym, gdy przekracza bramę swego zakładu. Wobec każdego urzędnika zatracą poczucie i świadomość swoich praw, przyjmując korną postawę petenta. Nie dziwi go, że ministrowie czy nawet dyrektorzy poszczególnych instytucji swoimi zarządzeniami regulują nie tylko pracę wewnątrz podległych im służb i placówek, ale wkraczają w jego obywatelskie prawa. Nie znaczy to jednak, że jako obywatel jest on zdyscyplinowany czy umiarkowany w żądaniach i postulatach. Zdecydowana jednak większość jego żądań adresowanych do państwa odnosi się do sfery pracowniczej. Jako obywatel żąda więc od państwa przywilejów branżowych, wyższych pensji, wolnych sobót... Jako pracownik stara się nie tylko o wczasy, mieszkanie, pożyczkę i odznaczenia państwowe. W niektórych przedsiębiorstwach załogi domagają się, aby zakład pracy umożliwiał dzieciom dobrych pracowników dostanie się na studia. Teoretycznie więc zachowuje się on nieracjonalnie jako obywatel i równie nieracjonalnie jako pracownik. Jest to jednak nieracjonalność teoretyczna, a nie praktyczna.

Witold Morawski w artykule *Załogi przemysłowe: problematyzacja kryzysu i sposoby przezwyciężania go*¹ stwierdza, że przedsiębiorstwo jest u nas substytutem systemu politycznego. Przyczyną tego stanu rzeczy tkwi niewątpliwie w przyjętych założeniach doktrynalnych. Klasowy charakter polityki i państwa miał się wyrażać także w preferowaniu dużych zakładów pracy. Sztandarowym dla socjalizmu mógł być tylko ten zakład, w którym pracowała duża liczba robotników. Pod względem wielkości zakładów przemysłowych bijemy zresztą wszystkie rekordy. Przeciętne zatrudnienie w zakładzie przemysłowym w Warszawie wynosi 515 osób. Jest to dziewięć razy więcej niż w Pradze, czterynastokrotnie więcej niż w Berlinie, nie mówiąc już o stolicach państw zachodnich (w Madrycie – 30, w Wiedniu – 18, w Paryżu – 9, i w Rzymie – 6 osób)². W tych wielkich zakładach pracy skupiało się nie tylko życie produkcyjno-zawodowe. Zakład pracy odpowiadał za sytuację bytowo-socjalną, życie kulturalne; tu także ogniskowało się życie polityczne. Na aktywność polityczną poza zakładami pracy – np. w terenowych organizacjach partyjnych – skazywani byli tylko emeryci chociaż i oni często działali w swych dawnych, macierzystych organizacjach zakładowych. Zakład pracy stał się więc centralnym ogniwem systemu politycznego. Równocześnie system polityczny podporządkowuje sobie system ekonomiczny. W warunkach scentralizowanego modelu planowania i zarządzania zakład pracy nie jest przedsiębiorstwem – jest niesamodzielną, podporządkowaną jednostką państwa jako superprzedsiębiorstwa. Role obywatela i pracownika zatracają w tych warunkach swoją tożsamość – większość obywateli jest równocześnie pracownikami państwowymi, przy czym znika w tych warunkach dawna kategoria *pracownika państwowego*, która obejmowała przed wojną np. osoby zatrudnione na poczcie czy kolei.

Ten stan rzeczy rodzi, jako zjawisko wtórne, dalsze upolitycznienie przedsiębiorstw, już nie tyle zakładane z powodów ideologicznych, co wymuszane z przyczyn pragmatycznych. W latach siedemdziesiątych np. przeprowadzano konsultacje w największych zakładach pracy nie dlatego, że były one klasowo-sztandarowe, ale ponieważ, jak dowiodło

¹[w:] *Gospodarka i społeczeństwo*, red. W. Morawski, Warszawa 1986 (na prawach rękopisu).

²podaję za: S. Kurowski, *Warszawa na tle dziesięciu stolic Europy*, Lublin 1987.

doświadczenie, dysponują one realną i groźną siłą polityczną, władną nie tylko wymuszać polityczne decyzje, ale i obalać rządzące ekipy.

Inną przyczyną jest także brak czasu. Sprawia on, że ludzie nie-skorzy są do przejawiania w swoim czasie prywatnym aktywności obywatelskiej. Po wyjściu z pracy, jeśli nawet się nie pracuje dodatkowo, trzeba i tak wystać swoje w kolejkach. Trudno wejść w rolę obywatela po wypełnianiu roli pracownika, jeśli dojazd do domu, zakupy, załatwienie sprawy w urzędzie i zwykłe czynności domowe zabierają tyle czasu, że nie wystarcza go na wypełnianie roli członka rodziny.

Następną przyczyną jest ubóstwo infrastruktury. W zakładzie pracy zawsze jest – ba! musi być – jakaś sala konferencyjna czy inne miejsce przystosowane do zebrań, bez których nie może się przecież toczyć u nas życie zawodowe. Pracownicy zawsze ma gdzie się spotkać z innymi pracownikami, obywatel tych możliwości jest często pozbawiony. A ponadto, nawet jeśli w osiedlu jest lokal klubowy, to i tak życie publiczne poza miejscem pracy jest wystarczająco, wyjałowione. Jeśli więc nawet jest gdzie się spotykać, to nie ma po co.

3

Sytuacja, w której granica między rolami pracownika i obywatela jest zatarta czy wręcz, jak bywa u nas, role te są odwrócone, rodzi wielorakie negatywne konsekwencje. O niektórych już wspomniałem. Skłania ona do przyjmowania wobec państwa postaw roszczeniowych, umacnie tendencje etatystyczne z wszystkimi tego konsekwencjami, wyjaławia życie polityczne czyniąc je nieautentycznym (swoboda dyskusji w strukturach hierarchicznych, pod okiem szefa, bywa najczęściej iluzoryczna). Nie są to jedyne negatywne konsekwencje sytuacji, w której przedsiębiorstwo jest substytutem systemu politycznego.

Jednej z nich warto poświęcić więcej uwagi. Otóż sytuacja ta działa destabilizująco na system polityczny, przy czym działanie to jest wielokierunkowe. Zwróćmy uwagę, że z wyjątkiem 1968 roku wszystkie pozostałe kryzysy polityczne w Polsce wybuchały w fabrykach, a w każdym razie z fabryk wychodziły, przy czym zaczynało się od żądań ekonomicznych, a kończyło (z wyjątkiem 1976 roku) na politycznych.

W każdym systemie politycznym strajk na tle żądań ekonomicznych, a więc *bunt pracowniczy*, może przerodzić się w *bunt obywatelski*, w którym do żądań ekonomicznych dochodzą polityczne. Może, ale nie musi, i najczęściej wcale do tego nie dochodzi. Przekształcenie

się niezadowolenia pracowniczego w niezadowolenie obywatelskie nie jest automatyczne ani samoczynne tam, gdzie wyraźnie zakreślone są granice między rolą pracownika i rolą obywatela. U nas polityzacja konfliktu pracowniczego występowała już w zarodku i, z wyjątkiem 1976 roku, *bunt pracowniczy* przeradzał się zawsze w *bunt obywatelski*. Przy czym tendencje do polityzacji i depolityzacji konfliktu zaangażowane weń strony: władza i zbuntowani pracownicy – obywatele, przejawiały symetrycznie.

W pierwszej fazie, zanim jeszcze bunt pracowniczy jawnie przerodził się w bunt obywatelski, władza konflikt upolityczniała przypisując zbuntowanym negatywne z obywatelskiego punktu widzenia atrybuty działalności antysocjalistycznej, antypatriotycznej czy wręcz antypolskiej, inspirowanej przez obce, wrogie siły. W drugiej fazie, gdy zbuntowani zaczęli stawiać żądania polityczne, a więc już w fazie buntu obywatelskiego, władza wycofywała się na „drugą linię obrony” podejmując próbę odpolitycznienia konfliktu i godząc się na ustępstwa ekonomiczne pod warunkiem wycofania się buntowników z żądań politycznych.

Z punktu widzenia tej charakterystycznej prawidłowości interesującym przypadkiem były wydarzenia roku 1976. Bunt pracowniczy nie przerodził się wówczas w bunt obywatelski, ponieważ jeszcze w pierwszej fazie został zażegnany pośpiesznym wycofaniem się z wprowadzonych już podwyżek cen. Władza jednak do końca upolityczniała konflikt, a spektaklem dającym wyraz tej tendencji była słynna manifestacja na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie, na której zorganizowano zbiorowe *przeprosiny* Edwarda Gierka przez klasę robotniczą za jej *obywatelskie nieposłuszeństwo*.

Jak z tych doświadczeń widać, zatarcie różnicy między płaszczyzną pracowniczą a obywatelską destabilizuje system polityczny podwójnie. Z jednej strony destabilizująco działa już sam fakt łatwego, niemal automatycznego przechodzenia buntu pracowniczego w bunt obywatelski. Warto przy tym zauważyć, że tę, nie tylko skłonność, ale i możliwość polityzowania niezadowolenia ekonomicznego mają załogi wielkich zakładów pracy. Jest to oczywiste i nie wymaga wyjaśnienia. Z drugiej strony władza skłonna była każdy zbiorowy przejaw niezadowolenia pracowniczego traktować jako akt *obywatelskiego nieposłuszeństwa*, jak zamach na polityczne podstawy systemu. Praktycznie uniemożliwiało to osiągnięcie porozumienia w fazie, w której było ono jeszcze możliwe bez przegranej którejś ze stron.

W latach siedemdziesiątych pojawiło się pojęcie *wielkoprzemysłowej klasy robotniczej*, które w tej dekadzie obrosło w obfitą literaturę politologiczną i socjologiczną³. Jako pojęcie opisowe oznacza ono po prostu robotników zatrudnionych w wielkich zakładach przemysłowych. Ale ma także sens ideologiczny i polityczny. Właśnie w latach siedemdziesiątych o wielkoprzemysłowej klasie robotniczej pisze się w tonacji apologetycznej, jako o *przodującym oddziale*, awangardzie *rozwinętego przedsiębiorstwa socjalistycznego*. Na temat rozwinętego społeczeństwa socjalistycznego powstaje także obfita literatura, bowiem oba te pojęcia – wielkoprzemysłowej klasy i rozwinętego społeczeństwa – są kategoriami teoretycznymi, przy pomocy których analizuje się gospodarczy, czy szerzej – cywilizacyjny sukces Polski okresu gierkowskiego. Literatura, w której oba te terminy są pojęciami kluczowymi pojawia się co prawda w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, a więc wtedy gdy rysy na polskim cudzie gospodarczym są już wyraźne i co wnikliwsi badacze procesów gospodarczych zapowiadają możliwość klęski, ale to jest zrozumiałe. Decyduje o tym z jednej strony naturalne opóźnienie w czasie literatury naukowej i propagandowej, choćby z racji długości cyklu wydawniczego, ale z drugiej strony swoista w tym systemie odwrócona zależność obrazu rzeczywistego od jego propagandowego – magicznego – odbicia. Im gorsza jest rzeczywistość, tym większe ograniczenia w ujawnianiu jej skaz i tym większy nacisk na mistyfikowanie rzeczywistości. Oba pojęcia – *wielkoprzemysłowej klasy robotniczej* jak i *rozwinętego społeczeństwa socjalistycznego* – są więc w okresie ich największej popularności przede wszystkim narzędziami mistyfikacji.

Wielkoprzemysłowa klasa robotnicza w rzeczywistości nie jest ani awangardowa ani nowoczesna. Nie jest bowiem ani awangardowy ani nowoczesny wielki przemysł, który ją stworzył i zatrudnia. Przemysł produkcji taśmowej, wielkoseryjnej był awangardą technologicznego postępu na przełomie XIX i XX wieku ale nie teraz. Na dodatek socjalistyczna, wymuszona industrializacja w swej drugiej fazie, po przejściu etapu wstępnego uprzemysłowienia, wszędzie staje się generatorem zacofania i kryzysu. Ma więc rację Antoni Kukliński gdy twierdzi, że *jeżeli Polska ma utrzymać się na mapie Europy, to na obszar naszego kraju musi wkroczyć III rewolucja przemysłowa. Pro-*

³patrz np.: M. Krajewski, *Główne płaszczyzny budowy rozwinętego społeczeństwa socjalistycznego*, Warszawa 1976.

ces wypierania reliktyw pierwszej XIX wiecznej rewolucji przemysłowej i drugiej – stalinowskiej rewolucji przemysłowej przez trzecią, mikroelektroniczną rewolucję przemysłową będzie głównym procesem ekonomicznym, przekształcającym Polskę regionalną i lokalną⁴. Lata siedemdziesiąte pogłębiły to strukturalne zacofanie zwiększając przewagę przemysłu ciężkiego i wydobywczego nad przemysłami konsumpcyjnymi chociaż równocześnie właśnie wtedy, i na bardzo krótko, pojawia się nieznane dotąd na naszym rynku zjawisko nadprodukcji niektórych przemysłowych towarów konsumpcyjnych – radioodbiorników monofonicznych, telewizorów czarno-białych, lodówek. Fakt nadprodukcji akurat w sferze artykułów przestarzałych, dodatkowo ujawnia strukturalną i technologiczną anachroniczność tego wielkoprzemysłowego segmentu gospodarki narodowej. Ale, ponieważ w tej części pracy interesują mnie polityczne a nie ekonomiczne implikacje zjawiska, ważniejsze jest zwrócenia uwagi na strukturę społeczną, którą rodzi ten model uprzemysłowienia.

Są to licznie duże załogi robotnicze. Ich *masa społeczna* – jeśli można użyć takiej przenośni – przytłacza miasto a nawet region, w którym przedsiębiorstwa są zlokalizowane. Załogom robotniczym daje to znaczną siłę polityczną. W normalnym czasie jest to siła potencjalna, bierna. Przedsiębiorstwo jest substytutem systemu politycznego co nie znaczy, że jest podmiotem polityki. System panowania, który odmawia społeczeństwu prawa do kontroli nad sferą polityki – damaganie się tego prawa pojawiło się zresztą dopiero w 1980 roku i było wtedy traktowane przez władzę, jako niedopuszczalna uzurpacja – wynosi do roli podmiotu politycznego aparat władzy⁵. Ludzie z politycznego i gospodarczego kierownictwa owych zakładów są funkcjonariuszami monostруктуры władzy. Ich ranga jako funkcjonariuszy jest tym wyższa, im zakład jest większy. Określenie „większy” chyba najbardziej precyzyjnie oddaje istotę rzeczy, bowiem ważne są *wskaźniki masy* – wielkość zatrudnienia i produkcji. To one właśnie a nie czynniki ekonomiczne (takie jak rentowność czy zysk) dają siłę polityczną. Wskaźniki ekonomiczne mają znaczenie drugorzędne. W nakazowo-rozdzielczym systemie gospodarczym zlikwidowana jest podstawa ich tworzenia. Ponieważ pieniądz pozbawiony jest funkcji kapitałowej, wskaźniki ekonomiczne są fikcją. Ale są one drugorzędne także – czy nawet przede wszystkim

⁴A. Kukliński, *Polska regionalna...* op. cit. s. 75.

⁵Zwracała na to uwagę J. Staniszkis, *Ontologia socjalizmu*, op. cit.

dlatego – że w tym systemie politycznym pieniądze nie dają władzy politycznej lecz władza daje pieniądze.

Dopiero w momentach kryzysu, gdy dochodzi do strajków, ujawnia się siła polityczna załóg. Dyrektorzy i sekretarze, jak pokazało doświadczenie wszystkich kryzysów powojennych, znajdują się w tych momentach zawsze po drugiej stronie barykady; przy czym okresy napięć ujawniają z reguły ich niemoc, z której najczęściej zresztą zdają sobie sprawę zamykając się w gabinetach.

W okresach stabilizacji polityka ma w tym systemie charakter gabinetowy. Politykę *uprząwia* aparat władzy, scena polityczna ograniczona jest do korytarzy i gabinetów, po których poruszają się funkcjonariusze monostruktury. Taka polityka ma rzeczywiście wiele cech spiskowych i trudno się nawet dziwić, że *spiskowa teoria historii* ma powodzenie, nie tylko zresztą u czytającej publiczności. W niektórych analizach dzieje polityczne okresu powojennego jawią się jako wypadkowa działań grup, frakcji, koterii: puławian i natolińczyków, Żydów i chamów, moczarowców i zambrowszczaków, liberałów i przedstawicieli betonu, reformatorów i konserwatystów.

W momentach kryzysów polityka przestaje mieć charakter gabinetowy. Potencjalna siła polityczna wielkich załóg robotniczych staje się siłą ulicy, realną, rewolucyjną, która obala panujące ekipy przywódcze wewnątrz monostruktury władzy, wymusz zmiany liberalizujące system. Jednak obie siły – polityczna siła aparatu władzy i polityczna siła ulicy – są destrukcyjne w tym znaczeniu, że pierwsza nastawiona jest zawsze na obronę istniejącego porządku i jej niemal naturalnym odruchem jest opór wobec zmian, druga zaś, siła polityczna ulicy, niezależnie od tego jak wielkie mogą być jej zasługi w obalaniu starego porządku, niezdolna jest do zbudowania nowego ładu.

Systemu politycznego realnego socjalizmu od połowy lat pięćdziesiątych nawet w Związku Radzieckim nie można już określać jako totalitarnego. Ma pod tym względem rację Hannah Arendt, gdy używa przykładu istnienia literatury podziemnej, stwierdzając, że *różnica między literaturą podziemną a zupełnym brakiem literatury jest taka sama, jak między jedynką a zerem*⁶. W systemie totalitarnym nie ma miejsca nie tylko na literaturę podziemną (która w tym przypadku oznacza po prostu nieoficjalną i nie uznawaną myśl krytyczną) ale nie ma także miejsca na spontaniczne, masowe wystąpienia, ponieważ nie

⁶H. Arendt, *Korzenie totalitaryzmu*, Warszawa 1989, s. 244.

może się tu ukształtować potencjalna siła polityczna niezależna od siły, którą dysponuje władza.

Cykliczne występowanie od połowy lat pięćdziesiątych kolejnych faz – stabilizacji, kryzysu, przełomu, stabilizacji stanowi cechę systemu, który nie jest totalitarny, ale nie jest też oczywiście demokratyczny. Ten *polski cykl*, w którym kolejna stabilizacja prowadzi do kryzysu i kończy się przełomem otwierającym nowy okres względnej stabilizacji, zostaje przerwany w 1980 roku. Nawet stan wojenny nie zapoczątkowuje nowego okresu stabilizacji pozostawiając społeczeństwo w stanie wrzenia. O ile dotąd zawsze po strajkach i masowych, publicznych wystąpieniach robotnicy wracali do fabryk stając się na powrót statystami na politycznej scenie, tym razem stało się inaczej. Aby zdać sobie sprawę z odmienności sytuacji, którą zapoczątkowuje rok 1980 trzeba protest sierpniowy porównać z wcześniejszym, z lat 1970–1971.

5

W 1971 roku, w trakcie słynnej rozmowy stoczniovców z Gierkiem i Jaroszewiczem, jeden z robotników powiedział *wy rządźcie jak będziecie umieli najlepiej, a my będziemy pracować, jak będziemy umieli najlepiej*. Te słowa poprzedzały symboliczne dla zakończenia owego konfliktu: *Pomożecie? Pomożemy!* Obie strony potwierdziły ważność swych statusów – Gierka jako władzy, robotników jako robotników (a nie chuliganów, elementu wywrotowego itp.) – komentuje tę scenę Krzysztof Nowak⁷. Strajkujący definiują siebie w kategoriach języka władzy – *określając się nie tylko symbolicznie, ale także przyjmując propozycję pewnego miejsca w ładzie społecznym, którym im ten język oferuje*⁸.

W przeciwieństwie do wydania z 1970 roku, dziesięć lat później kategorią odniesienia strajkujących nie jest już abstrakcyjny, *ideologiczny* robotnik, ale człowiek, co Nowak słusznie moim zdaniem wiąże z wpływem homilii papieskich z czerwca 1979 roku. Oczywiście w Sierpniu frazeologia robotnicza jest także eksponowana *jesteśmy robotnikami a nie robotami* ale jest już ona odnoszona do innej perspektywy. Robotniczy etos Sierpnia nie jest klasowy, wykracza poza kategorię miejsca zajmowanego w społecznym podziale pracy nawiązując do humanistycz-

⁷K. Nowak, *Działania społeczne i problem prawomocności ładu społecznego*, [w:] *Legitymacje. Klasyczne teorie i polskie doświadczenia*, Warszawa 1988.

⁸tamże, s. 130.

nej perspektywy godności człowieka, która realizować się może tylko w warunkach wolności. *Nie ma wolności bez „Solidarności”*, obwieszczać będzie wręcz natrętnie agitacja wyborcza ruchu dziewięć lat później. Te akcenty – godnościowe i wolnościowe – wnoszą do „Solidarności” inteligencja, co nie znaczy oczywiście, by robotnicy nie przyjmowali ich za własne.

I to jest właśnie pierwsza w hierarchii ważności różnica między buntom z roku 1970 a 1980. W Grudniu 1970 mamy do czynienia w zasadzie z buntom przede wszystkim robotniczym. W Sierpniu 1980 mamy do czynienia już z konfliktem, w którym uczestniczą wszystkie najważniejsze grupy społeczne – robotnicy, chłopci, inteligencja, intelektualiści. Z podobnym sojuszem wszystkich sił społecznych spotkaliśmy się wcześniej tylko w 1956 roku, przy czym zarówno w Październiku, jak w Sierpniu najistotniejszy był sojusz załóg robotniczych największych zakładów przemysłowych z intelektualistami.

Na ogół miejscami *porodu* siły politycznej ulicy są uczelnie i fabryki. Nie tylko dlatego, że w obu przypadkach mamy do czynienia z koncentracją większej liczby ludzi w jednym miejscu, ale dlatego także, że w pierwszym – powstaje silna wspólnota myśli, w drugim – wspólnota interesów. Jeśli wcześniej stwierdziłem, że siła ta jest zawsze destrukcyjna, myślałem przede wszystkim o robotniczych strajkach i studenckich zamieszkach. Nigdy nie mają one wpływu transformacyjnego na system polityczny i typ ładu społecznego, choć oczywiście w ich wyniku mogą zostać wymuszone zmiany, nawet bardzo istotne dla zainteresowanych.

Wybuch społeczny 1970 roku przynosi pewne zmiany liberalizujące system, ale w gruncie rzeczy nic ponadto. Istota systemu politycznego pozostaje nietknięta. Nie można tego powiedzieć ani o wydarzeniach Października 1956, ani o dążeniach społecznych Sierpnia 1980. W pierwszym przypadku mamy do czynienia z istotną jakościowo transformacją ładu społecznego i systemu politycznego. Październik zamyka okres stalinowskiego państwa totalitarnego, którego polityka świadomie, konsekwentnie i brutalnie zmierza w kierunku zbudowania totalitarnego ładu społecznego. Sierpień wyraża dążenia do budowy demokratycznego państwa prawnego i społeczeństwa obywatelskiego. W Październiku i Sierpniu mamy do czynienia z połączeniem siły politycznej robotniczych załóg wielkich przedsiębiorstw z myślą polityczną środowisk intelektualnych. Właśnie to połączenie sprawia, że bunty – październikowy i sierpniowy – mają charakter transformacyjny a nie rewindykacyjny.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na jedną istotną różnicę między ro-

kiem 1970 a 1980. O ile w 1970 roku strajkujących satysfakcjonuje zmiana funkcjonariuszy władzy na najwyższych szczeblach, w 1980 roku strajkujących zdaje się to zupełnie nie interesować. Interesuje ich nie zmiana funkcjonariuszy władzy, ale mechanizmów ich wyłaniania, co staje się główną osnową konfliktu „Solidarności” z władzą. W tej sytuacji „Solidarność” staje się siłą politycznie *bezużyteczną* dla tej części układu władzy, która ewentualnie mogłaby zabiegać o jej poparcie. „Solidarność” w 1980 i 1981 roku nie zamierza z nikim wchodzić w sojusze i nikogo popierać. Nie poparła nawet partyjnych *struktur poziomych*, chociaż popularne wtedy *poziomki* były nastawione zdecydowanie prosolidarnościowo skupiając w większości tych członków partii, którzy byli równocześnie członkami NSZZ „Solidarność”. Zresztą w 1981 roku ponad 2/3 partyjnych robotników należy równocześnie do „Solidarności”. Czy przyczyną takiej właśnie postawy „Solidarności” jest doświadczenie historyczne 1956 roku?

W Październiku Gomułka wygrał walkę o władzę dzięki społecznemu poparciu rad robotniczych, na czele z robotnikami Żerania, kierowanymi przez Lesława Goździka (*Czerwony Goździk* oraz środowisk intelektualnych skupionych wokół klubu *Krzywe Koło* i tygodnika *Po prostu*. Gomułka z poparcia tego skorzystał, ale jeszcze szybciej niż ze swymi oponentami z układu władzy, rozprawił się z tymi, którzy go popierali. Rady robotnicze zostały przekształcone w biurokratyczne Konferencje Samorządu Robotniczego, Goździk został wyrzucony z Żerania, *Krzywe Koło* zamknięto, *Po prostu* – zlikwidowano. Nad dużą sceną politycznej gry sił społecznych zapada kurtyna; polityka wraca na małą scenę gry gabinetowej.

Osobiście jestem zadania, że to doświadczenie historyczne miało niewielki wpływ na postawę działaczy „Solidarności”, natomiast dużo większy na strategię działania tej części funkcjonariuszy monostruktury władzy, która zdecydowana była zapłacić każdą cenę – nawet cenę obcej interwencji zbrojnej – dla *obrony ustroju*, co oznaczało po prostu obronę nienaruszalności zasad funkcjonowania systemu politycznego. Od Sierpnia do grudnia 1981 *gra polityczna* silnego, antyreformatorskiego skrzydła w partii i administracji państwowej, nastawiona jest na uniemożliwienie liberałom w partii zawarcia politycznego sojuszu z „Solidarnością”. Tę ostatnią bardzo skutecznie prowokuje się więc do podejmowania takich działań, które można przedstawić jako *kontrrewolucyjne*. Jednym z istotnych elementów tej gry jest umacnianie w kręgach „Solidarności” kompleksu nieufności wobec całej monostruktury władzy i każdego, kto ma partyjną legitymację w kieszeni. Nie

są to bynajmniej stwierdzenia gołosłowne, choć przewód dowodowy ich prawdziwości musi mieć siłą rzeczy charakter poszlakowy. Nikt przecież takich intencji wprost i dosłownie nie deklaruje.

Jeszcze przed sądową rejestracją NSZZ „Solidarność”, w czasie konfliktu o treść statutu (żąda się aby w statucie znalazło się sformułowanie odnoszące się do uznawania kierowniczej roli PZPR – co w końcu dopisuje sam sąd) kolportowane są kasety z nagraniem wystąpieniem ówczesnego I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach, Andrzeja Żabińskiego. Kaseata jest dokumentem niezwykle, jeśli uwzględnić fakt, że została nagrana na odprawie z wysokimi funkcjonariuszami wojewódzkiej Służby Bezpieczeństwa. niezwykle jest także treść wystąpienia sekretarza. Jest to właściwie informacja – instrukcja jak będzie się postępować z „Solidarnością”. A więc, że „Solidarność” będzie musiała wszystko wywalczać, chociaż w końcu będzie się jej ustępować, że będzie się działaczy „Solidarności” na różne sprawy *napuszczать*, co mówca ilustruje przykładami. Instruktaż ten jest niezwykle prymitywny językowo i ubogi treściowo, nie zawiera żadnych szczegółów dotyczących metod i sposobów działania, niczego, co można uznać za odsłanianie tajników policyjnego warsztatu. Jest to wyłącznie deklaracja wrogich intencji i ujawnienie zamiaru działania metodami spisku i manipulacji. Czy na takiej odprawie zaufanych oficerów Służby Bezpieczeństwa mógł znaleźć się jakiś konfident „Solidarności”, który podjął ryzyko nagrania? Taki przeciek jest możliwy, ale jednak mało prawdopodobny. Co jeszcze dziwniejsze, kaseata z owym nagraniem – o ile mi wiadomo – dotarła do kierowniczych gremiów „Solidarności” w czasie, gdy była już kolportowana w szerokich kręgach społeczeństwa. Samo kierownictwo „Solidarności” nie nadawało temu rozgłosu, jak w przypadku nieco późniejszej (listopad 1980) głośnej sprawy *Narożniaka* związanej z ujawnieniem poufnych materiałów Prokuratury Generalnej. Obiektywna funkcja upowszechniania tej kasety mogła być tylko jedna – umocnienie i tak silnej nieufności i podejrzliwości wobec wszystkich inicjatyw wychodzących z drugiej strony, likwidowanie resztek tej atmosfery, która towarzyszyła pierwszym dniom po podpisaniu gdańskich i szczecińskich porozumień, gdy jeszcze panował klimat rozmowy *jak Polak z Polakiem*. Zresztą z tego punktu widzenia interesującego materiału mogłaby dostarczyć analiza treści niektórych czasopism i wydawnictw, takich np. jak *Biuletyn Komitetu Warszawskiego PZPR*. Wystąpienia radykalnych działaczy, takich jak Rulewski, służą ilustracji tezy o kontrrewolucyjnym charakterze „Solidarności”, ale propagandowa agresja adresowana jest głównie przeciwko tym którzy, jak np.

Stefan Bratkowski, są równocześnie członkami PZPR i „Solidarności”, podejmują się rozmaitych mediacji, nawołują do porozumienia i kompromisu.

6

Zatarcie granicy między rolą pracownika a obywatela – jak dowodziłem tego wcześniej – działa destabilizująco na system polityczny, choćby z tej racji, że każdy strajk, każde wystąpienie z żądaniami ekonomicznymi, łatwo nabiera charakteru politycznego. Równocześnie istnienie dwóch scen politycznych – małej sceny *gry gabinetowej* i wielkiej sceny sił społecznych, na którą działania polityczne przenoszą się w momentach kryzysów – uniemożliwia osiągnięcie przez system stanu elastycznej stabilizacji, która pozwoli dokonywać w nim zmian bezwstrząsowych i łagodnie dostosować politykę do zmieniającej się rzeczywistości.

W roku 1980 nie chodzi o zmianę rządzącej ekipy, ani o zmiany liberalizujące system. Konflikt nie ma charakteru rewindykacyjnego, ale transformacyjny, z tym że przekształcenie systemu nie następuje, bo – z przyczyn zarówno wewnętrznych, jak przede wszystkim zewnętrznych – nastąpić nie może. Stan wojenny jest w gruncie rzeczy tylko antraktem, który nie przynosi stabilizacji. Nad wielką sceną sił społecznych nie zapada kurtyna. Społeczeństwo jest w stanie wrzenia. Coś się jednak zmieniło.

W latach osiemdziesiątych mają miejsce strajki, nawet silne fale strajków, jak ta z lata 1988 roku, która doprowadziła do zmiany – w trybie częściowo parlamentarnym – gabinetu rządowego. Nie ma jednak tradycyjnego procesu przechodzenia z buntu pracowniczego w obywatelski i przemiennej upolityczniania i odpolityczniania konfliktu przez władze. Dlaczego? Na długo przed wyborami i przed „okrągłym stołem” powstaje, rodzi się, niezinstytucjonalizowana jeszcze i nieskodyfikowana więź transmisyjna między małą a dużą sceną polityki, między sferą politycznych decyzji a masową opinią i postawami społecznymi. System polityczny w swej istocie pozostaje niezmienny, ale jego polityczna liberalizacja osiąga granicę, za którą są już możliwe tylko zmiany demokratyczne. Albo odwrót od liberalizmu, chociaż może być sprawą dyskusyjną, czy odwrót taki jest jeszcze możliwy.

W ogromnym uproszczeniu można stwierdzić, że na ten stan – brzemienno w potencjalne przemiany demokratyczne – złożyły się efekty

działań wielu sił społecznych, ośrodków politycznych i środowisk. Z jednej strony silna, rozbudowana i nie odizolowana od społeczeństwa opozycja polityczna. Praktycznie od amnestii ogłoszonej w 1986 roku, zwalniającej wszystkich więźniów politycznych, jej działalność jest prawie nieograniczona. Jest to potężna siła nacisku na władzę. Ale w tej ostatniej przemiany są także poważne. Jawnie mówi się i pisze o potrzebie pluralizmu politycznego. W kształtowaniu politycznej gotowości do zmian demokratyzujących system, czy – mówiąc inaczej – podatności władzy na naciski wymuszające te zmiany – swój udział mają instytucje takie, jak Centrum Badania Opinii Społecznej, Rada Konsultacyjna przy Przewodniczącym Rady Państwa, PRON, a nawet OPZZ. Warto zwrócić uwagę, że przed „okrągłym stołem” Miodowicz publicznie głosi, że przed pluralizmem związkowym należy wprowadzić w życie pluralizm polityczny. To prawda, że teza jest dyktowana korporacyjnym interesem tych związków, które perspektywę relegacji „Solidarności” odbierają jako zagrożenie, ale takie twierdzenie wygłaszane przez członka Biura Politycznego KC PZPR mimo wszystko brzmi zaskakująco. Do tego trzeba jeszcze dodać uliczne spektakle politycznych manifestacji, które trwają przez cały czas – w stanie wojennym i później. Treści tych ulicznych happeningów są – przynajmniej z punktu widzenia tych rozważań – bez znaczenia. Są poważne i nie-poważne. W niektórych – jak w happeningach Pomarańczowej Alternatywy – można się nawet dopatrywać pewnych kulturowych wartości. Inne, jak antyradzieckie manifestacje młodzieży szkolnej i studenckiej, właśnie dlatego, że mają miejsce w epoce Gorbaczowa, nie są już groźne, ale w tym większym stopniu zawstydzające. To wszystko nie ma jednak znaczenia, bo istotna jest sama aktywność ulicy, tym razem wyraźnie oddzielona od aktywności załóg robotniczych w fabrykach. Na ulicy manifestuje się z przyczyn politycznych, w fabryce z przyczyn ekonomicznych. Stopniowo te dwie drogi zaczynają się rozchodzić, aby po wyborach, a tym bardziej po ukonstytuowaniu się rządu Mazowieckiego, rozejść się prawie całkowicie.

W maju 1990 roku wybuchła strajk kolejarzy. Mimo jednak, że próby są podejmowane, nie udaje się tych strajków upolitycznić. Właściwie jedynym, choć paradoksalnym efektem politycznym tych strajków jest wrogość społeczeństwa wobec strajkujących, która raczej nie pojawia się w takich przypadkach w krajach zachodnich. Można przypuszczać, że taka reakcja społeczeństwa sprawia, że gdy kilka tygodni później wybuchła lokalny strajk rolników, rząd reaguje ostro, wyprowadzając wojsko przeciwko blokującym szosę chłopom.

Rozdział 7

Jedność i różnorodność

Do tej pory zajmowałem się tymi pojęciami, rolami społecznymi oraz strukturami, między którymi w przeszłości zostały zatarte granice i dopiero lata osiemdziesiąte stopniowo przywracają im właściwe miejsce w języku i w życiu. W tej próbie przywracania jednoznaczności – specyficzności – pojęciom niesłusznie dotąd utożsamianym, miejsce szczególne przypada pojęciu *pluralizm*.

Wyklęte w latach pięćdziesiątych, dwuznaczne później, w dziewiątej dekadzie robi zawrotną karierę, stając się pojęciem – wytrychem.

Po okresie gdy jedność i jednolitość były wartościami oficjalnymi, przychodzi w latach osiemdziesiątych czas na rehabilitację różnorodności. Wystarczy sięgnąć po prasę, posłuchać publicznych wystąpień nie tylko intelektualistów ale i polityków, aby zorientować się, że konfrontujemy się już z inną aniżeli wczorajsza, wizją pożądanego świata. W tej wizji różnice poglądów, stanowisk, koncepcji, a nawet opcji ideologicznych i politycznych zdobyły sobie prawo obywatelstwa. Więcej – przedstawiane są jako wartość, a nie tylko realny opis społecznej sytuacji.

Zmiana jednego „modelu” społecznego świata na przeciwny bywa często zmianą pozorną. Lustrzane odbicie od pierwowzoru różni jedynie to, że lewa strona staje się prawą i odwrotnie. Większość radykalnych, rewolucyjnych zmian cierpi na ową chorobę lustrzanego odbicia – nowy świat ma się składać z cech stanowiących zaprzeczenie tych, które charakteryzowały świat dotychczasowy. Miejsce dekretnie fikcyjnej jedności zajmuje więc w latach osiemdziesiątych akceptowana różnorodność i ta zmiana pod wieloma względami jest tylko pozornie tak radykalna i rewolucyjna na jaką wygląda.

Życie w ogóle, także życie społeczne, jest z natury swej różnorodne i pluralistyczne. Proces jego uniformizacji prowadzi do zastoju, mar-

twicy, a w ostatecznej swej konsekwencji do śmierci. Tylko to co martwe może być doskonale jednorodne. Ale związek między różnorodnością i jednością jest dialektyczny, a nie opozycyjny. Krańcowe zróżnicowanie prowadzi do chaosu, entropii, a w konsekwencji także do śmierci, jako ostatecznego rozpadu.

Nie trzeba jednak zapuszczać się w regiony filozoficznych rozważań, aby dojść do przekonania, że w życiu społecznym musi być miejsce zarówno na jedność, jak i na różnorodność i każdy doktrynerski upór przy jednej wartości jako naczelnej zasadzie życia społecznego prowadzić musi na manowce. W życiu społecznym mają zawsze miejsce oba procesy – różnicowania się i jednoczenia. Zablockowanie któregośkolwiek z nich daje w efekcie skutki groźne dla społeczeństwa.

Tu jednak rodzi się pytanie, gdzie i kiedy różnorodność może być wartością pożądaną i niezbędną, a gdzie i kiedy jedność jest konieczna i niezastąpiona.

1

W 1987 roku, na konferencji naukowej poświęconej zagadnieniom reformy gospodarczej zapytano profesora Zdzisława Sadowskiego, jak sobie radzi jako wicepremier z sytuacją, w której jego koncepcje demopolizacji gospodarki poważnie różnią się od stanowisk innych członków gabinetu. Wicepremier odpowiedział, że właśnie owe różnice poglądów, stanowisk i koncepcji są wartością i gdyby ich nie było, praca w rządzie nie byłaby satysfakcjonująca. Przecież – dodał mówca – minęły już czasy, w których nie docenialiśmy wartości pluralizmu. Odpowiedź wicepremiera niewątpliwie podyktowana była względami dyplomatycznymi w konstruowaniu odpowiedzi na niedyplomatyczne pytanie. Mimo wszystko nie sądzę bowiem, aby można było jej autora posądzać o niezrozumienie faktu, że są struktury, w których pluralizm jest ich stanem naturalnym i takie, w których stanem pożądanym jest jedność. W klubie dyskusyjnym istnienie różnic poglądów jest korzystne. Decydują o żywoci wymiany myśli, bywają zaczynem twórczych kontrowersji. Ale rząd nie jest klubem dyskusyjnym. Musi rządzić, podejmować decyzje. Nie interesuje nas wcale barwność i żywoci dyskusji w gronie premierów i ministrów, zainteresowani natomiast jesteśmy w skuteczności i konsekwencji realizowania przyjętego i wcześniej przedyskutowanego programu. Człowiek, którego koncepcje kłócą się z tym programem, powinien gabinet opuścić. Być może przyszłość wykaże, iż

to on miał rację, lub też bieg czasu i zdarzeń doprowadzi do sytuacji, w której akurat jego koncepcje – wczoraj jeszcze przedwczesne – dzisiaj okażą się *na czasie*. Granice tolerancji dla różnic poglądów wśród obrońców oblężonej twierdzy mogą i muszą być inne, niż we wspólnocie której istnieniu nic nie zagraża. W zespole badawczym różnorodność koncepcji może prowadzić do naukowych odkryć, ale już w zespole realizującym przyjęty projekt techniczny, jedność celu i metod działania bywa warunkiem sukcesu. Jest oczywiste, że gabinet rządowy bardziej przypominać winien ten drugi, niż ten pierwszy zespół i że jeśli w rządowym zaprzęgu każdy minister ciągnąć będzie w inną stronę, wóz łatwo znaleźć się może w rowie.

Dlaczego więc pogląd, iż różnorodność stanowisk w łonie władzy wykonawczej jest zjawiskiem naturalnym, a nawet pożądanym może być podzielany i przyjmowany tak bezkrytycznie? Jedną z przyczyn jest reakcja na przeszłość. Jedność w wydaniu praktykowanym i eksponowanym przez ponad czterdzieści lat realnego socjalizmu, w latach osiemdziesiątych jest już zjawiskiem skompromitowanym. Tylko co zostało wtedy skompromitowane? Jedność? Jaka? Gdzie?

Skompromitowana została – traktowana w kategoriach idealnych i docelowych – jednolitość społeczeństwa złączonego z władzą: społeczeństwa ideologicznie, politycznie i strukturalnie ujednoliconego, w którym to, co jeszcze jedne grupy od innych dzieli, miało w perspektywie zaniknąć. Dlatego na przykład zainteresowania badawcze socjologów wspólnotami lokalnymi nie były popierane, natomiast stwierdzenie, że różnice światopoglądowe utrzymają się nawet w dalekiej przyszłości, nie brzmiały banalnie lecz znacząco i odważnie.

Na pewno jednak nie można powiedzieć, że skompromitowana została jedność władzy. Układ władzy, szczególnie w latach siedemdziesiątych, wcale nie był jednolity. Chciano, aby taki się społeczeństwu wydawał, ale w rzeczywistości nie można było mówić o jedności poglądów, koncepcji, a nawet interesów w układzie władzy. Właśnie stąd brała się słabość i bezradność centrum oraz inercyjność prowadzonej przezeń polityki, której nie udawało się zmienić nawet wtedy, gdy dla większości było już jasne, że prowadzi ona do katastrofy. To nie jedność układu władzy została więc skompromitowana (bo jej nie było), ale ujawniona została fikcja tej jedności. W rzeczywistości monostruktury władzy nie cechowała wcale jedność, ale nieprzejrzystość. Nawet wyróżnienie i rozgraniczenie kompetencji ustawodawczych i wykonawczych – o czym już wcześniej pisałem – w monostrukturze tej nie było proste (realnie a nie formalnie). A rozróżnienie to jest istotne i dotyczy

kwestii dla tematu tych rozważań podstawowej – które ogniwo władzy ma mieć charakter reprezentatywny dla zróżnicowanego społeczeństwa (jak np. Sejm), a które powinno mieć charakter sztabowy, a więc względnie monolityczny, jednolity (jak np. rząd).

2

Najogólniej i z pewnym uproszczeniem można powiedzieć, że charakter reprezentatywny powinny mieć te ogniwa władzy, w których wypracowuje się consensus – porozumienie, zgodę; inne winny mieć charakter sztabowy co oznacza, że reprezentowane są w nich różne kompetencje, a nie różne koncepcje czy środowiska.

W okresie powojennym – aż do wyborów do parlamentu 1989 roku – konstruowano ciała reprezentatywne od sejmu, po rady narodowe a nawet wybieralne władze różnych organizacji według zasady sztabowej, usuwając poza ich nawias grupy czy osoby, które *nie mieściły się w koncepcji* i byłyby czynnikiem *zakłócającym*. Do sztabowych ogniw władzy dobierano zaś ludzi w myśl zasady reprezentatywności. Rząd konstruowany tradycyjnie tak, jakby był strukturą przedstawicielską a nie sztabową, był w istocie pluralistyczny, jeśli rozumieć pod tym słowem fakt, że był zbiorem przedstawicieli różnych grup politycznych, społecznych i grup interesu. Z jednej strony obowiązywał więc formalny klucz partyjny, zgodnie z którym w strukturze władzy wykonawczej pewne stanowiska rezerwowane były dla sojuszników. Nie uwzględniano przy tym wcale innych interesów stronnictw sojuszniczych poza formalną kwestią *podziału łupów*, (np. resort rolnictwa nie był nigdy rezerwowany dla ZSL-u). Prócz dekoracyjnych raczej wymogów reprezentatywności partyjnej, układano rządową mozaikę według zmiennych reguł doraźnych potrzeb i przetargów. Okazywało się więc, że w rządzie musi być ktoś ze Śląska, albo że jakieś stanowisko należy przyznać katolikom. Wymóg zróżnicowania kompetencyjnego był już drudorzędny, czy wręcz nieistotny. Konstrukcja gabinetu premiera Jaroszewicza w latach siedemdziesiątych mogła nasuwać złośliwe podejrzenia, że na ministrów wybierano nie według kompetencji fachowych, ale według nazwisk: rolnictwo – Kłonica, handel – Łakomic, budownictwo – Glazur, do czego można jeszcze tylko dodać, że tradycyjnie życzenia w dniu 8 marca składał w Belwederze Babiuch. W rezultacie to co miało być reprezentatywne, było z reguły *niedoreprezentowane*, to zaś, co miało być sztabowe, było

najczęściej przesadnie rozbudowane i obciążone reprezentatywnymi serwitutami.

Na ogół zespoły nadmiernie rozbudowane i zróżnicowane niezdolne są do wypracowania spójnych i oryginalnych koncepcji. Ludzi, którzy w nich zasiadają musi więcej łączyć niż dzielić; muszą oni przynajmniej w podstawowych kwestiach – myśleć podobnie (jeśli produkt ich pracy ma być coś wart). Zaobserwowano już, że w wielu konkursach na dzieła artystyczne, werdykty rozbudowanych i reprezentatywnych jury nagradzają najczęściej twórców i dzieła mierne, odrzucają zaś wybitne. Dotyczy to rzecz jasna w jeszcze większym stopniu ogni w władzy wykonawczej, w tym przede wszystkim gabinetu rządowego.

Jest bardzo ważne – w naszym społeczeństwie – aby w Sejmie reprezentowana była opinia środowisk katolickich, ale jest zupełnie bez znaczenia czy katolicy *mają swego wicepremiera*, choć właśnie takie fakty były w starym systemie politycznie znaczące.

Różnice poglądów, stanowisk, koncepcji, nie mówiąc już o różnicach interesów – naturalne i konieczne w społeczeństwie, zrozumiałe i oczywiste w Sejmie, który jest tego społeczeństwa reprezentacją – nie są żadną wartością w rządzie. Ten ostatni nie jest bowiem ciałem powołanym w celu osiągnięcia narodowego społecznego porozumienia, ale po to, aby realizować politykę, która jest wynikiem tego porozumienia. Tu trafiamy jednak na kolejną rafę pojęciową. W latach osiemdziesiątych, gdy fotel premiera obejmuje Mieczysław Rakowski, mówi się o rządzie koalicyjnym, który ma być rządem porozumienia narodowego. Do jego powołania nie dochodzi, ponieważ żadna z osobistości, z kręgów określanych jako *konstruktywna opozycja*, do rządu Rakowskiego wejść nie chce. Ale czy gdyby było inaczej, gdyby nie tylko profesor Trzeciakowski, któremu Rakowski proponuje stanowiska ministra, ale nawet Wałęsa zgodzili się zasiąść w fotelach wicepremierów, mielibyśmy do czynienia z rządem koalicyjnym? Zanim odpowiem na to pytanie, pozwolę sobie na dłuższą, ale potrzebną dygresję.

Świat realnego socjalizmu jest produktem negacji, zaprzeczenia tego świata zburzonego przez rewolucję. Teoretyczny projekt komunizmu miał być pozbawiony wszystkiego, co – zdaniem klasyków marksizmu – rodzi przekleństwo alienacji człowieka. Własność prywatna a w przyszłości i grupowa, rynek i stosunki towarowo-pieniężne, w dalszej perspektywie nawet państwo jako organizacja przemocy, mają zostać zlikwidowane. Praktyka realizacji wnosi w ów teoretyczny koncept daleko idące poprawki. Prywatna własność środków produkcji w niektórych krajach zostaje zlikwidowana niemal całkowicie, ale np.

państwo we wszystkich krajach realnego socjalizmu rozrasta się do rozmiarów niespotykanych w negowanej przeszłości.

Zabiegom konstrukcyjnym poddany jest także język. Jest to zadanie tym ważniejsze, że pełni on w systemie państwa ideologicznego funkcję przede wszystkim kreującą, a nie opisową. Często chodzi właśnie o to, aby miał *odpowiednie dawać rzeczy słowo*, konstruować słowa odpowiednie do tego, czego nie ma, ale być powinno. Dlatego policja jest milicją. Większość pojęć tradycyjnych, utrwalonych w języku potocznym i języku nauki, opatruje się przymiotnikiem *socjalistyczny*, który ma określać desygnat odróżniać od jego odpowiednika realnie istniejącego w innej rzeczywistości ustrojowej. A więc nie demokracja, a socjalistyczna demokracja; nie państwo, ale socjalistyczne państwo; nie przedsiębiorstwo, ale socjalistyczne przedsiębiorstwo, socjalistyczny rynek itd. Pod wieloma względami jest to zabieg przewrotnie precyzyjny, bo rzeczywiście socjalistyczna demokracja nie jest tym samym, czym jest po prostu demokracja; socjalistyczne przedsiębiorstwo zaś nie ma tych cech, które każde przedsiębiorstwo – aby być przedsiębiorstwem – mieć musi. W rzeczywistości więc określenie *socjalistyczny* pełni taką samą funkcję wobec tego co określa, jak przymiotnik *elektryczny* przy słowie *krzesło*.

Językowa faza *socjalistycznego zeszytu w kratkę* stopniowo kończy się w miarę, jak słabną ideologiczne funkcje państwa. W latach osiemdziesiątych pojawia się zjawisko nowe – tym razem językowe zabiegi podporządkowywane są odwrotnym intencjom. Nie chodzi już aby odróżniać to, co socjalistyczne, od tego, co burżuazyjne, ale aby dokonywać zabiegów utożsamiających, językowo zbliżających świat realnego socjalizmu do normalnego, cywilizowanego świata, z którego pojęcia te pochodzą.

W 1988 roku nawet politolodzy z profesorskimi tytułami mówią o rządzie koalicyjnym. Ale – powracam do postawionego wcześniej pytania – czy rząd Rakowskiego, nawet z Wałęsą jako wicepremierem, byłby w 1988 roku rządem koalicyjnym? Zastanówmy się kiedy w rzeczywistości mamy z takim rządem do czynienia. Oczywiście wtedy, gdy żadna z partii politycznych w efekcie wyborów nie osiąga większości parlamentarnej, które pozwalałyby jej bezpiecznie rządzić. W czasach Adenauera chadecja w Niemczech Zachodnich była dostatecznie silna, by rządzić sama. Kiedy jednak wyrównały się siły socjalistów i chadeków, przyszedł czas rządów koalicyjnych, w których – z wyjątkiem krótkiego okresu rządów wielkiej koalicji CDU/CSU i SPD – raz jedna, raz druga partia zawiązywała koalicję z wolnymi demokratami. FDP, a

dzisiaj także partia „zielonych”, zawdzięczając znaczenie na scenie politycznej właśnie wyrównaniu się sił obu wielkich partii, z których żadna nie może osiągnąć takiej przewagi, która zwalniałaby ją z konieczności wchodzenia w koalicję z inną partią. Nie ma właśnie dlatego rządów koalicyjnych a Stanach Zjednoczonych czy Wielkiej Brytanii, są zaś we Francji, RFN, Włoszech, z czego zresztą wcale nie wynika, że w tych państwach mamy do czynienia z rządami *porozumienia narodowego* – jeśli już, to z rządami *porozumienia międzypartyjnego*.

Powróćmy jednak do polskiej rzeczywistości. Do momentu czerwcowych wyborów nie może być mowy o jakimkolwiek rządzie koalicyjnym. Rząd, o którym się mówi i pisze w 1988 roku, którego nieudaną próbę montażu podejmuje Rakowski, można trafniej chyba, nazwać koncesyjnym aniżeli koalicyjnym. Byłby to rząd, w którym partia i konstytucyjnie współrządzące z nią stronnictwa czynią koncesję innym siłom politycznym, przyciągając je do współrządzenia.

Nieporozumieniem byłoby jednak sądzić, że nawet taki koncesyjny rząd może się stać płaszczyzną wypracowywania consensusu. Rząd consensus może realizować, ale nie wypracować. Rząd nie jest sejmem, ani nawet platformą porozumienia partii i stronnictw politycznych – jest organem wykonawczym, o czym warto pamiętać, jeśli nie chce się pogłębiać chaosu pojęciowego. Ten chaos pojęciowy daje o sobie znać – nic w tym dziwnego – właśnie w latach osiemdziesiątych. Jest to czas powrotu do świata normalnych demokratycznych instytucji i mechanizmów życia politycznego, którym odpowiadają tradycyjne pojęcia. Ale te ostatnie – tutaj – dawno już pogubiły swe znaczenia. Czy jest to jednak tylko chaos pojęciowy? Oczywiście nie. Za tym chaosem idą źle adresowane oczekiwania, błędne oceny i nietrafne pretensje. Jest to dziedzictwo czasu minionego. Ale rzeczywistość polityczna Polski dziewiątej dekady także daleka jest od przejrzystości.

3

„Solidarność” wyrosła z protestu robotniczego. On jej dał siłę. Ale nie zamknęła się w robotniczym proteście. O tej genezie ruchu nawet w czasie stanu wojennego będzie się pisało i mówiło oficjalnie w tonie akceptującym. Protest robotniczy – tak. To było słuszne. Co doszło później było już przedstawiane jako kontrrewolucja i demontaż państwa, czyli władzy. W tym znaczeniu – ale tylko w tym – wydarzenia z lat 1980–1981 odtwarzają tradycyjną drogę rozwoju konfliktu,

o którym pisałem w rozdziale poprzednim: bunt pracowniczy – bunt obywatelski z ową asymetrią upolityczniania i odpolityczniania.

„Solidarność” powstaje oficjalnie jako związek zawodowy, którym jednak nie jest w żadnej fazie swego istnienia, przynajmniej do czerwca 1989 roku. Rzeczywistość rozsadza ramy związku zawodowego, którym „Solidarność” się mieni, ale rozsadza także ramy partii politycznej, od której się odżegnuje. Jest wielkim, masowym ruchem społecznym, dalekim od jakiegokolwiek ideologicznej i politycznej jednorodności. Właśnie to sprawia, że nie ma drugiego, masowego ruchu społecznego na świecie, który mógłby się z „Solidarnością” równać błyskotliwością międzynarodowej kariery. Lewicę na Zachodzie fascynuje robotniczy charakter ruchu i jego strajkowy rodowód, choć niepokoi bogoojczyźniana symbolika i widok Wałęsy z wizerunkiem Matki Boskiej w klapie. Prawica przeciwnie, z uznaniem wita walkę „Solidarności” o wolności obywatelskie oraz wartości narodowe i chrześcijańskie, choć krzywi się na jej robotniczy i związkowy charakter. Można powiedzieć, że ideowe menu „Solidarności” przez całe dziesięciolecie oferuje wszystkim orientacjom na Zachodzie (poza komunistami rzecz jasna), coś co może im smakować. Mamy więc w tym menu treści socjalistyczne – sprawiedliwość społeczną, samorządność pracowniczą, obronę interesów ludzi pracy; liberalne – wolny rynek, demokrację parlamentarną i wolności obywatelskie; konserwatywne – eksponowanie wartości narodowych i chrześcijańskich. To niezwykle spektrum na dalszą metę nie jest do utrzymania w jednym, choćby najpojemniejszym ruchu społecznym i zacznie rodzić tendencje odśrodkowe zaraz po wygranych w 1989 roku wyborach do sejmu i senatu, a w połowie 1990 roku wyraźne i sensacyjne reakcje rozłamowe. Zanim to jednak nastąpi „Solidarność” wygra te wybory w stylu nokautującym kontrpartnerów plebiscytu, wygra je, jako totalna opozycja wobec dotychczasowego, w genezie swej totalitarnego, systemu władzy.

Wybory 24 czerwca 1989 roku były plebiscytem, w którym jedni – zdecydowana mniejszość – byli przeciwko „Solidarności”, co niekoniecznie oznaczało, że głosowali za dotychczasowym układem władzy; drudzy zaś – przygniatająca większość – byli przeciwko temu systemowi, co niekoniecznie oznaczało, że za „Solidarnością”. Szczegółowość tego plebiscytu polegała więc na tym, że był to plebiscyt negatywny, w którym względnie sprecyzowane było to, przeciwko czemu ludzie głosują, lub zdaje im się, że głosują, a bardzo niejasne to, za czym głosują.

Jeśli ktoś ludził się, że wybory mogą mieć inny charakter dawał tym dowód nieznamość polskich realiów. Strona koalicyjna (używając

określeń z tamtego czasu) a więc PZPR, ZSL, SD – miała jednak takie złudzenia, natomiast strona opozycyjna, czyli „Solidarność”, nie liczyła się z tak ogromnym sukcesem.

Jerzy Urban, po powrocie z USA, tuż przed wyborami zaprezentował na konferencji prasowej pogląd, że jeśli ktoś ma około 20% zwolenników, dysponuje dużymi szansami wygranej. Tak mu powiedziano w Stanach Zjednoczonych. Pogląd ten przyjęła za dobrą monetę część ludzi z koalicyjnego kręgu, zawierając opinii doświadczonych przecież, amerykańskich specjalistów od gry wyborczej. Opinię tę potwierdza jednak doświadczenie tylko tych krajów, w których kandydat ma szansę przyciągnąć do siebie część tzw. milczącej większości, wiedząc, że zwolenników nie wolno urazić, a przeciwników i tak się nie przekona. Ale w latach osiemdziesiątych nie ma w Polsce milczącej większości, chociaż jej istnienie zdają się nawet sugerować wyniki badań opinii publicznej. Większość jest zdeklarowana. Jest przeciwko temu co było – przeciwko politycznemu systemowi monowładzy rozliczającą się przed historią tylko wtedy, gdy na jej arenę wkracza masowy ruch społecznego buntu. Ale przede wszystkim jest przeciwko biedzie, zadłużeniu, kolejkom, cywilizacyjnej degradacji, galopadzie cen i brakowi perspektyw. Niestety w tym, że wcale nie mała część tej większości jest równocześnie przeciwko środkom zaradczym owemu negowanemu stanowi rzeczy, choćby dlatego, że w Polsce końca dziewiętej dekady nie ma takich lekarstw, które mogłyby wszystkim smakować. A ponieważ dotychczasowa koalicja symbolizuje system polityczny, który do tego doprowadził, „Solidarność” natomiast symbolizuje bunt przeciwko niemu – rezultat wyborów nie mógł być inny. Jak dosadnie wyraził się jeden z ministrów w rządzie Rakowskiego, w tych warunkach nawet krowa wygrałaby wybory, gdyby miała do wymion przyczepiony znaczek „Solidarność”.

„Solidarność” w 1988 roku skazana była na sukces, tak jak strona koalicyjna, strona władzy, skazana była na klęskę. Na czym polega rola opozycji? – stawia pytanie Szczepański i odpowiada, że tą siłą nośną są postawy wytworzone w ciągu czterdziestu lat; postawy, których osią centralną jest negatywny stosunek do partii i ustroju¹. Na ten wynik zapracowało ponad czterdzieści lat powojennej historii Polski. Przy czym, nawet pomijając katastrofalne efekty tego czterdziestolecia, na wynik negatywny dla władzy zapracowałby już sam czas jej sprawo-

¹J. Szczepański, *Spółczesność polskie w perspektywie globalnych zmian politycznych*, [w:] *Współczesne problemy...*, op. cit. s 14–15.

wania. Zużyciu podlegają idee, instytucje, ruchy społeczne – ale ruchy rządzące zużywają się najszybciej. Ten czas zużywania się jest najwolniejszy w warunkach stabilizacji, gdy czas historyczny *stoi w miejscu*, ale bardzo szybki, gdy toczy się walka. Przekonał się o tym Churchill, charyzmatyczny przywódca walczącej Anglii, gdy poznał gorzko nieoczekiwanej porażki zaraz po wygranej wojnie. W polskiej sytuacji do tego obiektywnego czynnika czasu sprawowania władzy doszły rzecz jasna efekty czterdziestolecia.

Trzeba jednak na chwilę powrócić do owych przedwyborczych złudzeń koalicji i nieprzygotowania „Solidarności” na sukces. Warto bowiem odpowiedzieć na pytanie skąd wzięło się owych 20% zwolenników, na których liczył Jerzy Urban. Praktycznie od zakończenia stanu wojennego badania opinii publicznej – przede wszystkim prowadzone przez rządowe Centrum Badania Opinii Społecznej (rządowe, ale wiarygodne) – ujawniają stan zaskakującej równowagi w pozycjach *zadeklarowanych* zwolenników władzy i opozycji. Tych, którzy bez zastrzeżeń są *za władzą* jest około 20–25%, tyle samo, co i tych, którzy są bez zastrzeżeń *za opozycją*. Między biegunami mieszczą się stanowiska zróżnicowane i nieostre – wśród których dominuje postawa nieufności do jednych i drugich, do władzy i do opozycji. Kolejne wyniki sondaży od 1983 roku pokazują mniej więcej taki obraz świadomości społecznej. Zapewne jest to przyczyna, dla której sądzi się, że w Polsce mamy do czynienia z milczącą – niezdecydowaną – większością, która może się stać potencjalnym elektoratem każdej ze stron, pod warunkiem, że się tych niezdecydowanych przekona.

W rezultacie, w kręgach partyjnych obciąża się kierownictwo PZPR winą za źle prowadzoną kampanię wyborczą. Kampania rzeczywiście prowadzona była przez „koalicję” fatalnie. Kandydaci partii koalicyjnych zwalczają się wzajemnie, natomiast „Solidarność”, która od słynnej telewizyjnej debaty Miodowicza z Wałęsą stała się patronką pluralizmu – w praktyce zwalcza wszelkie pluralistyczne tendencje po stronie opozycji. Kandydaci partyjni wstydliwie ukrywają w kampanii swą przynależność, tak samo zresztą, jak i kandydaci z ramienia ZSL-u i SD. Oprócz tych, którzy takiej szansy nie mają – jak Rakowski czy Miodowicz – niemal cała reszta skrzętnie ukrywa swój związek z instytucjami systemu politycznego. W rezultacie przedwyborczy uliczny festyn zdominowany jest przez emblemat „Solidarności”, jedynej oprócz Kościoła instytucji, która promuje a nie obciąża.

Mają więc rację ci, którzy krytykują koalicyjną taktykę i propagandę wyborczą, ale nie mają racji sądząc, że gdyby propaganda par-

tyjna była lepsza a „Solidarnościowa” gorsza, wynik mógłby być inny. Najwyżej trochę więcej osób słabo zorientowanych, nie dysponując przejrzystymi *ściągaczkami*, na warszawskim Żoliborzu skreśliłoby Findeisena zamiast Ferenstejna.

A więc co stało się z tymi, którzy jeszcze kilka miesięcy wcześniej, jeszcze w 1988 roku, nie deklarowali się jako zdecydowani zwolennicy opozycji? Dlaczego wszyscy przeszli na jej stronę, jeśli jednocześnie kwestionujemy tu wpływ samej kampanii? Warto sobie uświadomić czym jest „Solidarność” przed „okrągłym stołem” a czym po podpisaniu porozumień. Przedtem jest nielegalną opozycją, przedstawianą w oficjalnej propagandzie jako siła destrukcyjna, stanowiąca zarzewie niepokojów i konfliktów społecznych. Nie wolno lekceważyć wpływu tej propagandy. Niezależnie od tego co się w Polsce od początku lat osiemdziesiątych mówi o telewizji, jest faktem, że świadomość przeciętnego Polaka poddaje się naciskowi opinii dwóch ośrodków – ambony i telewizora. Oba czerpią swą siłę z innych źródeł – jednemu ośrodkowi wierzy się, drugiemu się ulega; ale wpływ obu jest przemożny. Społeczeństwo – z wyjątkiem młodego zbuntowanego pokolenia – jest zmęczone, apatyczne i zrezygnowane. Polacy po doświadczeniu stanu wojennego nie chcą już walczyć. A wybór „Solidarności” jako nielegalnej opozycji to wybór walki, w której sukces trudno uwierzyć pamiętając, jak szybko i łatwo została ona ze sceny politycznej usunięta kilka lat temu. „Solidarność” legalna jest jednak czymś innym. Jest szansą – niezwykłą, zaskakującą szansą na *darmową* alternatywę. Dlatego po legalizacji procent zdeklarowanych zwolenników „Solidarności” skacze gwałtownie w górę, przed wyborami przekraczając już 70% ogółu społeczeństwa. Co prawda, po „okrągłym stole” rośnie także liczba wyrażających się pozytywnie o władzy i deklarujących do niej zaufanie, ale jest to w dużej części premia za to co się stało, a więc ów wzrost zaufania nie tyle oznacza pozytywną ocenę samej władzy, co raczej pozytywną ocenę faktu jej porozumienia się z „Solidarnością”.

W 1989 roku Polska ma więc sejm, o którym „Solidarność” powiada że jest w 35% wybrany demokratycznie oraz senat wyłoniony w całkowicie demokratycznych wyborach. Paradoks polega jednak na tym, że sejm – dzięki owej ograniczonej demokracji wyborczej – jest strukturą w większym stopniu przedstawicielską, bo pluralistyczną, aniżeli senat. W senacie tylko jednej osobie olbrzymim nakładem kosztów, głównie finansowych, udało przedrzeć się przez zdyscyplinowaną „drużynę Wałęsy”. W przeciwieństwie do „monopartyjnego” senatu, w sejmie mamy do czynienia ze zróżnicowaniem koncepcji, opinii

oraz interesów. „Dzięki” ograniczeniu demokracji, sejm jest więc strukturą bardziej... demokratyczną, co już na początku kadencji przynosi zaskakujące rezultaty takie, jak nowa koalicja i powołanie rządu premiera Mazowieckiego.

4

Stwierdziłem wcześniej, że rząd, jako władza wykonawcza, struktura sztabowa a nie przedstawicielska, nie może być płaszczyzną porozumienia narodowego. On sam może być rezultatem takiego porozumienia różnych sił społecznych i politycznych, osiągniętego wcześniej i gdzie indziej. Nie zawsze w parlamencie.

Ten rząd dojrzewał w kilku miejscach. W Magdalence, gdzie rozpoczęły się wstępne rozmowy przygotowawcze do „okrągłego stołu”, przy samym „okrągłym stole”, by wreszcie jako propozycja nie do odrzucenia zostać zgłoszonym w Gdańsku, który w Polsce 1989 roku pełni rolę historycznego Sulejówka. Rząd Mazowieckiego jest naturalną konsekwencją wyborczego sukcesu „Solidarności” z jednej strony, z drugiej zaś – czego się raczej w „Solidarności” nie docenia – ogromnych przemian, które zaszły w partiach niedawnej jeszcze, rządzącej koalicji, a przede wszystkim w PZPR. O tych przemianach później, na razie powróćmy do rządu.

Kiedy zaraz po wyborach a jeszcze przed powołaniem Wojciecha Jaruzelskiego na stanowisko prezydenta, Adam Michnik zgłosił na łamach „Gazety Wyborczej” koncepcję zawierającą się w tytule swego artykułu – *wasz prezydent, nasz premier* – większość, także w samej „Solidarności” uznała pomysł za nierealistyczny, a w każdym razie przedwczesny. A był to pomysł naturalny i oczywisty, jeśli bieg wydarzeń miał się toczyć zgodnie z logiką uruchomionego procesu.

Jacek Kuroń, w telewizyjnym, „Otwartym Studio” zorganizowanym tuż po zakończeniu pierwszej tury wyborów przekonująco tłumaczył dlaczego „Solidarność” mimo wygranych wyborów nie może w Polsce przejąć władzy. Aby rządzić trzeba mieć aparat. Czy nawet gdyby dysponowało się własnym, można zmienić ten, który jest, bez narażenia kraju, że Plac Defilad w Warszawie stanie się Placem Niebiańskiego Spokoju? To wydawało się niemożliwe i Kuroń, który rozumuje kategoriami politycznymi a nie histiriozoficznymi jak Michnik, doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

W państwie demokracji parlamentarnej administracja w mniejszym

lub większym stopniu musi być zbliżona do wzorca idealnej, Weberowskiej biurokracji, która nie ma własnych celów i nie realizuje własnej polityki. Jej aparat powinien być technokratycznie fachowy, w pełni dyspozycyjny i całkowicie apolityczny. Jego obowiązkiem jest kompetentna realizacja różnych, bo względnie często zmieniających się linii politycznych, oraz przestrzeganie względnie stałych, niezmiennych norm prawa.

Ale w dotychczasowym systemie politycznym administracja – owe aparaty – jest nie tylko ponad wszelką miarę rozrośnięta. Ten administracyjny moloch tworzył się w państwie ideologicznym a nie państwie prawnym. Z monopolu jednej ideologii wynikać miała jednolita linia polityczna przenikająca wszystkie dziedziny życia zbiorowego. Konsekwencją tego stanu rzeczy była zasada jedności władzy, o której pisałem wcześniej, i wynikająca z niej dyrektywa maksymalnego upolitycznienia wszystkich jej aparatów. W dotychczasowym systemie politycznym nie było więc miejsca na to, co Anglicy nazywają *civil service* – służby państwowe nastawione na obsługę życia gospodarczego i społecznego. W dotychczasowym systemie politycznym obsługa była zgoła drugorzędnym zadaniem państwa. Nawet teoretycy administracji na pierwsze miejsce wysuwali jego organizatorskie a nie obsługowe funkcje, zgodnie z założeniem, że zadaniem socjalistycznego państwa jest zmieniać rzeczywistość, przekonywać lub zmuszać ludzi, aby żyli tak, jak żyć chcą. A więc czy można rządzić mając do dyspozycji ogromny, wszechwładny aparat, który jest nie tylko obcy, ale wrogi wobec rządu?

A jednak Kuroń, który najlepiej spośród wszystkich działaczy opozycyjnych poznał pracę jednego z owych aparatów, nie miał racji. Wyszedł on bowiem z założenia, że każdy z tych aparatów – administracyjny, gospodarczy, wojskowy, służb wewnętrznych – jest dyspozycyjny wobec aktualnej władzy politycznej. W rzeczywistości jednak żaden z nich – wyjąwszy może aparat wojskowy – nie był i nie jest w pełni dyspozycyjny nawet wobec swego kierownictwa. Jest to dziedzictwo stalinowskiego systemu politycznego, w którym nie tyle władza miała aparat, co aparat miał władzę. To on był faktycznym, społecznym i politycznym jej zapleczem. To on ją wylaniał a nawet oceniał i rozliczał, a nie społeczeństwo.

Jak trudne jest ograniczenie wszechwładzy aparatu, poddanie go kontroli społeczeństwa i prawa, pokazują doświadczenia Związku Radzieckiego. Z tym, że o ile w Związku Radzieckim mamy raczej do czynienia z hierarchią aparatów, na której szczycie jest aparat partyjny, w Polsce istnieje względna równowaga różnych aparatów – państwowego (centralnych urzędów i ministerstw), gospodarczego,

służb wewnętrznych i wojskowego, który dopiero od czasu wprowadzenia stanu wojennego przestał być typowym aparatem „wewnętrznym”, bez większego wpływu na bieg spraw państwowych. Do tego dochodzi aparat partyjny, który jednak od stanu wojennego, najpierw stopniowo, potem coraz szybciej traci na znaczeniu. Ponieważ w samym założeniu rola aparatu w dotychczasowym systemie politycznym miała być kreatorska a nie tylko wykonawcza, siłą rzeczy ma on zdolność do działań destrukcyjnych wobec zamiarów politycznych sprzecznych z jego interesem. Aparat partyjny potrafił – i działał się tak często – blokować wykonanie uchwał najwyższych władz PZPR, aparat gospodarczy skutecznie likwidował próby podejmowania reform gospodarczych.

Podejmowanie prób reformowania aparatu powoduje w tej sytuacji najczęściej walkę wewnętrzną między tą jej częścią – z reguły nową – która jest zorientowana reformatorsko a częścią zachowawczą. Nie ma wątpliwości, że wstrząsający przypadek morderstwa ks. Popiełuszki, choć niewątpliwie była to prowokacja o szerszym zasięgu, może być także w tych kategoriach analizowany. Można także sądzić, że przypadek pobicia demonstrantów i dziennikarza *Gazety Wyborczej* przed gmachem sądu w czasie pierwszego posiedzenia nowowybranego parlamentu był akcją wymierzoną przeciwko Czesławowi Kiszczakowi jako kandydatowi na premiera. Tym bardziej, że Kiszczak – oficer wojska a nie milicji i służb wewnętrznych – miał właśnie w tym resorcie немало przeciwników. Co wiemy zresztą o nastrojach, postawach, interesach różnych aparatów? Nasza wiedza na ten temat jest przede wszystkim potoczna oraz w dużym stopniu intuicyjna. Wynika to z oczywistej hermetyczności aparatu, który nawet wtedy, gdy nie jest oddzielony od społeczeństwa szczelną zasłoną tajemnicy, z rzadka jedynie i wyjątkowo ujawnia swoje interesy, intencje i zamiary. Aparat się nie wypowiada – aparat działa.

Z pozoru mogłoby to uzasadniać obawy „Solidarności” przed wzięciem w swoje ręce władzy wykonawczej. Ale sprawa nie jest tak prosta. Z tego co napisałem wynika, że aparat nigdy nie był lojalnym i zdyscyplinowanym sługą politycznej władzy wykonawczej. Obawy więc, że w imię lojalności wobec poprzedników Mazowieckiego aparat ten będzie sabotował jego rząd, są w gruncie rzeczy płonne. Aparat ten nie może być lojalny wobec poprzedniej władzy, bo nigdy lojalnym nie był, a ponadto nigdy nie mógł być lojalny, nawet gdyby chciał. Po pierwsze, o czym już pisałem, rząd nie realizował własnej polityki, ale był wykonawcą decyzji partyjnych. Po drugie, nie był strukturą sztabową, zespołem jednej koncepcji wykonującym konsekwentnie ustaloną

linię polityczną, ale zbiorem ludzi reprezentujących różne, często nawet zwalczające się wzajemnie grupy interesów.

Oczywiście w obawach żywionych przez „Solidarność” chodziło o szerzej rozumiane niebezpieczeństwo lojalności aparatu wobec ustępującego układu władzy. Chodziło o lojalność ideologiczną. Ten czynnik jednak „Solidarność” przez cały czas demonizowała szukając ideologicznych przeciwników tam, gdzie nawet śladu już po nich nie zostało. Aparat państwowy, gospodarczy, a – jak się w końcu okazało – nawet milicji i służb bezpieczeństwa w latach osiemdziesiątych jest już w przeważającej mierze odideologizowany i technokratyczny. Bunt aparatu z racji ideologicznych nie wchodzi więc w 1989 roku w rachubę. Polska przeżywa swój koniec wieku ideologii; ideologia przestała już być spoiwem łączącym nawet członków partii. Pod tym względem PZPR przypomina w latach osiemdziesiątych „Solidarność”, stanowiąc strukturę ideologicznie zróżnicowaną i amorficzną. Mimo, że ta ostatnia wchodzi właśnie na scenę polityczną jako triumfator wyborczego plebiscytu, pierwsza zaś jest w tym plebiscycie stroną przegraną, która władzę oddaje, podobieństwa między nimi są wyraźne. Warto się im bliżej przyjrzeć.

5

„Solidarność” w 1980 i 1981 roku formalnie była związkiem zawodowym. Czym jest w 1989 roku? Została zalegalizowana jako związek, ale nie było jeszcze takiego przypadku w historii, aby związek zawodowy powoływał do życia rząd. Partią polityczną „Solidarność” nie jest także. Dziewięć lat wcześniej, pod formalnym statutem związku zawodowego, krył się potężny ruch społeczny. Działał wszędzie. W środkach masowego przekazu, w związkach twórczych, stowarzyszeniach społecznych i zawodowych, w instytucjach i na ulicach, ale bastionami jego realnej siły były mimo wszystko i przede wszystkim wielkie zakłady pracy. W 1989 roku ruch ten rozdzieliła się na związek zawodowy, którym kieruje KKW (Krajowa Komisja Wykonawcza) z Wałęsą jako przewodniczącym, oraz quasipartię OKP (Obywatelski Klub Parlamentarny) z Wałęsą jako patronem. OKP nieoczekiwanie jest najsilniejszym ugrupowaniem w sejmie, jeśli nie liczyć, że ma 99 procent miejsc w senacie. To nie jest jeszcze rozbić ruchu, ale już jest podział, tym bardziej wyraźny, że polityczno-parlamentarna część „Solidarności” nie musi tym razem udawać, że nie jest partią i nie chce władzy. Związkowa

część „Solidarności” natomiast nie może nawet marzyć o takim sukcesie w zakładach pracy, jaki stał się jej udziałem w 1980 roku. Związkowa „Solidarność” nie wchodzi tu zresztą na pustą, czy łatwą do opróżnienia scenę. Związków starych, „CRZZ-owskich” nawet nie trzeba było rozbić – rozpadły się same. W 1989 roku ze związkami Miodowicza jest już inaczej. OPZZ jest zresztą w sytuacji klarowniejszej – może walczyć z rządem jako generalnym pracodawcą i walkę tę podejmuje brutalnie, wykorzystując rozpaczliwie trudną sytuację tego rządu. OPZZ eksploatuje socjalną demagogię i równościowy populizm. Związkowa „Solidarność” robić tego nie może. Musi być „konstruktywna” niemal w tym samym stopniu, w jakim musiał być „konstruktywny” CRZZ w latach siedemdziesiątych. Jest to historyczna złośliwość zaistniałej w 1989 roku sytuacji.

Z jej złożoności niewątpliwie zdaje sobie sprawę Wałęsa. Nie bez jego wpływu, zaraz po wygranych wyborach następuje likwidacja Komitetów Obywatelskich „Solidarności” powołanych do życia w celu ich oraganizowania. Tempo w jakim „Solidarność” pokryła cały kraj owymi komitetami, szybkość z jaką potrafiły one wokół siebie skupić ludzi i rozpocząć działalność, może budzić zdumienie. Czegoś takiego nie byłaby w stanie zorganizować żadna inna organizacja w Polsce. Decyzja o ich likwidacji wywołuje protesty. Oddawać coś, co się już ma, i co przecież stanowi niemały kapitał społeczny i organizacyjny? Tym bardziej, że prawdopodobnie trzeba je będzie znów powoływać gdy aktualne staną się wybory do samorządów terytorialnych? Ostatecznie Komitety Obywatelskie nie uległy likwidacji a w wyborach lokalnych odegrały ogromną rolę. Dlaczego jednak Wałęsa w ogóle taką decyzję podejmował? Chodzi oczywiście o to, że pozostawienie Komitetów Obywatelskich utrudniałoby organizację „Solidarności” związkowej, która z trudem instaluje się w zakładach pracy i zdobywa członków. Komitety Obywatelskie byłyby dla organizacji związkowej zbyt silną konkurencją; to raczej w nich a nie w organizacjach związkowych gromadziłby się ludzie zaangażowani społecznie i politycznie. Inna – tym razem bezpośrednia osobista decyzja Wałęsy – która wywołuje sprzeciwy, to nagle i niespodziewane obsadzenie zwolnionego przez Mazowieckiego fotela redaktora naczelnego tygodnika „Solidarność”. Wałęsa nie chce, aby tygodnik stał się pismem rządu, chce go ratować dla związkowej „Solidarności”, tym bardziej, że ta ostatnia straciła już „Gazetę Wyborczą”, dziennik o objętości i formacie gazetki szkolnej, ale redagowany wspólnie (w przeciwieństwie do tygodnika).

Skąd ten upór aby bronić związkowych pozycji, jeśli na dobrą

sprawę ma się władzę w państwie? Sądzę, że z dwóch powodów. „Solidarność”, aby wspomóc rząd i umocnić jego szanse, musi mieć silną, wpływową przeciwwagę związkową dla OPZZ. Miodowicz i jego współpracownicy pokazywali już przy okazji dyskusji nad wariantem indeksacji i na samo zakończenie obrad „okrągłego stołu” czego można się po nich spodziewać. W 1989 roku nie ma w Polsce politycznej Targowicy, jak w latach 1980 i 1981. Nawet gdyby byli chętni, nie znajdują społecznego zaplecza w żadnym z aparatów władzy, chyba nawet w funkcjonariuszach Służby Bezpieczeństwa (przynajmniej dopóki ten resort prowadzi Kiszczak). Dogmatyczni *prawdziwi komuniści*, którzy jeszcze by się znaleźli, są jednak dostatecznie skompromitowani, i nie mają już Petersburskiego Dworu, o którego interesy mogliby opierać swoją grę. Za to jest OPZZ. W październiku 1989 roku próbuje (aczkolwiek bezskutecznie) skłonić prezydenta do odrzucenia ustawy sejmowej o prowizorium budżetowym, potem wzywa zakłady pracy do ogłoszenia pogotowia strajkowego. Jeśli antyrządowa dywersja związków Miodowicza ma nie być skuteczna, „Solidarność” musi mieć wpływ na załogi robotnicze. Ich polityczne znaczenie jest silne. Ale jest i drugi powód tej polityki – bardziej dalekosiężny. A co będzie jeśli sytuacja polityczna się zmieni? W Polsce i nie tylko w Polsce? Jeśli pokojowe, łagodne i zaskakujące bezkonfliktowe przejście do rzeczywistości państwa prawnego i obywatelskiego społeczeństwa nie powiedzie się? W 1989 roku takie pytania trzeba sobie jeszcze stawiać. Każdy wariant odwrotu oznacza, że znów głównym bastionem, twierdzą ideałów i nadziei staną się fabryki i ich załogi, a więc ten „segment społeczny”, który został przez komunistyczny system stworzony i tylko on może go pokonać.

Drogi politycznej i związkowej „Solidarności” powoli się jednak rozchodzą. Oczywiście w 1989 roku łączy je nadal poczucie wspólnoty wartości, ideałów, wspólne kombatanctwo niedawnej walki opozycyjnej, te same i tak samo przeżyte doświadczenia, a ponadto – i nie na ostatnim miejscu – osoba Wałęsy, który jedną częścią „Solidarności” rządzi, a drugą pośrednio, a w niektórych momentach i bezpośrednio, kieruje. Ale – nawet pomijając, że poza „Solidarnością” Wałęsy są jeszcze inne „Solidarności” (szczecińska z Jurczykiem i „Solidarność Walcząca” z Gwiazdą a także bydgoska z Rulewskim i łódzka ze Słowikiem, które przed wyborami do samorządu terytorialnego połączają się z „Solidarnością” Wałęsy) – samą „Solidarność” polityczną, parlamentarną trawić zaczynają tendencje odśrodkowe.

Z tendencjami odśrodkowymi boryka się także PZPR. W 1989 roku, na kilka miesięcy przed XI, likwidacyjnym zjazdem PZPR jest już prak-

tycznie rozbita a o Rakowskim mówi się publicznie, że jest nie tylko jej pierwszym sekretarzem, ale także pierwszym-ostatnim. Istnienie tendencji odśrodkowych nie jest w 1989 roku jedynym podobieństwem między „Solidarnością”, która wybory wygrała, a PZPR, która je sromotnie przegrała. I jedna i druga struktura jest ogromnie zróżnicowana i amorficzna. Jedna i druga nie jest wcale partią i... nigdy nią nie była. W kontekście PZPR może to brzmieć zaskakująco. Warto jednak sobie uświadomić, że partie komunistyczne pozostawały partiami politycznymi dopóki były w opozycji. Po zdobyciu władzy przestawały być partiami, stając się totalitarnymi ruchami społecznymi. PZPR nigdy nie była partią, ponieważ nie występowała na scenie politycznej wśród niezależnych od siebie aktorów, rywalizujących ze sobą o władzę lub wpływ na władzę. Była jedynym motorem, kierownikiem całego systemu politycznego, który modelował społeczeństwo programując i kierując przemianami społecznymi. Partia komunistyczna po zdobyciu władzy przekształcała się z partii politycznej w polityczny ruch masowy o aspiracjach totalitarnych, zmierzający do podporządkowywania sobie wszystkich dziedzin życia społecznego z kulturą i ambicjami *kształtowania nowego człowieka* włącznie.

*Nowo powstające partie komunistyczne – pisze Stefan Dziabała – są z reguły partiami kadrowymi. Niektóre z nich, w sprzyjających warunkach w ustroju kapitalistycznym, a prawie zawsze po przejęciu władzy państwowej, przekształcają się w partie masowe*². Można to stwierdzenie uściślić, że nie *prawie zawsze* lecz *po prostu zawsze*. Istota sprawy nie tkwi jednak w tym, czy jest to organizacja masowa, czy kadrowa, ale w fakcie, iż nie jest ona partią przekształcającą się w ruch monopolizujący władzę polityczną. Już same zresztą określenia *kadrowa* i *masowa* nie odnoszą się i w zasadzie nie mogą odnosić do partii politycznej (Lenin zdając sobie sprawę z występujących tu różnic, pisał o *partii nowego typu*).

Czym jest ruch społeczny, co różni go od partii? Odpowiedź na to pytanie nie jest prosta mimo, że intuicyjnie różnicę wyczuwamy. Stwierdziłem wcześniej, że partia jest podmiotem życia politycznego rywalizującym z innymi partiami o władzę. Z tego punktu widzenia monopartia dzierżąca monopol władzy, partią nie jest i być nie może. Różnica między monopartią a partią polityczną, jest zasadnicza i przejawiać się musi we wszystkich niemal płaszczyznach jej działania, przy

²S. Dziabała, *Partia marksistowsko-leninowska – geneza, funkcje i zasady działania*, [w:] *Państwo, partie polityczne, systemy partyjne*, Warszawa 1977, s. 283–284.

czym decydującą kwestią wydaje się tu być zależność między partią a jej elektoratem. Zależność ta, weryfikowana w toku gry wyborczej nie występuje w przypadku ruchu społecznego. Jest oczywiste, że monopartia jest także wolna od tej zależności mimo organizowania fikcji wyborów.

Wydaje się, że jest jeszcze jedna istotna cecha ruchu społecznego, odróżniająca go od partii politycznej – jest nią stosunek do rzeczywistości. Alain Touraine, przeciwstawiając nowe ruchy społeczne starym (w tym przede wszystkim ruchowi robotniczemu), podkreśla fakt pojawienia się nowego pola konfliktów społecznych związanego z postindustrialną fazą rozwoju krajów najwyżej uprzemysłowionych, przy czym powstanie tych ruchów uważa on za bezpośredni wyraz społecznej podmiotowości³. Ruch społeczny wyrasta z buntu przeciwko jakiemuś segmentowi rzeczywistości społecznej a niekiedy, jak właśnie w przypadku komunistów, z buntu przeciwko całej rzeczywistości zastanego świata społecznego. Ruch społeczny wyrasta z buntu, protestu, negacji i nimi się żywi – konflikt jest jego *raison d'être*. Dlatego też „partie” komunistyczne nawet po zdobyciu władzy pielęgnują pole społecznego konfliktu, które było ich kolebką, uprawiają retorykę rewolucyjnego buntu eksponując istnienie przeciwnika – wroga, który musi zostać pokonany a nawet zniszczony, czy nawet inaczej – musi być stale pokonywany i niszczone nawet gdy został już zniszczony ostatecznie i przestał istnieć. Można chyba zaryzykować twierdzenie o istnieniu zasadniczej zależności między procesem stopniowego odideologizowywania się rządzących ruchów komunistycznych a polityką pokojowego współistnienia, przy czym spektakularny i nagły rozpad tych partii następuje w momencie, gdy niemożliwe stało się już utrzymywanie fikcji wroga.

Przejście od opozycyjnej partii do monopolizującego władzę totalitarnego ruchu politycznego miało w tym stuleciu miejsce dwukrotnie. Taką drogę, od partii do ruchu społecznego, przeszli faszyci i komuniści. Mimo, że Hitler zdobył władzę na drodze parlamentarnej, sam proces usuwania ze sceny politycznej przeciwników, a więc monopolizowania władzy – zarówno w państwach faszystowskich, jak komunistycznych – dokonywał się przy użyciu tych samych instrumentów: prowokacji, terroru i propagandy. Nie chodzi mi bynajmniej o utożsamianie

³Patrz: A. Touraine, *The Self Production of Society*, Chicago 1977, a także: A. Touraine, *An Introduction to the Study of Contemporary Movements*, [w:] „Social Research” 1985 nr. 4 (numer monograficzny w całości poświęcony zagadnieniu ruchów społecznych).

faszyzmu z komunizmem, ale o zwrócenie uwagi na podobieństwa samego mechanizmu zdobywania a przede wszystkim utrwalania władzy.

Doświadczenie historyczne nie dostarcza nam jednak przykładów na proces odwrotny – ewolucyjne przekształcanie się sceny politycznej zdominowanej przez totalitarny ruch w demokratyczną arenę działania partii politycznych. Warto przy tej okazji zauważyć, że w europejskich krajach dawnego bloku „wschodniego” proces dekomunizacji wykazuje pewne podobieństwa do procesu denazyfikacji (domaganie się delegalizacji partii komunistycznej a nawet uznania jej za organizację przestępczą, usuwanie ze stanowisk osób „skompromitowanych” samą tylko przynależnością).

W pierwszym rozdziale tej pracy dowodziłem, że „Solidarność” jest ruchem narodowym przy czym wyraźne są w nim wysiłki zmierzające do utrzymania spójności jako ruchu i zahamowania naturalnych tendencji do rozpadu na partie polityczne. W PZPR mamy do czynienia z sytuacją odwrotną. Stary ruch społeczny, którego liderzy nie mają już pod koniec 1989 roku żadnych złudzeń i zdają sobie sprawę, że mogą być w najlepszym razie opozycją, poszukują dróg do stania się partią, co jest możliwe tylko wtedy, gdy odetną się od przeszłości. Poza PZPR powstają już ugrupowania nawiązujące do tradycji PPS, ale tradycja ta ma także zwolenników wśród członków PZPR. Jest to w sytuacji przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych jedyna tradycja na lewicy, która ma historycznie czystą kartę. Ale socjaldemokratyczna orientacja silna jest także w „Solidarności”. Czy możliwe jest więc, że obie tendencje socjaldemokratyczne – solidarnościowa i pezetpeerowska – zejdą się w jednej partii? Na razie wydaje się to nierealne. W 1989 roku, w Polsce, ze strony „solidarnościowo-rządowej” (jeszcze niedawno używało się określenia strona „partyjno-rządowa”) podkreśla się pozytywne doświadczenia hiszpańskiej drogi przejścia od frankistowskiej dyktatury do demokratycznej monarchii. Ale od werbalnych zachwytów do prób przeniesienia hiszpańskich doświadczeń na grunt polski, droga daleka. W Hiszpanii nikt nie potępia ani nie dyskryminuje tych, którzy frankizm tworzyli. W socjalistycznym rządzie Hiszpanii są osoby, które były ministrami w rządzie generała Franco, Suarez zaś, był minister do spraw Falangi, a więc szef najbardziej faszystowskiego resortu, wybierany jest w demokratycznym Królestwie Hiszpanii na premiera i cieszy się popularnością drugiej po monarsze osoby w państwie.

Taka sytuacja jest w Polsce jeszcze niemożliwa. Oczywiście porównując sytuację Polski i Hiszpanii trzeba pamiętać, że faszystowski reżim nie zniszczył gospodarczo Hiszpanii. Ale nawet pomijając

tę istotną przecież różnicę, polską specyfiką jest utrzymywanie się silnych i powszechnych postaw opozycyjnych mimo, że w gruncie rzeczy nie ma już wobec kogo i czego ich manifestować. Opozycyjność jest w 1989 roku modnym w Polsce kostiumem, który – jak zwykle zresztą – ze szczególną ostentacją obnoszą liczni *opozycjoniści dnia wczorajszego*, którzy przywdziali ten kostium wtedy, gdy jego noszenie jeszcze wyróżniało, ale już niczym nie groziło. Opozycyjność manifestują także ci, którzy wiedzą, że są to dziś poglądy z rozdzielnika nowej władzy i mogą się one okazać ważnymi biletami wstępu do nowych karier. Ale opozycyjność jest także czymś więcej – substytutem więzi społecznych; wciąż jeszcze daje wielu ludziom poczucie wspólnoty.

Opozycyjność, która praktycznie wyraża się w rozrachunku z przeszłością – w wymiarze politycznym działa rozkładająco na PZPR, ZSL i SD, integrując zaś na „Solidarność”. Do momentu powołania rządu Mazowieckiego jest to dla „Solidarności” spoiwo dostatecznie silne, aby hamować procesy odśrodkowe w jej parlamentarnej frakcji, czyli OKP. Powołanie Mazowieckiego na premiera, związane z tym negocjacje i przetargi o stanowiska w nowym gabinecie są pierwszą poważną próbą zwartości parlamentarnej drużyny Wałęsy. „Solidarność” Rolników Indywidualnych wyraźnie manifestuje swe niezadowolenie z faktu, że w rządzie Mazowieckiego znalazł się dla niej tylko jeden fotel ministerialny i w dodatku bez resortu. Już w pierwszych dniach działania rządu Mazowieckiego rolnicza „Solidarność” podejmuje ostry atak na ZSL, jako – ich zdaniem – twór stalinowski, który powstał dzięki likwidacji PSL i w związku z tym nie ma prawa odwoływać się do tradycji Mikołajczyka i jego partii. Nie ma wielkiego znaczenia, że do tradycji PSL tym bardziej nie ma tytułu własności „Solidarność” Józefa Ślisza. Atak na jeden z członów świeżo upieczonej koalicji ma wszystkie cechy politycznego odgrywania się – w gruncie rzeczy na Mazowieckim – za nieuwzględnienie rządowych apetytów grupy, której przewodzi Józef Ślisz. Mazowiecki próbuje rekompensować zawiedzione oczekiwania solidarnościowych ludowców, typując na wakujące stanowisko prezydenta Łodzi dwóch kandydatów. Obaj są z „Solidarności”, w tym jeden z rolniczej, mimo, że Łódź jeszcze mniej ma z rolnictwem wspólnego, niż Warszawa, w której administracyjnych granicach jest przynajmniej jeden PGR. Niewiele to jednak pomaga. „Solidarność” Rolników Indywidualnych wyraźnie chce osiągnąć status jedyne go prawdziwego i konsekwentnego reprezentanta interesów rolników, podobnie jak OPZZ, który chciałby osiągnąć monopol w reprezentowaniu interesów robotników. Przy czym obie organizacje zaczyna

coraz wyraźniej łączyć wspólnota podobnego stylu działania – radykalizm żądań, demagogia uzasadnień i łatwość używania argumentu strajkowego szantażu.

Proces rekonstruowania się geografii politycznej Polski na przełomie dziewiątej i dziesiątej dekady ujawnia żywotność wszystkich głównych źródeł poczęcia nowych partii politycznych. Z pewnym uproszczeniem można bowiem wyróżnić trzy zasadnicze typy partii, z punktu widzenia wartości, do których się odwołują: wartość głoszonych ideałów, wartość tradycji, do których się nawiązuje i wartość interesów które się chce reprezentować. Oczywiście typologia ta ma charakter teoretyczny, bo w praktyce konkretnych partii najczęściej mamy do czynienia ze współbrzmieniem wszystkich trzech elementów – ideałów, interesów i tradycji, ale i wtedy nie zawsze traktowane są one równorzędnie. Dla jednych więc najważniejsze, konstytutywne są ideały, w imię których partia chce działać. Najwięcej powstających dziś w Polsce grup politycznych z partyjnymi ambicjami odwołuje się do ideałów liberalizmu, przy czym – niewątpliwie na prawach odreagowywania – częściej akcentuje się tu sferę kontrwartości, na plan pierwszy wydobywając hasło *jak najmniej państwa*. Drugim typem grup politycznych są te, które odwołują się do tradycji partii lub nurtów politycznych istniejących w przeszłości. Najsilniejsza jest tu reprezentacja grup nawiązujących do tradycji endeckich. Wreszcie mamy partie, dla których drugorzędne są ideały i tradycje, a najważniejsze konkretne, grupowe interesy, których partia pragnie być reprezentantem. Klasycznym przykładem takich partii – nie tylko w Polsce – są wszystkie partie chłopskie, silnie zakorzenione w konkretności grupowego interesu. Jest wiele przyczyn, dla których reprezentacja interesu chłopskiego z reguły przybiera instytucjonalną formę partii politycznej, gdy natomiast reprezentacja interesu robotników tradycyjnie ma formę związków zawodowych a nie partii politycznych (którym nawet wtedy gdy w nazwie eksponowały robotniczy charakter nigdy nie udało się w pełni interesów tej klasy reprezentować). Analizowanie tego problemu wykraczałoby poza ramy książki. Sygnalizuję go dlatego, że perspektywa powstania drugiej – jeśli utrzyma się ZSL – silnej partii chłopskiej, która znajdzie się w opozycji wobec rządu, jest możliwa i, raczej, niepokojąca. Rząd Mazowieckiego bowiem mógłby się znaleźć w sytuacji, w której poza parlamentem miałby względnie silną związkową opozycję w fabrykach, w parlamencie zaś opozycję popieraną przez wieś.

Na razie jednak, w 1989 roku, o rządzie Mazowieckiego mówi się w Polsce, że jest to ostatni – i drugi w powojennej historii – rząd wy-

zwalający w społeczeństwie spontaniczne odruchy ofiarności. Wcześniej tylko na nazwisko Gomułki w 1956 roku ludzie wysyłali pieniądze, obrączki. W 1989 roku pracownicy poczty równą uwagą obdarzają listy, które przychodzą z Ameryki, jak i te, które adresowane są na nazwisko premiera. W tych ostatnich bowiem także zdarzają się dolarowe załączniki. Czy oznacza to, że jest to rząd, który cieszy się społecznym poparciem? Niewątpliwie tak. Pod tym względem jest to dzisiaj w Polsce rząd ostatniej i jedynej szansy na wyzwolenie społecznego poparcia i społecznego zaufania. Ale czy rzeczywiście ta waluta – poparcia społecznego – ma tak bardzo decydujące znaczenie, jak się w Polsce lat osiemdziesiątych zwykło sądzić?

6

Kategoria *poparcia społecznego* władzy znajdowała się w centrum zainteresowania wszystkich podejmujących w latach osiemdziesiątych wątek polskich perspektyw. Pojęcia *poparcie społeczne* i *zufanie społeczne* było przez całą dekadę powszechnie używane, by nie rzec nadużywane, a równocześnie były one pojęciami bardzo niejasnymi. W latach osiemdziesiątych w Europie, przykładem silnego, stabilnego rządu jest niewątpliwie rząd brytyjski. Czy można jednak stwierdzić, że ma on szerokie, społeczne poparcie i cieszy się zaufaniem? Rząd pani Thatcher ma wystarczającą przewagę w parlamencie, aby podejmować decyzje, które w ogólnospołecznym plebiscycie prawdopodobnie nie zdobyłyby poparcia większości Brytyjczyków. Jest to zresztą rząd, mający przeciwko sobie wpływowe kręgi społeczeństwa, przede wszystkim środowiska intelektualne (co zdaje się specjalnie nie martwić pani premier).

Wprowadziłem wyżej, prócz pojęcia *poparcia społecznego*, pojęcie inne – *poparcie parlamentarne*. Oczywiście trudno się dziwić, że jeszcze rok temu nie rozróżniało się w Polsce tych dwóch rodzajów poparcia. *Parlamentarne poparcie* dla rządu nie miało żadnego znaczenia. Było mu z góry przypisane, z tytułu samej konstrukcji nominalnie tylko przedstawicielskiego ciała, którym był sejm. Natomiast znaczenie realne miały strajki w fabrykach i manifestacje na ulicach. W tej sytuacji kategoria *poparcie społeczne* mogła być i była adresowana tylko do ewentualnych zbiorowych aktorów pozaparlamentarnej sceny politycznej. Od momentu wyborów 4 czerwca 1989 roku kategoria *poparcia parlamentarnego* nabiera treści nieznanych w dotychczasowym systemie

politycznym. Nie znaczy to rzecz jasna, że owo szersze pojęcie poparcia społecznego traci na znaczeniu w momencie, gdy odzyskuje znaczenie pojęcie poparcia parlamentarnego. Warto sobie jednak uzmysłwić, że nie są one tożsame.

W normalnych warunkach państwa parlamentarnej demokracji, społeczne poparcie dla rządu – lub jego brak – daje skutki odłożone w czasie, bo ujawniają się one dopiero w momencie wyborów do parlamentu. Jest więc ono istotne perspektywicznie. Doraźnie ważne jest poparcie parlamentarne.

Poparcie społeczne jest w demokracjach parlamentarnych efektem wiarygodności władzy a nie zaufania do niej. W polityce wiarygodność się zdobywa, zaufanie się otrzymuje. To pierwsze jest wartością, którą władza sobie wypracowała, potwierdzoną skutkami jej działań. Wiarygodność jest *a posteriori* formułowaną oceną. To drugie – zaufanie – jest darem apriorycznym, wartością udzielaną na kredyt. Nie jest ono efektem wiedzy, lecz wiary.

Dla systemu politycznego opartego o ideologię, istotne znaczenia ma właśnie kategoria zaufania a nie wiarygodności. Ideologia odwołuje się bowiem do celów, których osiągnięcie obiecuje w przyszłości. Wiarygodność nie ma tu zastosowania. Stąd tak wielkie znaczenie mają wszystkie możliwe, często magiczne formy odnawiania obietnicy, którą daje ideologia i zaufanie, którymi masy obdarzać mają jej depozytariuszy, bo zaufanie do nich, do władzy jest równocześnie wyrazem obowiązkowej wiary w ideologię.

W naszej powojennej historii mieszałyśmy chwile, w których władza cieszyła się mniejszym lub większym ale rzeczywiście autentycznym zaufaniem. Nie mieliśmy jednak nigdy władzy, która osiągnęłaby wiarygodność. Nie jest to dobre doświadczenie, co gorsza jednak, od 1956 roku fundamentem kredytu zaufania dla nowej władzy w każdym przypadku była silna i powszechna negacja jej poprzedniczki. Nowa władza dostawała ów kredyt dlatego, że jej przyjsie wiązało się z obaleniem starej, która symbolizowała wszystko, co nienawistne i złe. Jeśli zło nie ustępowało szybko – a w praktyce wcześniej czy później zawsze przecież to zło wracało – brakło zaufanie i miejsce nadziei na zmiany zajmowało defetystyczne przekonanie, że tego systemu zreformować ani zmienić nie można.

W państwie demokracji parlamentarnej najczęściej bywa tak, że nowy rząd w pierwszym okresie swej działalności traci na popularności w społeczeństwie, jakby zużywając udzielony mu w wyborach kredyt zaufania. Utrzymuje jednak wystarczającą dla rządzenia przewagę po-

parcia parlamentarnego, co pozwala mu pod koniec kadencji zyskać – lub nie zyskać – społeczną wiarygodność. Tej ostatniej bowiem nie zdobywa się obietnicami, ale zawsze rezultatami decyzji, z których nie wszystkie bywają w momencie ich podejmowania popularne.

W 1989 roku popularne są w Polsce tylko hasła, natomiast w sprawach najważniejszych – gospodarczych – nie ma popularnych decyzji. Hasło urynkowania gospodarki zdaje się mieć samych zwolenników, ale w przełożeniu na decyzje oznacza ono konieczność rozbijania monopolu, zamykania nierentownych przedsiębiorstw i podnoszenia cen dotowanych dotychczas artykułów. Hasło restrukturyzacji nie ma jawnych przeciwników, ale oznacza ono zablokowanie strumienia środków płynących na górnictwo, hutnictwo, przemysł ciężki i część metalowego. W wyniku takich decyzji wiele przedsiębiorstw będzie musiało zbankrutować a inne będą mogły stanąć przed koniecznością obniżania zarobków swoim pracownikom. Konieczność popierania przedsiębiorczości i równouprawnienia wszystkich sektorów nie budzi niczych zastrzeżeń, ale oznaczać musi społeczne przyzwolenie na istnienie sprawiedliwych nierówności a nawet nierówności niesprawiedliwych.

W podstawowym pytaniu w Polsce 1989 roku nie chodzi o to czy rząd ten będzie miał kredyt zaufania. Pierwsze półrocze 1990 roku dostarczy zresztą dowodów na istnienie ogromnego kredytu zaufania do tego rządu a przede wszystkim do Mazowieckiego. Podstawowe pytanie brzmi – czy stanie się on pierwszym w powojennej historii Polski rządem, który zdobędzie wiarygodność, a więc mówiąc inaczej, czy będzie mu dany czas na to, aby doczekać korzystnych skutków niepopularnych decyzji, które będzie musiał podejmować. Przy czym paradoksalność sytuacji okresu przejściowego – między konfliktem a zmianą – polega na tym, że jest to rząd, który ma silne i względnie nawet stabilne zaplecze poparcia społecznego, przy niestabilnym zapleczu parlamentarnym, czy – określając szerzej – politycznym.

7

Rok 1990 przynosi zapoczątkowanie radykalnej reformy gospodarczej zejście ze sceny politycznej PZPR, pierwsze poważne konflikty w łonie *obozu nowej władzy*, pierwsze dramatyczne strajki robotnicze, z którymi nowa władza musi się uporać, oraz wybory do samorządu terytorialnego.

PZPR rozpada się na dwie partie – Unię Socjaldemokratyczną, która odcina się od przeszłości PZPR rezygnując z wszelkich praw do dziedziczenia po niej majątku, oraz Socjaldemokrację Rzeczypospolitej Polskiej, która traktowana jest jako kontynuatorka PZPR. Zmienia to radykalnie geografię polityczną Polski rzeczywiście czyniąc ustalenia „okrągłego stołu” bezprzedmiotowymi. Nie istnieją już bowiem siły polityczne, które ów wypracowany w Magdalence układ zabezpieczały. Do newralgicznych z punktu widzenia starego systemu resortów – obrony narodowej i spraw wewnętrznych – wchodzi ludzie z niedawnej opozycji, milicja staje się policją, prokuratorzy poddani zostali weryfikacji politycznej, SB zastąpiona zostaje Urzędem Ochrony Konstytucji.

Zmiany te osłabiają pozycję Jaruzelskiego jako prezydenta. O Siwickim (MON) i Kiszcza (MSW) przestaje się nawet mówić. Tematem staje się natomiast urząd zajmowany przez Jaruzelskiego. Z pozoru może to się wydawać logiczne. Racje przemawiające za wyborem Jaruzelskiego na ten urząd przestają istnieć. Jego osoba nie jest już potrzebna jako gwarancja neutralności sąsiadów (przede wszystkim wschodniego) nie jest także zabezpieczeniem przed ewentualną nielojalnością starych aparatów (wojska i służb wewnętrznych). Politycznie Jaruzelski staje się indywidualnością a nie reprezentantem jakichkolwiek sił politycznych, co gorsza jest człowiekiem obciążonym złą przeszłością, który wprowadził w Polsce stan wojenny a w 1990 roku jest także jedynym w ekskomunistycznej części Europy przywódcą komunistycznym, który pozostaje na scenie. Jego lojalność wobec nowego układu władzy jest oczywista i nikt nie może jej kwestionować, ale – co podnosi Wałęsa – lojalność ta wyraża się przede wszystkim w bierności. Bierność Jaruzelskiego jest jednak na rękę rządowi Mazowieckiego, dla którego zagrożenie przychodzi nie od tej strony, z której spodziewano się go w 1989 roku, ale ze strony obozu Wałęsy.

Kampania, która rozpoczyna się w 1990 roku pod hasłem *Wałęsa na Belweder* interpretowana jest powszechnie jako otwarcie jawnego już konfliktu Wałęsa – Mazowiecki. O co chodzi w tym konflikcie? Z pozoru w dużej mierze jest to prestiżowy konflikt o władzę, a w każdym razie jako taki stara się go przedstawić propaganda rządowa. Wkrótce po deklaracji Wałęsy zapowiadającej potrzebę tzw. przyspieszenia (nie do końca wiadomo o jakie przyspieszenie chodzi) oraz jego gotowość kandydowania na fotel prezydenta (prezydent, który nie przeszkadza ta za mało), ukazują się w prasie wyniki badań opinii publicznej, z których można się dowiedzieć, że społeczeństwo zdecydowanie wybrałoby na

prezydenta Mazowieckiego, Wałęsę zaś, jako kandydat na ten urząd, liczyć może na poparcie mniejsze nawet niż Jaruzelski.

Kwestia prezydenta jest w gruncie rzeczy drugorzędna, choć najbardziej spektakularną płaszczyzną konfliktu. Sugerować ona może, iż chodzi o władzę samego Wałęsy oraz – w większym nawet stopniu – tych, którzy nie zmieścili się w rządzie i jego rozbudowanych instytucjach, a kariery swe związali z Wałęsą i związkową „Solidarnością”. Ale związek zawodowy „Solidarność” nie jest już tym samym czym był w 1980 i 1981 roku. Wałęsa sam podkreśla, że wszystkich najlepszych ludzi, tych którymi dysponował aż do 1989 roku, *oddął* na potrzeby nowego rządu i parlamentu. Nowi ludzie, którymi jest w 1990 roku otoczony, są już ludźmi innego – o wiele mniejszego – formatu, ale także innej formacji. Dawni byli ideowymi – a równocześnie w większości wybitnie inteligentnymi – bojownikami o władzę, nowi są częściej konsumentami zdobytej już władzy. O jednych i drugich mówi się *doradcy*, co w przypadku Wałęsy niezbyt dokładnie oddaje istotę współpracy. Wałęsa w mniejszym stopniu potrzebuje doradców, natomiast zawsze potrzebował i potrzebuje nadal interpretatorów precyzujących i uściślających a często po prostu werbalizujących jego intencje i pomysły, które posuwa mu genialna polityczna intuicja. Niestety teraz Wałęsie takich interpretatorów brakuje.

W połowie 1990 roku rodzi się na scenie politycznej nowa linia podziału. Z jednej strony mamy Wałęsę i Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność”, Porozumienie Centrum i tygodnik „Solidarność”, z drugiej zaś występują Mazowiecki i jego rząd, liderzy OKP na czele z Geremkiem, oraz „Gazeta Wyborcza”, którą kieruje Adam Michnik. To, co wcześniej przewidywałem, a więc, że spoistość „Solidarności” nie wytrzyma próby – nie tyle czasu, co próby władzy – sprawdza się wcześniej niż można było oczekiwać. Prawdopodobnie różnice nie ujawniłyby się tak szybko i nie przerodziły w stan jawnego konfliktu, gdyby nie świadoma polityka Wałęsy.

W pracy tej zajmuję się tylko pewnymi, świadomie wybranymi aspektami aktualnej sytuacji politycznej Polski, nie zamierzam więc wchodzić w bardziej szczegółowe przedstawianie czy analizowanie działań głównych aktorów. Warto jednak pokusić się o odsłonięcie istoty owego konfliktu, która nie zawsze związana jest z intencjami zaangażowanych w ten konflikt stron, a być może nawet nie zawsze jest przez nich uświadamiana.

Istotą konfliktu jest kwestia wyboru drogi do demokracji. Dla rządu Mazowieckiego i ludzi wokół niego skupionych gwarancją procesów de-

mokratyzacyjnych zdaje się być przede wszystkim utrzymanie władzy przez rząd, który wyrósł z opozycji demokratycznej bo wyłoniony został przez „Solidarność”. Zagrożenia dostrzega on w ewentualnym niepowodzeniu programu reform gospodarczych Balcerowicza, którym zagrożić mogą populistyczno-rewindykacyjne nastroje społeczne, wyczerpanie się zasobów ludzkiej cierpliwości a wreszcie tendencje odśrodkowe występujące w „Solidarności” i w ruchu Komitetów Obywatelskich. Obóz Mazowieckiego – używając tego symbolicznego określenia – zainteresowany jest więc w utrzymaniu za wszelką cenę jedności dawnego, opozycyjnego a dziś rządzącego, ruchu. Nie ma on innego politycznego zaplecza bo nie jest to rząd wyłoniony przez mechanizm politycznej demokracji. Cieszy się ogromnym poparciem społecznym, ale nie ma stabilnego, parlamentarnego zaplecza partii, która wygrała wybory i teraz skazana jest na zdyscyplinowane popieranie rządu, który wyłoniła. Demokratyczny system parlamentarny wiąże bowiem partie z rządem i rząd z partią. Tylko wygrywająca wybory partia (lub partie zawiązujące koalicję) powołuje rząd, ale klęska rządu pociąga za sobą klęskę partii. Pod tym względem relacja „Solidarność” – rząd Mazowieckiego przypomina jeszcze relację PZPR – poprzednie rządy, kiedy mogli być zmieniani premierzy, ale PZPR nie mogła przegrać.

Wałęsa, który nigdy nie wypowiadał się precyzyjnie, a dzisiaj ma doradców i wykonawców, którzy nie potrafią (a bywa, że nie chcą) jego intencji sprecyzować – patrzy dalej. On jeden zdaje się dostrzegać niebezpieczeństwo neototalitaryzmu niedawnego jeszcze antytotallitarnego ruchu, który objął w Polsce władzę. Szermuje on hasłem *przyspieszenia zmian*, które niektórzy pojmują, jako postulat walki z resztkami starej nomenklatury i wyrzucenia z fotela Jaruzelskiego, ostatniego człowieka ancient regimu. Wałęsa pozwala w ten sposób interpretować swoje słowa, często nawet dostarcza pożywki do takiego rozumienia jego intencji. Można sądzić, że przede wszystkim dlatego, iż takie hasła w 1990 roku są wciąż jeszcze popularne. W gruncie rzeczy jednak zdaje się on zdawać sobie sprawę z faktu, że ruch społeczny nie może być nigdy i nigdzie zapleczem demokracji. Demokracja wymaga innej zabudowy sceny politycznej i stworzenia warunków dla rywalizacji partii politycznych.

Sytuacja polityczna w Polsce w 1990 roku jest zaś pod tym względem specyficzna. Istnieją partie, z których liczebnie najsilniejsze są te, które – jak Stronnictwo Demokratyczne, Polskie Stronnictwo Ludowe czy nawet obie socjaldemokracje – są pozostałością starego systemu. Ale ich znaczenie jest znikome. Wraz z KPN, Unią Polityki

Realnej, partiami narodowymi, chadeckimi i wielu innymi (ok. 80) nowymi stronnictwami, partiami i klubami politycznymi są raczej folklorem politycznym niż rzeczywistymi podmiotami życia politycznego. Rzeczywistą siłą, która monopolizuje w 1990 roku władzę w Polsce są Komitety Obywatelskie popierane przez Kościół.

Tym razem nie można już, jak zaraz po czerwcowych wyborach, podjąć próby ich zlikwidowania. Zresztą w 1990 roku ich likwidacja stworzyłaby próżnię polityczną, której nie byłoby czym i jak wypełnić. Wałęsa więc chce, aby stały się one zapleczem dla pluralizmu, dla starych i nowych partii politycznych, a nie ruchem politycznym będącym zapleczem dla rządu. W czerwcu 1990 roku spotyka się nawet oficjalnie z przywódcami SD i PSL „Odrodzenie” co wywołuje pełne oburzenia komentarze.

Wałęsa wie, że bez pluralizmu nie ma demokracji, stara się więc przyspieszyć proces przemian, które do pluralizmu politycznego prowadzą. Mazowiecki, Geremek, Michnik i inni byli doradcy Wałęsy, którzy dziś skupieni są w *obozie rządowym*, pluralizmu tego się obawiają i chcieliby utrzymania jedności ruchu, który wyzwolił Polskę z komunizmu i wyniósł ich do władzy. Rzecz jasna nie są oni przeciwnikami demokracji. Paradoksalność sytuacji właśnie na tym polega, że w Polsce 1990 roku pod sztandarami demokracji, i nawet demokratycznymi metodami, przy budzącej szacunek demokratycznej filozofii rządzenia, starają się oni utrwalić stan w którym demokracja rzeczywista jest niemożliwa, wówczas gdy Wałęsa z drażniącym kultem własnej osoby, demonstrując metody dalekie od demokratycznej kultury, wodzowskie i autokratyczne, dąży do stworzenia warunków, w których demokracja byłaby możliwa.

Z tego punktu widzenia charakterystyczne i wymowne jest porównanie tego, co o rządzie mówi Wałęsa, z tym, co eksponują ośrodki rządowej propagandy. Wałęsa raz mówi, że rząd popiera, tylko go popędza, innym razem daje do zrozumienia, że ten rząd mu się nie podoba. Jego wypowiedzi na temat rządu cechuje zastanawiająca i właśnie znacząca ambiwalencja.

Propaganda rządowa eksponuje natomiast *ideologię wspólnego domu*. Szczególnie silnie – co zrozumiałe – ideologię tę nagłaśniano w okresie strajków kolejarzy w maju 1990 roku. Strajki te – argumentowano w środkach masowego przekazu, przede wszystkim w telewizji – są niedopuszczalne właśnie dlatego, że *mamy wreszcie swój rząd, swoje państwo i jesteśmy wreszcie w swoim własnym domu*. Zapewne nie zdawano sobie sprawy z faktu, że argumentacja ta jest kalką tych racji,

które przytaczała dawna, komunistyczna władza, dowodząc, że robotnik nie może strajkować przeciwko robotniczemu państwu. Pomysł na sytuację, w której wszyscy ten rząd, tę władzę, która aktualnie jest, będą uważali za swoją własną, którą powinno się popierać, jest lirycznym pomysłem komunistów. Pomysł taki z istoty swej nie mieści się w żadnej naprawdę demokratycznej rzeczywistości. Bo istotą demokracji jest właśnie to, że jedni mogą aktualny rząd zwalczać, gdy inni mogą go popierać. W demokracji nie ma przymusu kochania aktualnej władzy i popierania aktualnego rządu. Eksponowana przez rządowe ośrodki propagandy *ideologia wspólnego domu* – ponieważ nie ma już komunizmu, jest „Solidarność” i rząd Mazowieckiego – zaskakująco przypominała propagandę komunistyczną nie dostrzegając, że dom może być wspólny tylko wtedy, gdy może być domem zarówno dla zwolenników, jak i przeciwników „Solidarności” i Mazowieckiego. W przeciwnym wypadku bowiem rychło musiałoby się okazać, że w tym rzekomo wspólnym domu jedni są jego właścicielami, inni mieszkają w nim na prawach głównych lokatorów, reszta zaś skazana jest na sublokatorstwo.

Tak więc oznaki rozłamu w sile politycznej, która z „Solidarności” wyrosła dotyczą centralnego problemu rozważanego w tym właśnie rozdziale - jedności i różnorodności. Jedności, która bez wątpienia jest potrzebna rządowi Mazowieckiego, jeśli ma on osiągnąć wiarygodność, i różnorodności, pluralizmu, który musi się ukształtować, jeśli Polska ma być krajem stabilnej demokracji. I nie jest wcale sprawą przypadku, że konflikt, który zaczął się jako spór o Belweder i urząd prezydenta, ostrości swej nabrał właśnie jako spór o rolę i miejsce Komitetów Obywatelskich w życiu politycznym kraju. Bo właśnie komitety te, w maju 1990 roku, wygrały wybory do samorządu terytorialnego, zdobywając w nich więcej miejsc dla swoich kandydatów niż w przeszłości rezerwowała ich dla siebie PZPR.

Wybory te miały być ostatnim aktem dopełniającym dzieło demokratycznego zabudowywania polskiej sceny politycznej. Co prawda podnosi się także sprawę przyspieszenia wyborów do sejmu i senatu – już tym razem w pełni demokratycznych – oraz wyboru nowego prezydenta (charakterystyczne jest, że potrzebę tę podnosi przede wszystkim *obóz* Wałęsy, a nie Mazowieckiego) – ale wybory do samorządu terytorialnego miały być demokratyzacją ostatnich, najniższych podstawowych ogniw władzy.

Rezultaty wyborów przyniosą w efekcie objęcie i tych – lokalnych – ogniw władzy przez nową siłę, nowy ruch rządzący. Ta nowa siła zdobyła więc władzę niemal równie totalną, jak ta, którą dysponowała

poprzednia władza komunistyczna. Totalizm zaś nowego ruchu może być jeszcze bardziej skuteczny, aniżeli był nim totalizm ruchu komunistycznego. Właśnie dlatego, że ten pierwszy cieszy się rzeczywiście szerokim, społecznym poparciem, o które nawet nie musi zabiegać. Komuniści, mając w swych rękach wszystkie ogniwa władzy musieli, zdając sobie sprawę ze swej niepopularności, czynić gesty świadczące o ich tolerancji i liberalizmie. Musieli kokietować społeczeństwo. Nowa władza mając świadomość swej popularności, czynić tego nie musi. Co więcej – tolerancja, liberalizm narażają ją na zarzuty ze strony radykalnie, antykomunistycznie zorientowanych grup w swoich własnych szeregach.

W rezultacie w 1990 roku mamy w Polsce nowy układ władzy na wszystkich szczeblach wybrany rzeczywiście przez społeczeństwo. Nie ma jednak silnych związków zawodowych zdolnych do obrony pracowniczych interesów i nie ma liczącej się opozycji. Jest więc władza demokratycznie wybrana, która szczerze zapewne chce demokracji, ale nie ma demokratycznego systemu – struktury demokratycznej – i oprócz wyborów nie ma demokratycznych mechanizmów sprawowania, egzekwowania i dyscyplinowania władzy. Pokazuje to, że także z demokracji, a nie tylko z jej rewolucyjnego zaprzeczenia, wyrósć może monostruktura władzy. I takie niebezpieczeństwo istnieje.

Rozdział 8

Polska gminna

O ile samolikwidacja PZPR ma istotne znaczenie dla ostatecznego zburzenia dotychczasowej zabudowy sceny politycznej, o tyle dla nowej organizacji jej przestrzeni decydujące znaczenie mogą mieć wybory do samorządu lokalnego. W IV rozdziale tej pracy stwierdziłem, że wolna gmina jest podstawą wolnego państwa, co oznacza również, że władza w gminie jest podstawą władzy w państwie.

Problem wyborów do samorządu lokalnego staje się tym ważniejszy, że na początku 1990 roku zrewoltowane pozostaje praktycznie jedynie środowisko wsi. Co prawda kilka miesięcy później – w maju 1990 roku – podejmuje strajk a nawet głodówkę grupa kolejarzy, ale ten protest, choć dramatyczny dla rządu, ma charakter incydentalny i spotyka się z wrogością innych grup zawodowych, a nawet kolejarzy z innych regionów kraju. Natomiast do rangi niepokojącego symbolu urasta fakt, że w czerwcu tego roku rząd musi wysłać wojsko przeciwko strajkującym i blokującym drogi chłopom z okolic Mławy oraz usuwać siłą okupujących gmach ministerstwa rolnictwa. Tylko ze środowiska wiejskiego płyną niemal od samego początku ostre ataki na rząd Mazowieckiego, pojawiają się nawet zarzuty, że jest to najbardziej antychłopski rząd w powojennej historii Polski. „Solidarność” Rolników Indywidualnych jest liczebnie słaba nawet w Polsce południowo-wschodniej, która była jej kolebką. Od samego początku, czyli od ukonstytuowania się rządu Mazowieckiego, nie poczuwa się ona w tym stopniu do obowiązku jego wspierania, co „Solidarność” robotnicza. Przede wszystkim jednak nie może zdradzić interesów chłopskich, w które dość silnie uderza reforma gospodarcza Balcerowicza, tym bardziej, że jej konkurentem politycznym jest PSL „Odrodzenie”.

Analiza społecznego krajobrazu Polski na początku dziesiątej dekady wymaga przede wszystkim zwrócenia uwagi na zastanawiające

zjawisko odwrócenia postaw ludzi w mieście i na wsi. Postawy buntu charakterystyczne były dotąd dla ludności miast. Wieś była względnie spokojna i nawet nie zawsze przychylna działaniom zrewoltowanych robotników i opozycyjnej inteligencji. Warto przypomnieć, że strajki w 1981 roku a nawet te niedawne, z roku 1988, przez znaczną część ludności wsi przyjmowane były z nieufnością czy wręcz dezaprobatą.

W 1990 roku jest odwrotnie. Zradykalizowana jest wieś, przy czym miejsce tradycyjnego, chłopskiego indywidualizmu zajmuje tendencja do podejmowania przez rolników zorganizowanych działań zbiorowych. Dlaczego tak się dzieje?

Argumentacja, że sytuacja gospodarcza w 1990 roku najsilniej uderza w chłopów i gospodarstwa rolnicze jest prawdziwa częściowo. Rzeczywiście wystarczy porównać wzrost ceny żywca sprzedawanego przez rolników ze wzrostem ceny mięsa i jego przetworów (nie mówiąc już o cenach artykułów przemysłowych, czy w jeszcze większym stopniu – środków produkcji) aby zdać sobie sprawę, że to nie pazość chłopa nakręca inflację. Tam, gdzie mamy do czynienia z państwowym (spółdzielczym) monopolem, ceny rosną błyskawicznie i bez żadnego poczucia ekonomicznej odpowiedzialności. Prywatny a tym bardziej indywidualny producent musi operować ceną, która zostanie zaakceptowana przez nabywców. On nie może powiedzieć – *najwyżej się zmarnuje a taniej nie sprzedam*. Taka postawa prywatnego wytwórcy byłaby już nie postawą nieekonomiczną ale rewolucyjną – postawą buntu. Dlatego w 1990 roku rolnicy są skłonni do przyjmowania takich postaw i zdarza się, że mówią *niech się zmarnuje a nie sprzedam*?

Pisałem już wcześniej, że chłopci byli jedyną warstwą społeczną, która w porównaniu z okresem międzywojennym zyskiwała. Dotyczy to całego okresu powojennego, także lat przed rokiem 1956, w którym rozładowane zostało tragiczne przed wojną przeludnienie i związane z nim bezrobocie na wsi. Dopiero obecnie wieś nic nie zyskuje a tylko traci, przy czym pogarsza się sytuacja ekonomiczna wszystkich typów gospodarstw rolnych – dużych i małych, biednych i bogatych.

Im większy jest radykalizm postaw, tym większa tendencja do ich *uspołeczniania*, czyli do podejmowania zorganizowanych, zbiorowych form protestu. Sprzyja temu również fakt, że społeczność chłopska nie jest strukturą płynną i amorficzną. Komunizm – przynajmniej w Polsce – nie pozbawił chłopca własności, a całej warstwy chłopskiej świadomości interesu grupowego. Można by się z tego cieszyć, gdyby nie łyżka dziegciu psującego smak całego. Wieś obroniła swoją strukturę społeczną przed rozbiciem, ale równocześnie obroniła ją z całym,

także negatywnym dziedzictwem, w którym zostało zachowane prawo istnienia gospodarstw biednych, zacofanych, z trudem utrzymujących się na poziomie ekonomicznej wegetacji. Wraz z obroną prywatnej, rodzinnej własności ziemi, obroniona została także zacofana struktura ekonomiczna i społeczna polskiej wsi, która dzisiaj okazuje się kryzysogenna i sprzyja rodzeniu się postaw zrewoltowanych. Dominują w niej bowiem właśnie gospodarstwa zacofane, o poszatkowanych gruntach, produkujące wszystko po trochu, drogo i mało. Te gospodarstwa są ekonomicznie rachityczne nawet, jeśli w obejściu stoi traktor i polonez.

W gospodarstwa rolne w 1989 roku i na początku 1990 uderza przede wszystkim inflacja a nie reforma Balcerowicza, która za cel główny i pierwszy przyjmuje jej zduszenie. Inflacja uderza we wszystkie typy gospodarstw ale z różną siłą. Później, już po przytłumieniu inflacji uderza w nie bariera popytu.

Z dwóch powodów inny jest próg tolerancji na pogarszającą się sytuację ekonomiczną właściciela gospodarstwa zacofanego i biednego, inny zaś nowoczesnego i bogatego. Pierwszy powód jest oczywisty – bogaty łatwiej przetrzyma trudny czas. Ale drugi powód jest ważniejszy. Dla właściciela nowoczesnego, bogatego gospodarstwa cena radykalizmu jest zbyt wysoka. Chce czy nie chce, musi się pogodzić z sytuacją bo jego możliwości protestu są bardzo ograniczone. Właściciel dużej chlewni, w którą zainwestowany jest poważny kapitał, musi sprzedać swoją produkcję poważnemu, hurtowemu odbiorcy. Nie może sobie pozwolić na kramikarską, samodzielną sprzedaż na bazarze, ani nawet na przetrzymywanie tuczników kilka tygodni w oczekiwaniu na wyższą cenę. Na postawę buntu – *niech się zmarnuje a nie sprzedam* – bardziej podatny jest rolnik, który ekstensywnie hoduje dwie, trzy świnię. Niestety, takich jest w Polsce większość.

I na koniec jeszcze jeden, wcale niebłahy czynnik działający na rzecz radykalizacji nastrojów chłopskich. Nie ma podstaw by sądzić, że w 1990 roku mieszkańców wsi mniej niż innych cieszy korona na głowie orla, czy likwidacja konstytucyjnego zapisu o kierowniczej roli partii komunistycznej. Tylko, że chłop na codzień borykał się nie tyle z kierowniczą rolą partii komunistycznej, ile z monopolistyczną rolą komunistycznej rzeczywistości ekonomicznej, która przybrała kształt monopolu pseudospółdzielczego aparatu skupu i zaopatrzenia, urzędników gminnych i likwidatorów szkód PZU. Borykał się z nią w przeszłości i boryka nadal. Można co prawda powiedzieć, że choć dawny system polityczny należy już do przeszłości, stary system ekonomiczny jeszcze trwa i w 1990 roku doskwiera wszystkim, zarówno mieszkańcom wsi jak

i miast. Ale na wsi stary system polityczny można było od biedy – przynajmniej po 1956 roku – ignorować. Drugiego – systemu ekonomicznego – ignorować się nie dało, bo dotyczył on samych podstaw egzystencji. W 1990 roku więc dla rolnika jeszcze nic się nie zmieniło. Dla niego bowiem najważniejszy pluralizm nie jest pluralizmem partii politycznych, ale pluralizmem mleczarni i masarni, młynów i przedsiębiorstw handlowo-usługowych. I dopóki to się nie zmieni, będzie on miał uzasadnione poczucie, że ma do czynienia z tym samym systemem – tyle, że z koroną.

1

W porównaniu ze społecznością wiejską, miejska przypomina w 1990 roku aktora, który odegrał już swoją wielką, życiową rolę i nie mając nowych propozycji żyje wspomnieniami minionych sukcesów. Zniknął główny, a w pewnym sensie nawet jedyny czynnik integrujący sporą część społeczeństwa miejskiego – świadomość opozycji i konfliktu.

Postawa opozycji ewoluowała i dojrzewała w poszczególnych okresach powojennej historii Polski. W połowie lat pięćdziesiątych była przede wszystkim opozycją wobec „wypaczeń socjalizmu”, później była już opozycją przeciwko systemowi politycznemu (opozycja demokratyczna) by wreszcie stać się opozycją nie tylko przeciwko systemowi politycznemu ale i całej uzasadniającej go ideologii, czyli po prostu i bez żadnych osłonek – przeciwko komunizmowi.

Istotne jest tu stwierdzenie dominującej roli tego właśnie czynnika w integrowaniu społeczności miejskiej. Jest ona bowiem u nas strukturą płynną i amorficzną o zatartych granicach wspólnoty i opozycji interesów grupowych. Walec upaństwowienia przejechał przez tradycyjnie zróżnicowaną i względnie przejrzystą strukturę społeczną miasta czyniąc z większości jego mieszkańców po prostu pracowników etatowych. Ich nie można utożsamiać ani z dawnymi pracownikami najemnymi ani z dawnymi pracownikami państwowymi.

Pracownik etatowy to kategoria, która obejmuje tak wielu, że w sensie socjologicznym nie znaczy prawie nic. Na etacie pracuje się w sklepie i fabryce, w instytucie naukowym i w urzędzie. Kto nas, jako pracowników etatowych zatrudnia? Dawny pracownik najemny dobrze wiedział kto. My wiemy, że państwo. Dopóki rządili nim oni, sprawa była względnie jasna. Jak lapidarnie określił sytuację jeden z moich znajomych – teraz jest o tyle gorzej niż było, że nie ma na kogo kłąć.

Nie ma już *onych* (przynajmniej dla większości, która 4 czerwca 1989 roku głosowała za tym, co się w Polsce stało).

O ile na wsi mamy więc w 1990 roku do czynienia z radykalizacją postaw, wśród miejskich „pracowników etatowych” dominującą jest postawa będąca mieszaniną strachu, zaufania i nadziei (najsilniej ten strach czuje się w Warszawie, czemu dziwić się trudno – w końcu stolica kraju była równocześnie metropolią dawnego systemu). O ile na wsi zętknąć się można z postawą *niech się zmarnuje a nie sprzedam*, w mieście względnie częściej mamy do czynienia z aktami pięknej i wzruszającej ofiarności. Nadzieja i zaufanie, a nawet sama ofiarność, choć cenne i potrzebne, nie przetwarzają się jeszcze w żaden zryw aktywności. W przeważającym stopniu dają cierpliwość – ale cierpliwość bierną. Kontrastująca z cierpliwością miasta niecierpliwość wsi także jednak nie przetwarza się w aktywność zmieniającą ekonomiczny i społeczny krajobraz Polski. Z tego wszyscy zdają sobie sprawę i jest to dodatkowy – chociaż chyba nie główny – argument za przyspieszeniem wyborów do samorządu lokalnego.

O ile dla destrukcji starego systemu politycznego decydująca była aktywność Polski wielkomiejskiej i wielkoprzemysłowej, o tyle dla zagospodarowania nowej przestrzeni politycznej decydująca będzie aktywność Polski gminnej.

2

Z badań prowadzonych w ramach programu „Rozwój regionalny – Rozwój lokalny – Samorząd terytorialny” przez zespół którym kierował Wiesław Gomuła, wynika, że do maja 1990 roku jedyna poważniejsza zmiana w układzie gminnym dokonała się jeszcze na długo przed zapoczątkowaniem polskiego spektaklu przebudowywania sceny politycznej¹. Zmiana ta jest pochodną rozpadania się wieloszczeblowej monostруктуры władzy o której pisałem wcześniej, a w każdym razie rozluźniania się więzów zależności między poszczególnymi jej szczeblami.

Elita władzy gminnej autonomizuje się już w okresie realizowania reformy gospodarczej przez rząd premiera Messnera, a więc mniej więcej od połowy lat osiemdziesiątych. Jest to efekt z jednej strony świadomych posunięć decentralizujących ówczesnego rządu, z drugiej

¹ *Władza lokalna wobec centrum*, Rzeszów 1989.

zaś – i być może w większym nawet stopniu – wynik erozji autorytetu wszystkich instytucji władzy ówczesnego systemu. Przy czym owa względna aunotomizacja gminnej elity władzy jest zmianą sytuacji bez zasadniczej, głębszej zmiany kształtujących ją mechanizmów. Stwierdzenie to wymaga wyjaśnienia.

Elita władzy lokalnej może swe poczucie legitymizacji czerpać albo z poparcia społeczności lokalnej, albo z poparcia władz nadrzędnych – wojewódzkich i centralnych. Twierdzenie, że dla gminnej *nomenklatury* jedynie liczące się było ostatnie, pierwsze zaś nie miało znaczenia, ma charakter prostacko propagandowy. Sytuacja pod tym względem była zawsze o wiele bardziej zróżnicowana. U jednych naczelników gmin przeważała orientacja na społeczność lokalną, u innych – na akceptację i poparcie *góry*, przy czym – jak wynika ze wspomnianych wcześniej badań – jedyna zależność, którą daje się tu ustalić wynika z jednostkowych cech osobistych. Ale wydaje się, że ta niemożność ustalenia jakichś ogólniejszych reguł zależności między wyborem jednej lub drugiej orientacji jest właśnie znacząca. Świadczy ona bowiem o daleko już posuniętym, przynajmniej w latach osiemdziesiątych, uwiądzie normotwórczej siły całego systemu politycznego.

Uwład ten zapoczątkowany został już wcześniej, w latach siedemdziesiątych, wraz z postępującą dezideologizacją państwa a nawet komunistycznej partii. W latach osiemdziesiątych słabość bez mała wszystkich szczebli monostruktury władzy ostatecznie przestaje już skłaniać do przyjmowania orientacji na *góre*, na nadrzędne szczeble władzy. Nie znaczy to jednak, że rośnie znaczenie oddolnego, społecznego poparcia. W przeprowadzonych badaniach – jak pisze Gomuła – *daje się zauważyć zjawisko polegające na tym, że lokalny układ władzy sam dla siebie staje się źródłem potwierdzenia. Do utrzymania się w lokalnym układzie władzy nie jest potrzebna ani akceptacja gminnej społeczności, ani akceptacja władz zwierzchnich. Wystarcza wzajemna akceptacja ze strony innych członków lokalnego układu władzy*².

Stan ten umacniany jest przez specyficzny sposób rodzenia się inicjatyw i podejmowania decyzji. Miejscem krystalizowania się i uzgadniania inicjatyw nie jest bowiem gminna rada narodowa, która stanowi tylko instytucję legalizującą decyzje uzgodnione wcześniej i gdzie indziej. Najczęściej są to zebrania w komitetach partii politycznych (PZPR i ZSL), doraźnych komitetów budowy w czynnie społecznym jakiś obiektów, na spotkaniach PRON etc. Tam bowiem spotykają się

²tamże, s. 163.

ze sobą ludzie z elity władzy (liderzy instytucji) oraz ludzie z elity wpływu (liderzy grup interesów).

W praktyce więc najwięcej zależy od osobistych postaw, indywidualnych predyspozycji, aspiracji i uznawanych wartości poszczególnych członków gminnych elit władzy. Jeden ma ambicje bycia „dobrym gospodarzem” swego terenu, innemu jest to obojętne, jedni naczelnicy więc gospodarzą dobrze, inni źle; jednym zależy na opinii mieszkańców, dla kogoś innego ma to mniejsze znaczenie. Nie ma bowiem w całym systemie władzy lokalnej mechanizmów odrzucających jedne postawy i preferujących inne, z punktu widzenia systemu pożądane. Takie mechanizmy mogą się zrodzić albo w systemie podporządkowanym silnemu centrum (którego już nie ma) albo w systemie selekcji przez samą społeczność (którego jeszcze nie ma).

Wybory do samorządu lokalnego mają więc z tego punktu widzenia ogromne znaczenie. Są one, czy raczej mogą być, pierwszym aktem zapoczątkowującym kształtowanie się demokratycznego mechanizmu wyłaniania i dyscyplinowania kadr.

Na mechanizm demokracji składają się rzecz jasna oba czynniki – wyłaniania nowych ludzi i dyscyplinowania już wyłonionych, pełniących swoje role. Rozróżnić i oddzielić je od siebie można tylko teoretycznie. Ale nie są one równorzędne we wszystkich układach społecznych. Pisałem już wcześniej, omawiając deklarowany po każdym przełomie proces „poszerzania bazy rządzenia”, że szeroko pojęta monostruktura władzy w końcu lat siedemdziesiątych wchłonęła w siebie bez mała wszystkich, którzy mieli predyspozycje do działania społecznego i politycznego oraz chcieli je realizować. Dotyczyło to także ludzi nastawionych krytycznie wobec systemu ale nie przyjmujących postawy odmowy uczestnictwa. Jest jednak prawdą, że w dużych ośrodkach miejskich ludzi, którzy odmawiali uczestnictwa było coraz więcej.

W niewielkim stopniu dotyczy to jednak małomiasteczkowych a przede wszystkim wiejskich społeczności gminnych. Przyczyna odmienności polega na tym, że – mówiąc obrazowo – gmina jest bliżej życia a dalej od ideologii i to, przynajmniej w dwojakim znaczeniu. Po pierwsze więc w gminie nie ma warunków dla wyciągania praktycznych konsekwencji z postawy ideologicznego odrzucania systemu. Brakuje tutaj „nisz społecznych”, które w dużych centrach miejskich dawały schronienie ludziom o zdeklarowanie opozycyjnych poglądach i przyjmujących zgodne ze swymi przekonaniem postawy praktyczne. Nie jest sprawą przypadku, że w aktualnym, „solidarnościowym” układzie władzy tak

wielu jest ludzi ze środowiska nauki i wolnych zawodów. Właśnie one bowiem były najlepszą i bezpieczną „przechowalnią” czynnych a w każdym razie konsekwentnych opozycjonistów. W środowiskach inteligencji gmin było procentowo dużo więcej członków PZPR aniżeli wśród inteligencji dużych ośrodków miejskich. Fakt, że wśród pracowników administracji stosunkowo duży był procent członków PZPR jest zrozumiałe i oczywiste. Ale w gminie dotyczy to także kadr nauczycielskich. Wśród nauczycieli na wsi i w dużych miastach więcej było członków partii niż bezpartyjnych, nawet wśród ludzi młodych. Oczywiście nieporozumieniem byłoby twierdzić, że ludzie w środowisku miejskim i małomiasteczkowym bardziej podatni są na zachowania oportunistyczne. Przyczyna nie tkwi w ludziach lecz w środowisku. W kręgu małych, lokalnych wspólnot konformizujący ludzkie zachowania przymus jest o wiele silniejszy niż w dużych aglomeracjach miejskich. Dotyczy to wszystkich sfer życia – w równym stopniu sfery obyczajowej, jak i postaw politycznych.

Jest i druga przyczyna owego *blżej życia – dalej ideologii*. W społeczności gminnej wszyscy lub prawie wszyscy są z tego samego kręgu bliższego czy dalszego sąsiedztwa co sprawia, że opisywany przeze mnie wcześniej dystans ideologicznego oddzielenia władzy od społeczeństwa ma tu mniejsza rację bytu ustępując miejsca silniejszemu niż w dużych miastach „spokrewnieniu” władzy ze społeczeństwem.

Przedstawiciele władzy nie są bowiem anonimowi, kategoria *oni* nie może się więc do nich odnosić. Ideologicznie ostra kategoria komunizmu i komunistów, którzy uosabiają całe zło systemu najczęściej nie ma tu zastosowania. Władza jest pragmatyczna, uwikłana w codzienność. Cała sfera ideologicznych uzasadnień systemu brzmi dla ludzi z elity władzy niemal równie obco i fikcyjnie, jak i dla ludzi spoza jej kręgu. Społecznie wyobcowująca kategoria komunisty nie ma ponadto zastosowania do ludzi osobiście znanych, o których się wie, że są uczciwi, albo przeciwnie – nieuczciwi, co jednak także ma charakter osobowy. Ta sama codzienność, w którą uwikłani są wszyscy może dostarczyć okazji do sytuacji konfliktowych, może ludzi nawet dzielić, ale ich nie oddziela. Członkowie elit władzy oraz elit wpływu nie żyją w innym – wydzielonym – świecie społecznym, jak ma to miejsce w środowiskach wielkomiejskich. W tej sytuacji zdeklarowanemu i konsekwentnemu opozycjonście trudno znaleźć miejsce dla siebie. Może być jedynie outsiderem – obcym, odmieniec, obdarzanym raczej nieufnością aniżeli akceptacją czy podziwem.

W rezultacie więc znajdzie się w Polsce gminnej wielu ludzi pre-

dysponowanych do działania społecznego i politycznego, którzy na początku 1990 roku znajdowaliby się poza lokalnym układem władzy. Większość z tych, którzy chcą i potrafią działać jest w elicie władzy albo w elicie wpływu, przy czym elity wpływu z reguły rekrutują się z członków poprzednich elit władzy. W tej sytuacji przyjęcie założenia, iż przyszłe wybory samorządowe doprowadzić powinny do pełnej wymiany kadr i usunięcia całej dotychczasowej nomenklatury grzeszy nieznajomością realiów Polski gminnej.

Mechanizm demokracji, który na wyższych piętach władzy może mieć w pierwszym rzędzie charakter nowego narzędzia selekcji, dzięki któremu nowi ludzie zastąpią dotychczasowych, tu może i powinien mieć w pierwszym rzędzie charakter dyscyplinujący – selekcyjny zaś w drugiej kolejności. Trzeba się bowiem liczyć z faktem, że nie wszędzie będzie sensowne czy nawet możliwe zastąpienie *starych nowymi*, natomiast w efekcie uruchomionego mechanizmu demokracji nawet *starzy* będą musieli inaczej, *po nowemu* działać. Pozostaje jednak pytanie czy zechcą i czy będą umieli?

3

Badania, które były przeprowadzane w ramach programu dostarczają pewnych przesłanek do próby udzielenia odpowiedzi na to pytanie. Tam, gdzie lokalna władza działa dobrze i skutecznie, jej aktywność miała miejsce na przekór uwarunkowaniom systemowym. W latach osiemdziesiątych inicjatywy lokalne nie są już odgórnie hamowane ani nawet kontrolowane – nie są także jednak popierane. Sytuacja względnego paraliżu systemu politycznego sprawia, że bierność jest bezkarna, aktywność zaś nieopłacalna. Oto opinia jednego z naczelników gminy przekazana ankietatorowi w trakcie przeprowadzania wywiadu: *na przykład nie leży w interesie naczelnika poparcie czynu społecznego. Cóż z tego, że społeczność wiejska wykona większość prac. Przecież tenże naczelnik będzie zobowiązany załatwić sprzęt, materiały, będzie musiał użerać się z operatorami sprzętu, z dostawcami itd. Jeżeli natomiast storpeduje plan, jeżeli nic się nie będzie działo w gminie, to i tak nie przestanie być naczelnikiem, a zaoszczędzi sobie kłopotów*³. Autor tych słów należał akurat do ludzi, który ich sobie nie szczędził.

Chodzi jednak o to, aby inicjatywność i gospodarność nie wy-

³tamże, s. 165.

niwały tylko z osobistych cech ludzi władzy, ale również czynników systemowych. Tam jednak, gdzie im na przekór ludzie władzy gospodarność przejawiali, zasługa ich jest tym większa i wątpliwe wydaje się aby można ich było zastąpić lepszymi, czy choćby równorzędnymi „zmiennikami”.

Obraz Polski gminnej, który wylania się z badań nie jest tak zły, jak twierdzą ci, którzy jeszcze w 1990 roku straszą widmem czerwonej nomenklatury, ale nie jest również tak dobry jak skłonni są sądzić nieliczni już wtedy w Polsce obrońcy starego porządku.

Spśród czterech głównych zasad starego ustroju (przewodnia rola PZPR, własność państwowa, rozdział Kościoła od państwa, sojusz z ZSRR), najniższy wskaźnik akceptacji uzyskala wśród badanych zasada kierowniczej roli partii. Aż 10% badanych członków elit władzy odrzucało ją całkowicie, prawie 30% akceptowało z niechęcią (*akceptuję, choć wolałbym by było inaczej*). Przypomnijmy, że badania przeprowadzono w latach 1986-1988 a więc w czasie gdy jeszcze nikt nie przewidywał rychłego upadku systemu. Na niski wskaźnik akceptacji kierowniczej roli PZPR miał zapewne wpływ długotrwały już proces dezideologizacji ustroju, upadek autorytetu partii nawet wśród jej funkcjonariuszy, ale także chęć zwiększenia obszaru własnej niezależności. Przesadne byłoby twierdzenie, że aż 40% dotychczasowego gminnego układu władzy rekrutuje się ze zdeklarowanych zwolenników nowego ustroju opartego o zasadę politycznego pluralizmu. Ale jeszcze bardziej nieuprawnione byłoby zaliczenie tej części gminnej *nomenklatury* do zwolenników *ancien regime*.

O ile zasada kierowniczej roli PZPR spotkała się wśród badanych członków elit władzy gminnej z akceptacją najniższą, najwyższy był w tej grupie wskaźnik akceptacji własności państwowej jako podstawowego sektora gospodarki. *Członkowie lokalnych układów władzy – pisze W. Gomuła – są świadomi faktu, że korzenie ich władzy tkwią w systemie własności państwowej. Dzięki tej formie zorganizowania własności są czymś więcej niż zwykłymi urzędnikami. Fakt, że zajmują korzystne pozycje w strukturze organizacyjnej instytucji, pomiędzy które rozdzielone jest „mienie ogólnonarodowe”, daje im – niezależnie od prawnych deklaracji – również uprawnienia władcze, charakterystyczne w innych systemach dla prywatnych właścicieli. Toteż widoczne jest w lokalnych układach władzy wyraźne zaniepokojenie zarówno ewentualnością pry-*

watyzacji własności państwowej, jak i ewentualnością jej uspołecznienia przy pomocy różnych instrumentów uwłaszczających społeczeństwo...⁴.

Można jednak przypuszczać, że badając stan świadomości ludzi spoza układu władzy osiągnęlibyśmy w tamtych latach podobny rozkład akceptacji zasad poprzedniego ustroju. Najniższy wskaźnik akceptacji uzyskalaby zasada kierowniczej roli PZPR, najwyższy – zasada własności państwowej. Można więc bez ryzyka błędu stwierdzić, że na najniższym, podstawowym szczeblu dawnej monostruktury władzy stan świadomości elity władzy najbardziej zbliżony był do stanu świadomości przeciętnego obywatela spoza kręgu rządzących. Jest to więc empiryczne potwierdzenie wcześniej zaobserwowanego (patrz: rozdział o monostrukturze władzy) zjawiska „zlewania się” monostruktury władzy ze społeczeństwem.

W tej sytuacji przyjęcie przez Komitety Obywatelskie założenia, że na ich listach nie powinni się znaleźć kandydaci spośród aktualnych radnych wydaje się nieporozumieniem. Oficjalnie uzasadniane jest ono potrzebą wymiany kadr, faktycznie wynika z faktu, że ludzie ci brali czynny i bierny udział w wyborach, do których bojkotu wzywała w swoim czasie „Solidarność”. Niedawna jeszcze opozycja obejmując w 1989 roku władzę w państwie zachowała wiele cech dawnego, opozycyjnego etosu, pod niektórymi względami nawet cechy te umacniając. Chodzi przede wszystkim o skłonność do dzielenia ludzi na swoich i obcych, o silną i manifestowaną nieufność nie tylko wobec przedstawicieli dawnego establishmentu, ale i tych wszystkich, którzy działali na oficjalnej płaszczyźnie życia politycznego, choćby nawet w działalności tej dawali wyraz przekonaniom bliskim ówczesnej opozycji. Chodzi wreszcie o swoiste skrzywienie kombatanckie, które skłania by przedkładać wartość braterstwa życiorysów nad partnerstwo intencji i poglądów, co wzmacnia orientację na przeszłość i zachowania symboliczne.

4

Wybory do samorządu lokalnego miały już być innymi wyborami aniżeli o rok wcześniejsze wybory do sejmu i senatu. Tak się jednak nie stało i zachowały one wiele z tamtego, czerwcowego, wyborczego mechanizmu selekcji negatywnej, który zakładał, że głosuje się w większym stopniu przeciwko dotychczasowym układom lokalnym,

⁴tamże, s. 168.

przeciwko starej nomenklaturze, niż za nowymi programami i nowymi ludźmi. Co prawda na kandydatów spoza list Komitetów Obywatelskich oddano w sumie więcej głosów, ale wybory wygrały Komitety Obywatelskie, których kandydaci przy poparciu Kościoła w większości okręgów (przede wszystkim miejskich) przechodzili łatwo. Na tym jednak kończą się podobieństwa między wyborami do sejmu i senatu w 1989 roku a wyborami do samorządu lokalnego w 1990 roku.

Niska aktywność wyborcza zaskoczyła wszystkich. Ze wstępnych sondaży CBOS-u i OBOP-u wynikało, że frekwencja sięgać może 60% uprawnionych do głosowania. Okazało się, że zaledwie przekroczyła ona 40%. Czy fakt, że frekwencja była niska może być powodem do niepokoju? W wielu krajach zachodniej demokracji uczestnictwo w wyborach do władz komunalnych przekraczające 40% uprawnionych do głosowania uznano by za zupełnie przyzwoite. Nikogo tam bowiem nie dziwi, że ludzie nie interesują się polityką uważając, że są sprawy o wiele bardziej warte ich uwagi. Nikt także ludzi, którzy mówią – *te sprawy mnie nie obchodzą* – nie odsądza od miana dobrych obywateli. Bywa zresztą, że są to właśnie dobrzy obywatele, ponieważ płacą bardzo wysokie podatki.

Zachodni kandydat do władz lokalnych musi się sam mocno nabiegać, aby pobudzić do aktywności potencjalnych wyborców. To kandydat i organizowany przezeń sztab współpracowników starają się podgrzać przedwyborczą atmosferę drukując plakaty, ulotki, chodząc do mieszkań swoich potencjalnych wyborców, organizując festyny. W realnym socjalizmie sytuacja była dokładnie odwrotna. Sami kandydaci do rad narodowych byli statystami w sztuce przez kogo innego inscenizowanej i reżyserowanej. Do udziału w wyborach namawiała obywateli władza używając wszystkich możliwych środków perswazyjnego przymusu. Kandydatowi na radnego pozostawało przyjść na kilka spotkań przedwyborczych, do czego nie wszyscy się zresztą kwapili.

Ten odwrócony schemat aktywności był zrozumiały i oczywisty. Kandydat wiedział, że jeśli został wytypowany i zatwierdzony, to zostanie „wybrany”. Sam o nic nie zabiegał, bo nie miał o co i nie mieściłoby się to w konwencji. Władzy zaś zależało na frekwencji, ponieważ wybory były dla niej plebiscytem poparcia, jakby namiastką społecznej legitymacji, którą nie dysponowała. Przy czym niższe – terenowe – ogniwa władzy administracyjnej i przede wszystkim politycznej (partyjnej) z wyników wyborczej frekwencji rozliczane były przez wyższe szczeble hierarchii. Frekwencja świadczyła o nich, o tym jak „radzą sobie” ze społeczeństwem.

Ten schemat został złamany podczas wyborów do sejmu i senatu. Po raz pierwszy od czterdziestu lat mieliśmy na ulicach miast barwny festyn, w którym sami kandydaci zabiegali o poparcie dla samych siebie reklamując własne osoby w formach, które były dla nas często szokujące choć byłyby normalne w każdym innym, demokratycznym kraju. Pod tym względem sytuacja w maju w 1990 roku powróciła niemal do czasów sprzed ubiegłorocznych, czerwcowych wyborów do parlamentu. Do udziału w wyborach namawiała władza, radio, telewizja, prasa. Obywatel z najróżniejszych trybun, a także z ambon słyszał, że jego obywatelskim obowiązkiem, powinnością i szansą jest wziąć udział w wyborach. Natomiast kandydatów, tych, których w wyborczą niedzielę wybierano, cechowała bardzo często bierność typowa dla dawniejszych kandydatów na radnych. Przy tym – co charakterystyczne – w wielu środowiskach bierność cechowała w większym stopniu kandydatów z list Komitetów Obywatelskich, aniżeli z innych ugrupowań. Być może było to wynikiem odziedziczonego po przeszłości, wyuczonego standardu zachowania – *władza mnie wytypowała i zaakceptowała, wszystko w rękach władzy*.

Można jednak sądzić także, że jest to efekt przyjętej, przedwyborczej strategii, która powróciła do konwencji plebiscytu poparcia, którym wysoka frekwencja w wyborach staje się sprawą najważniejszą, natomiast pytanie kto wygra wybory nieistotne, bo z góry przesądzone. Wcześniej stwierdziłem, że w demokracjach zachodnich wysoka frekwencja nie jest sprawą dla nikogo ważną, dla zainteresowanych zaś najważniejsze jest kto wygra. Dlaczego w systemie realnego socjalizmu było odwrotnie – jest zrozumiałe. To drugie pytanie – kto wygra – było z góry przesądzone. Wygrać mógł tylko ten, kto wcześniej został wytypowany i zaakceptowany. W wyborach 1990 roku w gruncie rzeczy było podobnie. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że wygrywać będą przede wszystkim kandydaci z list Komitetów Obywatelskich. Natomiast kwestia samej frekwencji była ważna i nieprzesądzona (w badaniach opinii publicznej sondowano w zasadzie głównie przypuszczalną wysokość frekwencji). Dlaczego było to ważne?

Myślę, że z przynajmniej dwóch powodów. Pierwszy, w pewnym sensie tradycyjny, polegał na zapotrzebowaniu samej władzy – tym razem niekomunistycznej – na manifestację społecznego poparcia. Im mniej popularne decyzje ta władza musi podejmować, im częściej zmuszona jest odwoływać się do społecznej cierpliwości i ofiarności, w tym mniejszym stopniu zadowolić się może biernością tych, którzy powiadają, że polityka ich nie interesuje i którzy robią swoje. Akurat w

przedwyborczym tygodniu miały miejsce strajki kolejarzy. Rządowa propaganda eksponowała polityczną wymowę strajku, który uderzał w rząd Mazowieckiego; strajkujący natomiast deklarowali swą apolityczność twierdząc, że nie strajkują przeciwko rządowi i w ogóle polityka ich nie interesuje. Ta deklaracja apolityczności strajkujących wcale antyrządowego ostrza ich akcji – subiektywnie – nie stępiała, przeciwnie, nawet je zaostriżyła. Pod koniec maja 1990 roku mówić: *mnie polityka nie interesuje*, oznacza – *mnie nie interesuje, co się stanie z tym rządem, przewróci się czy nie, uda mu się czy nie uda*. To jest pierwszy powód, dla którego frekwencja w wyborach samorządowych w 1990 roku była sprawą ważną. Była bowiem testem poparcia dla nowej władzy. Ale był i drugi powód.

Zachodnie demokracje mogą, także w układach lokalnych, opierać się na wąskiej grupie ludzi politycznie aktywnych po prostu dlatego, że są to społeczeństwa inaczej zorganizowane. Od ukształtowanych, sprawnych mechanizmów rynkowych, prawnych i politycznych – systemowych – zależy w tamtym świecie, by całkowicie apolityczna, partykularna, „egoistyczna” aktywność ludzi krzątających się wokół własnych spraw przynosiła ogólny, społeczny pożytek. W Polsce, jak i w innych krajach postkomunistycznych, daleko jeszcze do stworzenia takich mechanizmów, nie mówiąc już o tym, że w wielu przypadkach sami ludzie nie są jeszcze skorzy ani zdolni do krzątania się wokół spraw własnych, czekają i domagają się aby władza o ich sprawy zadbała. Frekwencja jest więc w tych warunkach także testem na społeczną aktywność, na zdolność i skłonność do jej przejawiania. Belga, Francuza, Szwajcara nikt z najwyższych trybun do żadnej aktywności nie namawia. Reakcją na takie apele jest w najlepszym przypadku zdziwienie, a prawdopodobnie odebrane byłyby one jako arogancka i nieuprawniona próba ingerencji w sferę spraw podlegających suwerennej, osobistej odpowiedzialności jednostki.

Tak więc ów wyborczy test w obu swych głównych aspektach – jako manifestacja poparcia władzy, jak i demonstracja aktywności – wypadł realistycznie oddając prawdopodobnie faktyczny stan rzeczy.

5

Obraz społeczności lokalnych w Polsce jest ogromnie zróżnicowany. To zróżnicowanie potwierdzają wyniki badań prowadzonych w ramach programu „Rozwój regionalny – Rozwój lokalny – Samorząd teryto-

rialny". Jak piszą Bohdan Jałowiecki i Kazimierz Z. Sowa, z jednej strony obserwować można znaczną unifikację systemów wartości postaw i zachowań, duży stopień uprzedmiotowienia społeczności, jego konserwatyzm i bierność. Z drugiej jednak strony widoczna jest różnorodność, aktywność oraz dążenie do rzeczywistego upodmiotowienia. Te ostatnie procesy znajdują się oczywiście, w skali masowej, na razie w fazie zalążkowej, tym niemniej mogą się w sprzyjających warunkach rozwinąć, zapoczątkowując renesans lokalności.⁵

Zróżnicowanie, o którym piszą cytowani wyżej autorzy, jest dwójakiego rodzaju. Można mówić o zróżnicowaniu endo- i egzogennym. To pierwsze wynika często z przyczyn losowych, takich jak pojawienie się grupy osób czy nawet jednej osoby, która chce i potrafi pobudzić lokalną aktywność. W tym samym województwie możemy więc spotkać gminy dobre i złe. Tak samo, jak analizując przypadki dobrych i złych naczelników gmin w końcu przychodzi do wskazania jako głównej przyczyny wyjaśniającej cech osobowych piastujących te urzędy ludzi, tak tutaj za każdym razem wyjaśnień szukać trzeba w niepowtarzalnym splocie konkretnych, lokalnych faktów.

Interesujących ilustracji dostarczyły tu także zachowania niektórych społeczności lokalnych w czasie wyborów samorządowych. Oto w tym samym województwie, w jednej z gmin sytuacja konfliktu między liderami elit władzy i elit wpływu zaowocowała ostrą walką wyborczą zakończoną bardzo wysoką frekwencją, natomiast w innej gminie tego samego województwa, sytuacja środowiskowego konfliktu doprowadziła do tego, że wybory nie odbyły się wcale, ponieważ nie było chętnych na kandydowanie. W układzie wewnątrzregionalnym nie tylko społeczne reakcje, ale i sytuacje, w których znajdują się poszczególne społeczności lokalne zdają się często zależeć od czynników losowych i nieprzewidywanych. Dzieje się tak dlatego, że dotychczasowy system nie wytwarzał względnie stałych, typowych procedur rozwiązywania problemów i zaspokajania potrzeb, negocjowania konfliktów i osiągania a nawet określania celów. Doświadczenie społeczne nie odpowiadało zachowań, które w większym stopniu niż inne mogły rokować powodzenie.

Oczywiście nie oznacza to braku reguł jeśli idzie o zróżnicowanie, które określiłem jako wewnętrzne. Różnice ekonomiczne zależą od tego, czy gmina zlokalizowana jest w pobliżu dużej aglomeracji, czy jest rolnicza czy uprzemysłowiona, turystyczna itp. Chociaż i w tym zakre-

⁵B. Jałowiecki, K. Sowa, Przedmowa do: *Społeczności lokalne. Teraźniejszość i przyszłość*, Warszawa 1989, s. 15.

się mamy do czynienia z czynnikami zakłócającymi przejrzystość reguł zróżnicowania. W gminach podwarszawskich na przykład najbardziej uprzemysłowiony Pruszków jest w gorszej sytuacji finansowej aniżeli inne gminy, słabiej uprzemysłowione, ale za to dysponujące silnie rozwiniętym sektorem prywatnym⁶.

Inaczej jednak będzie się rysował obraz zróżnicowania Polski gminnej, gdy zmienimy perspektywę z wewnątrzregionalnej na międzyregionalną. Zmiana perspektywy pozwoli nam dostrzec obraz Polski z wyraźnie i ostro zarysowanymi granicami dzielnic dawnych rozbiorów. Szczególnie wyraźnie rysuje się podział między gminami dawnego zaboru pruskiego oraz dawnego zaboru rosyjskiego. Przeciętna, statystyczna gmina wielkopolska jest bogatsza, zamożniejsza aniżeli gmina w Kongresówce. Jej struktura społeczna jest bardziej rozwinięta, rozbudowane i silniejsze są w niej grupy interesów, których często brak w gminie zlokalizowanej w dawnym zaborze rosyjskim. Społeczność lokalna gminy wielkopolskiej nastawiona jest raczej na inicjatywę własną i samozaradność, gdy ta druga prezentuje postawy roszczeniowe. Przeciętny przedstawiciel władzy gminnej w Wielkopolsce dostrzega główne ograniczenia rozwojowe w systemie prawnym, przepisach, które paraliżują i hamują aktywność, gdy jego odpowiednik z Kongresówki skłonny będzie raczej barierą dostrzegać w społecznej bierności, w tym, że „ludziom się nie chce”, w czym między innymi wyraża się często jego konserwatyzm i tendencja do przejmowania optyki władz zwierzchnich. Przeciętny lider wielkopolskiego środowiska lokalnego postrzega sytuację swojej gminy raczej od strony możliwości, którymi ona dysponuje, gdy natomiast lider z gminy w Kongresówce wychodzi w swych ocenach sytuacji raczej od rejestru potrzeb, które powinny być zaspokojone, „żeby było lepiej”.

Gminy w dawnej Galicji, pod względem cech wcześniej wyróżnionych, zbliżone są do gmin dawnego zaboru pruskiego. Są także – choć w mniejszym już stopniu – zamożne, bardziej nastawione na inicjatywę lokalną, aniżeli gminy w Kongresówce, natomiast mają większe niż wielkopolskie osiągnięcia w aktywności samorządowej i – najogólniej mówiąc – zrzeszeniowej. Charakterystyczne jest na przykład, że o ile w Wielkopolsce wyższa jest aktywność zakładów pracy na rzecz środowiska lokalnego, o tyle takie organizacje społeczne, jak np. Ochot-

⁶na ten temat patrz: P. Swianiewicz, *Społeczno-ekonomiczna typologia gmin w Polsce*, Warszawa 1989.

nicza Straż Pożarna mają większe osiągnięcia na terenach dawnego zaboru austriackiego⁷.

Staje się to bardziej zrozumiałe, jeśli uświadomimy sobie, że o ile w zaborze pruskim w wieku dziewiętnastym rozwinęły się tradycje pozytywistycznej pracy organicznej, dzięki którym ludność polska tych ziem potrafiła skutecznie przeciwstawić się kolonizacji niemieckiej, o tyle w Galicji szczególnie rozwinięta była praca samorządowa, co umożliwiały stosunki polityczne w tym zaborze.

Charakterystyczna jest pod tym względem liczba miast, które uzyskały tytuł Mistrza i Wicemistrza Gospodarności w latach 1967–1990. Zdecydowaną palmę pierwszeństwa dźwierży tu dawny zabór pruski (aż 74 miasta zdobyły te tytuły), dalej idzie Galicja (28 miast), Kongresówka zaś oraz tzw. Ziemie Odzyskane osiągnięciami w tym konkursie pościć się nie mogą. Na ziemiach dawnego zaboru rosyjskiego tylko 8 miast zdobyło tytuł Mistrza lub Wicemistrza Gospodarności, przy czym 6 z nich zlokalizowanych jest blisko granicy z dawną Galicją.

Jaka jest przyczyna trwałości „szwów dzielnicowych” mimo dwudziestolecia międzywojennego, lat wojny, okupacji i wreszcie blisko półwiecza rządów komunistycznych, które do swoich osiągnięć zaliczały w propagandzie – wyrównywanie różnic międzyregionalnych i uprzedmiotowienie kraju?

Jedną odpowiedź, najprostszą i narzucającą się, trzeba zdecydowanie odrzucić – tradycje historyczne zarówno lokalne jak i regionalne w żadnym z powojennych okresów PRL nie były pielęgnowane ani utrwalane. Przeciwnie. Historia „wielka”, narodowa, podlegała manipulacji, była kaleczona, poddawana retuszom i cenzurze, ale bodaj jeszcze większym spustoszeniom uległ obszar historii „mniejszej”, regionalnej i lokalnej. W powojennym okresie nic nie sprzyjało utrwalaniu tradycji regionalnych. Centralna unifikacja programów kształcenia eliminowała możliwości ich przekazu przez szkołę. Lokalni liderzy, czując się w większym stopniu funkcjonariuszami scentralizowanej monostруктуры władzy aniżeli działaczami regionalnymi, nie odwoływali się ani nie nawiązywali do tych tradycji. Przeciwnie, nierzadko zacierali ich ślady⁸. Przyczyn trwałości dzielnicowych zróżnicowań trzeba więc szukać gdzie indziej.

Zapewne jedną z przyczyn tego stanu rzeczy byłwspominany już

⁷patrz: J. Bartkowski, A. Kowalczyk, P. Swianiewicz, *Strategie władz lokalnych*, Warszawa 1990, oraz P. Swianiewicz, *Typologia ...* op. cit.

⁸A. Batiuk, J. Chłopecki, *Mastotwórcza rola tradycji*, [w:] *Problemy rozwoju lokalnego*, Warszawa 1988.

wcześniej niedowład normotwórczego i wzorcotwórczego oddziaływania systemu, który ukształtował się po II wojnie światowej na ziemiach polskich. Dawne tradycje mogły ulegać – i ulegały – rozkładowi, powolnemu i stopniowemu, tam gdzie mniejszy był ruch powojennych migracji; szybszemu, nawet gwałtownemu tam, gdzie przemieszczenia ludności były większe – ale tamtych tradycji nie miało co zastąpić. Podejmowane po wojnie próby budowania nowych tradycji nie przynosiły powodzenia i w konsekwencji skończyły się fiaskiem.

Wbrew głoszonym hasłom o wyrównywaniu różnic między tzw. Polską A i B, faktyczne procesy związane z uprzemysłowieniem i urbanizacją kraju przebiegały inaczej. Realizowana po wojnie industrializacja pogłębiała dysproporcje prowadząc do przeinwestowania jednych regionów (Śląsk i Zagłębie) i utrwalania stagnacji innych. Województwo katowickie na przykład skupiło nakłady ponad stukrotnie wyższe aniżeli najbardziej niedoinwestowane województwo białkopodlaskie. Działo a się tak między innymi dlatego, że sama konstrukcja planu gospodarczego powstawała pod przemożnym wpływem najsilniejszych lobbies terytorialnych (wojewódzkich) i branżowych. Na te właśnie, planowe dysproporcje nakładały się dodatkowo pogłębiające je procesy żywiołowe. Nie jest bowiem prawdą, że w gospodarce realnego socjalizmu nie miały one znaczenia. W porównaniu jednak do społeczeństw gospodarki rynkowej, relacja między celowymi i planowymi działaniami państwa a żywiołowymi, swobodnymi działaniami poszczególnych grup interesów była odmienna.

Mówiąc najogólniej i rzecz jasna w dużym uproszczeniu – o ile w gospodarce rynkowej działalność państwa zmierza do harmonizowania działań żywiołowych, w realnym socjalizmie te ostatnie wpływają anarchizująco na planowe zamierzenia.

Nie są to zapewne jedyne przyczyny trwałości dzielnicowych zróżnicowań. Można jeszcze do nich dodać fakt, że społeczeństwo polskie oprócz pierwszych lat powojennych, nie było społeczeństwem mobilnym. Nie ma w Polsce ani jednej grupy społeczno-zawodowej, w której zjawiskiem normalnym byłaby częsta zmiana środowiska pracy i życia. Wiele cech tego społeczeństwa – wyróżnianych przez badaczy procesów modernizacji – kwalifikuje je raczej do typu społeczeństwa tradycyjnego a nie nowoczesnego. A więc – mała ruchliwość, spłaszczenie majątkowe większości społeczeństwa przy istnieniu społecznych enklaw nędzy z jednej strony i wielkich fortun z drugiej, brak silnej klasy średniej, względnie niski stopień skolaryzacji, brak w społeczeństwie upowszechnionej potrzeby osiągania indywidualnych sukcesów, nie-

obecność obiektywnych kryteriów rekrutacji do ról społecznych, niski poziom empatii⁹.

6

Rozwój cywilizacji – a nie odnosi się to jedynie do cywilizacji współczesnej – dokonuje się na dwóch płaszczyznach: kontynuacji i zmiany. Rewolucja jest przerwaniem rozwoju, próbą organizowania świata społecznego od początku. Bywa, że otwiera ona nowe horyzonty cywilizacyjne¹⁰, a bywa także, iż prowadzi w ślepą uliczkę, z której nie ma innego wyjścia niż powrót na porzucony szlak, jak zapewne stało się udziałem krajów, które określa się dziś jako postkomunistyczne. Rewolucja przerywa nie tylko proces kontynuacji ale i tych zmian, które w sposób organiczny, często niezauważalny, w nim narastają.

Pisałem już wcześniej, że rewolucjonista z reguły bywa przeciwnikiem wspólnot, dostrzegając w nich – najczęściej słusznie – naturalną ostoję trwania dotychczasowego porządku. Niecierpliwość rewolucjonisty nie pozwala mu dostrzec – na co też wcześniej zwracałem już uwagę – że rewolucja jest nie tylko przerwaniem procesu trwania, kontynuacji, ale i organicznego narastania zmian, a więc rozwoju w ogóle. Rewolucyjne myślenie, przeciwne wspólnotom, zorientowane na odgórne budowanie nowego ładu społecznego na gruzach dotychczasowego, musi – co oczywiste – lekceważyć świat społeczności lokalnych. *Społeczności lokalne* – pisze Bohdan Jałowiecki – *prawie zawsze były obok rodziny podstawowym elementem struktury społecznej, gmina zaś stała się ich instytucjonalnym i politycznym wyrazem. Społeczności lokalne zorganizowane w gminę władaty określonym terytorium stanowiąc względnie zamknięty system – układ lokalny. Gdzieś ponad nim, w innej przestrzeni, rozgrywała się przyspieszona historia wydarzeniowa, toczyły się wojny, upadały i powstawały monarchie, kształtowały się polityczne monostruktury. W układach lokalnych czas biegł powoli w rytmie „długiego trwania”¹¹. Doświadczenie historyczne dowodzi, że po-*

⁹Na ten temat m.in.: A. Etzioni, *The Active Society. A Theory of Societal and Political Processes*, New York – London 1968; S. N. Eisenstadt, *Tradition, Change and Modernity*, New York 1973. Szczegółowe omówienie teorii modernizacyjnych zawiera praca: M. S. Szczepański, *Modernizacja. Rozwój zależny. Rozwój endogenny. Socjologiczne studium teorii rozwoju społecznego*, Katowice 1989.

¹⁰Szerzej o tej problematyce pisałem [w:] J. Chłopecki, *Rewolucje i postęp*, Warszawa 1981

¹¹B. Jałowiecki, *Rozwój lokalny*, Warszawa 1989, s. 98.

niosły całkowitą klęskę tylko te rewolucje, które nie potrafiły zerwać z iluzją odgórnego, centralistycznego budowania świata na ładzie organizacyjnym, w którym nie ma miejsca dla świata lokalnych społeczności, a więc w istocie nie ma miejsca dla organicznego rozwoju.

Przytoczony wyżej opis społeczności lokalnej i gminy, jako jej instytucjonalnego wyrazu odnosi się do przeszłości. Trudno byłoby przyjąć, że współcześnie owa przyspieszona historia wydarzeniowa, o której wspomina Jałowicki, toczy się ponad nami, w innej przestrzeni. Związek między tym, co dzieje się w wymiarze społeczeństwa globalnego a życiem społeczności lokalnych jest dzisiaj o wiele bardziej ścisły i bezpośredni. *Globalne bodźce rozwojowe wynikające z mechanizmów centralnego sterowania – pisze cytowany wyżej autor – nie mogą zapewnić odpowiedniej dynamiki rozwoju, ponieważ nie dostarczają wystarczających czynników motywacyjnych, a ponadto ich oddziaływanie może być sprzeczne z lokalnymi interesami.* Niezbędne jest więc umożliwienie pojawienia się lokalnych inicjatyw, które – wynikając z silnie odczuwanych potrzeb – wzmacniają motywacje zbiorowego działania. W społecznościach lokalnych problemy do rozwiązania mają charakter konkretny, abstrakcyjne idee i wymyślane koncepcje nabierają ludzkiej twarzy. Zróżnicowane interesy są lepiej postrzegane, większa intensywność kontaktów społecznych sprzyja mobilizacji społecznej. Lokalne ruchy społeczne, *są nie tylko ważnym czynnikiem dynamiki społecznej, ale także instrumentem kontroli układu globalnego, niezbędnym sprzężeniem zwrotnym w systemie „homeostazy społecznej”.* Wielkie zaś iluzje cywilizacji współczesnej w konkretności społeczności lokalnych tracą jakby siłę w zestawieniu z problemami codziennego życia.¹²

Analizując w tej pracy fazę narastania konfliktu, który zaowocował radykalną zmianą ustroju, starałem się równocześnie zwracać szczególną uwagę na zależności występujące między dwoma układami – globalnym i lokalnym. Jest więc logiczne, że ostatni rozdział poświęcony jest problemom Polski gminnej. Rzecz jasna tylko niektórym, poruszoną na dołatek nader skrótowo. Ale właśnie ta problematyka analizowana jest szczegółowo i nieporównanie bardziej kompetentnie w wielu pracach powstałych w ramach Programu „Rozwój regionalny – Rozwój lokalny – Samorząd terytorialny”.

W tym programie powstała także – cytowana przeze mnie kilkakrotnie – praca Jana Szczepańskiego *Polska wobec wyzwań przyszłości*,

¹² tamże s. 65.

traktująca o zasadniczych problemach społeczeństwa polskiego w szerokiej perspektywie historycznej. Niniejsza książka, w zamierzeniu moim, jest swego rodzaju kontynuacją pracy Jana Szczepańskiego w warunkach, gdy przyszłością nie jest już dzisiaj to, co nas czeka, ale to, co się już zaczęło.

Czerwiec 1990.

Universitas z.55/90 n.1000